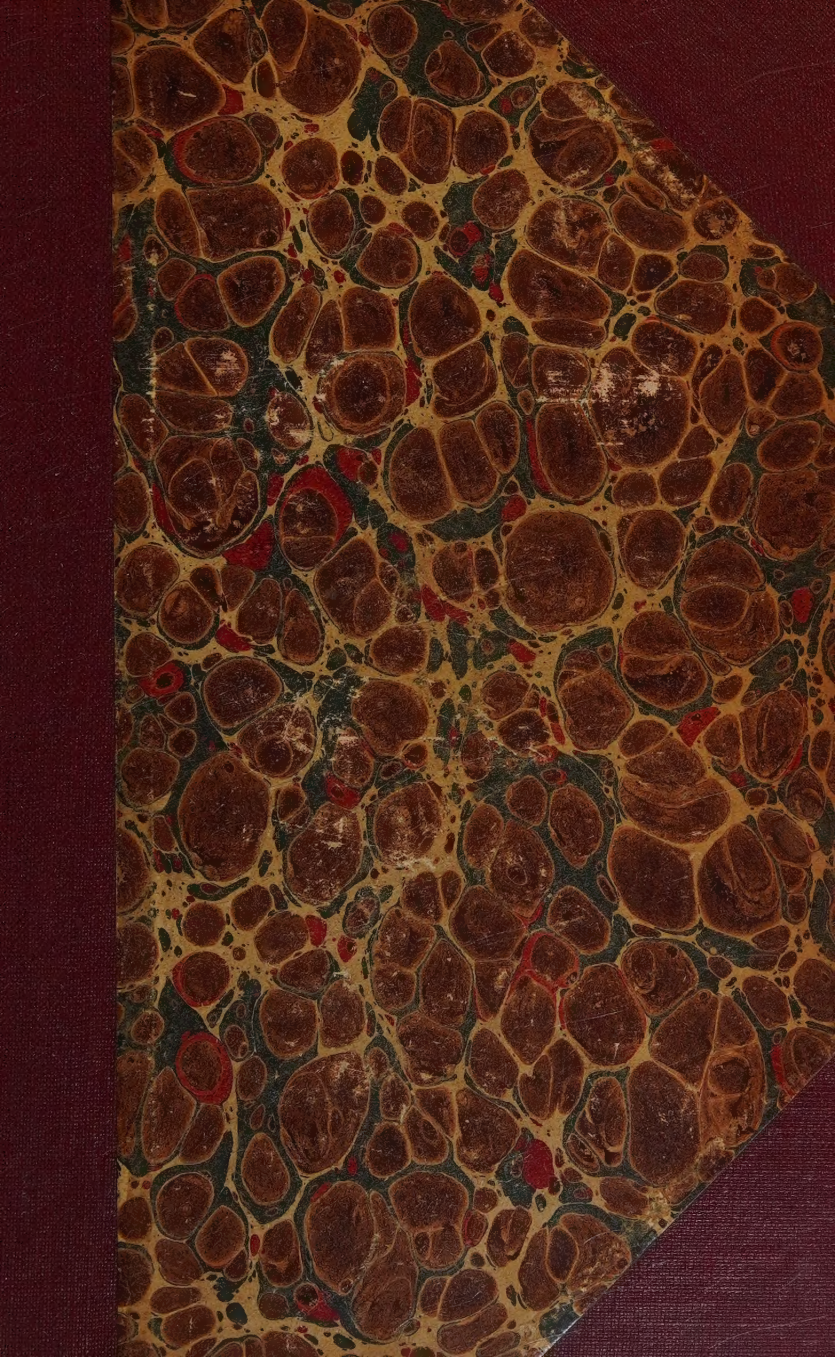
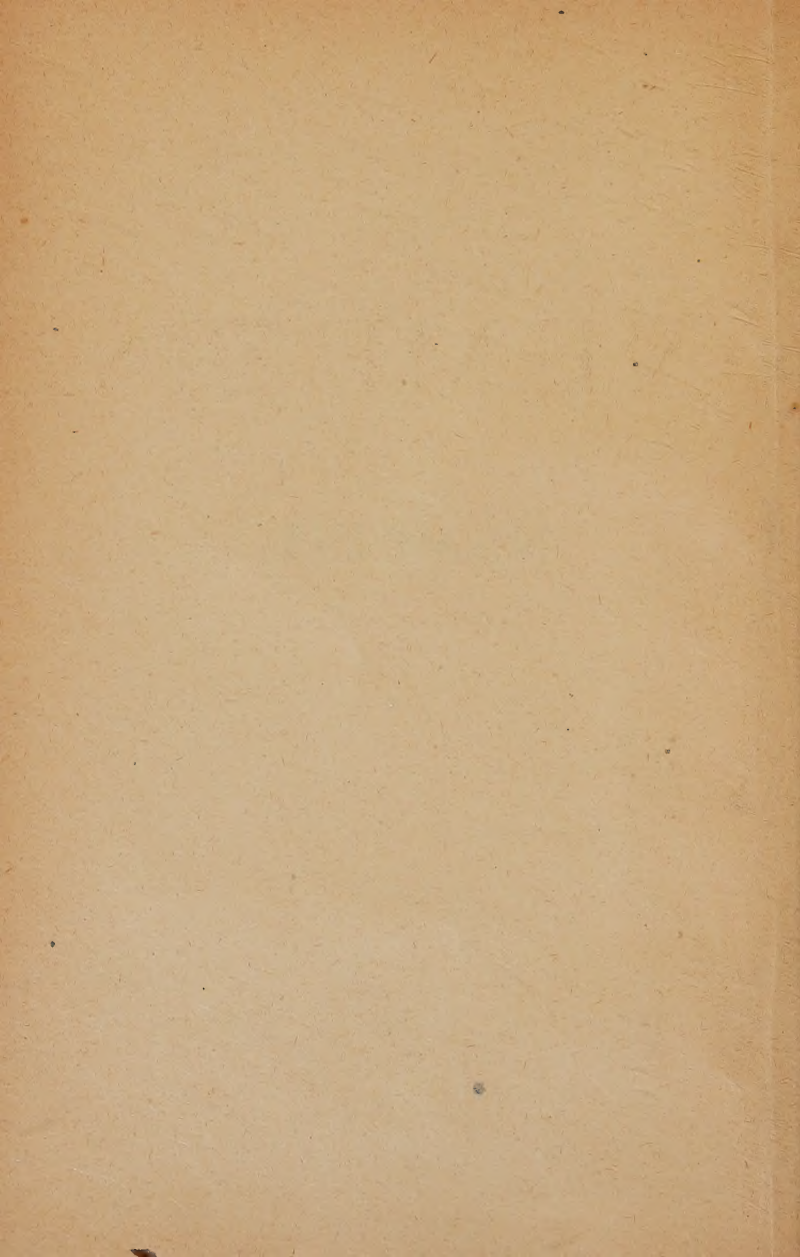




NEMEZIS



FERDYNAND HOESICK

NEMEZIS

ROMANS

WYDANIE DRUGIE

W A R S Z A W A — 1 9 2 3

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

Za mej ostatniej bytności w maju tego roku w Paryżu widywałem się często z przyjacielem mym z lat dziecinnych, Henrykiem Popielem, który dziś, jako Henri de Paupière, należy do najpoczytniejszych romansopisarzów francuskich, a jako stały współpracownik kilku najpoważniejszych dzienników i *Revue des deux mondes*, jest niewątpliwie jedną ze znakomitości paryskiego świata literackiego. Sam słyszałem, jak niektórzy, zwracając się do niego, tytułowali go: *maitre*. On jednak, choć dobrze wie o swym wrzechświatowym rozgłosie, bynajmniej w stosunkach z ludźmi, jak to zauważyłem, nie przejmuje się swoją rolą człowieka sławnego, *d'une célébrité*, a już w stosunku ze mną, z którym go łączą wspomnienia z czasów dzieciństwa, ze szkolnej i uniwersyteckiej ławy, zawsze pozostał tym samym Heniem, jakim był w Warszawie, gdyśmy się, jako dwaj jedynacy, wychowywali pod dachem tego samego domu.

Tym razem zobaczyliśmy się po trzynastu latach niewidzenia, gdyż o ile w Warszawie widywaliśmy się niemal codziennie, o tyle gdy Henryk po niemiłych przejściach z powodu wydawanej i redagowanej przez siebie *Obfudy* opuścił miasto

rodzinne, skąd go, jak mówił, »wyświecono«, nie widzieliśmy się ani razu.

Dużo by pisać o tej *Obłudzie*, która, jako tygodnik, zwalczający tę wielką przywarę, a przynoszący bezwzględne *verba veritatis*, tylu nieprzyjaciół narobiła swemu młodemu redaktorowi. Istotnie gromy sypały się na jego głowę, tak dalece, że go moralnie »ukamienowano« (jak się wyraził, pamiętam, w świetnym pożegnalnym artykule, zamykającym ostatni numer tego niebywałego wydawnictwa). Rzeczywiście było to pismo, o jakim się nie śniło naszym filozofom. Każdy zeszyt przynosił tylko najczystsza prawdę o ludziach, o społeczeństwie, o jego poszczególnych sferach, instytucjach, arystokracji, demokracji, szlachcie, duchowieństwie, mieszczaństwie, chłopach, żydach, a także i o braci literackiej, o stosunkach dziennikarskich, wydawniczych etc. etc., a mimo to, a raczej dlatego właśnie, że przynosił *czystą* prawdę, bez cienia obłudy i fałszu, każdy numer wywoływał hałas i skandal w całym mieście, oburzenie, protesty, zgorszenie: tak ta prawda kłóła w oczy, tak wszystkim wydawała się gorzką, choć była tylko nagą bez żadnych obsłonek. Tymczasem całą winą Henryka, winą jednak, którą mu poczytywano za zbrodnię nie do darowania, było to, że zapominał o głębokiej maksymie poety: «Są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu...», i że to, o czym wszyscy *myśleli* i *mówili* głośno pomiędzy sobą, on *pisał* i *drukował*

w swym organie, nie licząc się z żadnemi wzglę-
dami, nie oglądając się na nic i na nikogo. Stąd
w samej rzeczy powstawały najrozmaitsze horrenda,
od których jednym włosy powstawały na głowie,
a drudzy cieszyli się w skrytości ducha. Najskan-
daliczniejszymi były »wspomnienia pozgonne« o lu-
dziach t. z. zasłużonych i znamienitych, przy któ-
rych kreśleniu zasada rzymska *de mortuis nil nisi*
bene z reguły nie była przestrzegana. Niemniejszą
sensacją była serja artykułów Henryka p. t. *O kłam-*
stwie i obłudzie w naszym życiu społecznem,
politycznem, literackiem i t. p., które w już bucha-
jący płomień jeszcze dołały oliwy i materiałów
wybuchowych. Było to niebezpieczne uderzenie
w stół, po którym wszystkie wstrząśnięte nożyce
odezwały się zgodnym chórem »świętego oburze-
nia«, nie mówiąc o kilku pojedynkach, w których
narobiono kilkanaście dziur w powietrzu, a o któ-
rych Henryk znowu napisał szereg spostrzeżeń, do-
skonale podpatrzonych, ale wysoce niemiłych, bo
przedewszystkiem ośmieszających głównych akto-
rów tej tragikomedji. Skończyło się na tem, że po
upływie pół roku niespełna utworzyła się formalna
koalicja przeciwko 28-letniemu wówczas Henry-
kowi, otrąbiono w prasie rodzaj zabójczego *hassali*
przeciwko niemu, tak, że ostatecznie zaczął tracić
grunt pod nogami i... wyjechał do Paryża.

Jako urodzony z matki Francuski (ojciec jego
bowiem po roku 1863 emigrował do Francji i tam

się ożenił, nim w kilka lat potem uzyskał możność powrotu do kraju), Henryk od dziecka mówił po francusku, jak rodowity Paryżanin, niemniej biegle umiając wypisać się w tym języku. Dzięki temu, gdy się znalazł na paryskim bruku, w bardzo krótkim czasie, przy swych wrodzonych zdolnościach i pracowitości, mógł wstąpić do cechu pisarzy francuskich. Jakoż nie upłynął rok, a już w *Revue des deux mondes* zaczęła się drukować powieść, podpisana przez Henri de Paupière, powieść, która mu zrobiła natychmiastową sławę, odrazu go stawiając obok najświetniejszych mistrzów powieści francuskiej, zwłaszcza obok Bourgeta, z którym miał wiele cech pokrewnych. Jak w swoim czasie Turgeniew, albo Chojecki, a w dzisiejszych czasach Wyzewa, tak samo Popiel, jako Paupière, zajął pierwszorzędne stanowisko w świecie literackim francuskim, stanowisko, które sobie zdobył równie szybko, jak bez wysiłku. Zajął je, gdyż mu się narzuciło siłą rzeczy, bo siłą talentu. Gdy umarł Albert Wolff, *Figaro* powierzył mu pisanie sprawozdań z wiosennych »salonów« paryskich, a gdy jego efektowna *Messalina*, napisana do spółki z Wiktorynem Sardou, a genialnie odtworzona przez Sarę Bernhard, przez półtora roku nie schodziła z afisza teatru *de la Porte Saint Martin*, redakcja *Journal des Débats* poprosiła go o pisanie sprawozdań teatralnych. Niemniejsem powodzeniem cieszy się jego komedia współczesna p. t.

Dogaressa, którą obecnie grają w teatrze *Gymnase*, a na której byłem razem z autorem.

Samo się przez się rozumie, że literackie sukcesy musiały iść w parze ze znacznymi zyskami materialnymi, które, wzrastając z roku na rok, sprawiły, że dziś mój przyjaciel jest bardzo zamożnym człowiekiem, a jego mieszkanie przy *Avenue de la Grande Armée* jest prawdziwym muzeum, jako »garsoniera« zaś niewiele chyba ma sobie równych, nawet w Paryżu.

Choć bardzo przystojny, o typie francuskim raczej, niż polskim, i choć znany ze swego szczęścia do kobiet, dla których jego prawdziwie męska uroda, poparta sławą pisarza, ma szczególny urok, Henryk mimo to nie ożenił się do tej pory, uważa się za starego kawalera, a na małżeństwo, jako źródło szczęścia dla mężczyzny, cóż dopiero dla literata=artysty, zdaje się zapatrywać dość pesymistycznie.

Dużo rozmawialiśmy na ten temat, przy której to sposobności zgadało się raz i o pani Helenie Hożyckiej, Antoniewskiej z domu, w której Henryk niegdyś kochał się w Warszawie, a nawet z którą o mało co się nie ożenił... Ponieważ z Hożycznymi, których niedawno malowałem portrety, łączy mię serdeczna zażyłość, o czem przy okazji napomknąłem Henrykowi, więc byłem przekonany, że będzie interesował się nimi, że mnie będzie wypytywał o tę swoją Beatrice, o której przed

laty rozmawialiśmy tak wiele, gdy jako student, a potem młody literat i redaktor *Obfudy* pozostawał pod jej czarem. Henryk przecież, ku memu niemałemu zdziwieniu, nie bardzo zdawał się interesować losami swego dawnego ideału: zapytał mnie tylko, kiedy panią Helenę widziałem po raz ostatni? Odpowiedziałem mu, że w ciągu ubiegłej zimy widywałem ją mało, gdyż po powrocie z Biarritz, gdzie Hożyccy spędzili całe zeszłe lato, często była cierpiącą, tak, że już w styczniu wysłali ją lekarze na Rivierę, do Nervi, skąd miała wrócić dopiero w maju. Ponieważ w tym czasie wyjechałem do Paryża, więc nie widzieliśmy się po jej powrocie. Ale jak mi mówił Hożycki, z którym raz po raz grywałem w bridge'a w resursie, i na Rivierze czuła się nieszczególnie... Henryk przyjął wiadomość tę obojętnie, bez śladu jakiegokolwiek wzruszenia, co mię upoważniło do wniosku, że z tej jego pierwszej miłości nie pozostało śladu. 'Jakoż, choć jeszcze parę tygodni bawiłem nad Sekwaną, ani razu już nie było mowy o Hożyckich.

Gdym wszakże, na wyjeździe z Paryża, przyszedł pożegnać się z Henrykiem, a w rozmowie poruszyłem sprawę jego starokawalerstwa, któremu ja jeszcze nie traktowałem na serjo, wyrażając pewność niemal, że i jemu w końcu sprzykrzy się ta samotność, ten brak rodzinnego ogniska, on nie bez pewnej melancholji zapewnił mię całkiem po-

ważnie, że nie przypuszcza, by moje przewidywanie sprawdziło się kiedykolwiek.

— W takim razie, rzekłem, szkoda niepowetowana, żeś wtedy z powodu tej nieszczęsnej *Obfudy* wyjechał z Warszawy, bo gdybyś był został w kraju, przedewszystkiem pisywał byś tylko po polsku, a nie prawie wyłącznie po francusku, a następnie możebyś się był ożenił z Helenką Antoniewską, w której tak byłeś zakochany.

— Co się tyczy mego wyemigrowania z kraju, odrzekł mi na to Henryk, to jeszcze by wiele dało się powiedzieć w tej materji. W każdym razie, ponieważ wyjeżdżasz jutro, a ja nie wiem, czy kiedy wybiorę się do Warszawy, i ponieważ nie wiemy obaj, kiedy nam los pozwoli zobaczyć się znowu, więc przygotowałem dla ciebie pamiątkę, którą ci dziś ofiaruję: z tem zastrzeżeniem przecież, że dopiero po przyjeździe do domu rozpieczętujesz ten pakiet, a gdy się poznasz z jego zawartością, nigdy mi, pisząc do mnie, nie wspomnisz o tym upominku.

Przy tych słowach podszedł do biurka, na którym już przedtem zauważyłem grubą opieczętą paczkę, i podając mi ją, rzekł w formie objaśnienia:

— Przypominasz sobie zapewne, że już od czasów szkolnych zawsze pisałem dziennik. Otóż piszę go dotychczas. A choć w gruncie rzeczy wyszedłem na pisarza francuskiego (bo to, co rzadko

pisuję po polsku, nie liczy się prawie), to jednak ten mój osobisty *journal intime* piszę po polsku. W pakiecie tym, który cię tak intryguje w tej chwili, znajdziesz — to ci mogę powiedzieć już teraz — mój dziennik z zeszłorocznych wakacyj, które się stały pamiętnymi dla mnie, a które potwierdziły głębokie spostrzeżenie Bourgeta: *Les vrais drames du coeur n'ont pas d'événements*. Gdy sobie w spokoju przeczytasz te moje zapiski, które w ciągu tej zimy, w ciche samotne wieczory w chwilach spleenu i melancholji, opracowałem na wieczną rzeczy pamiątkę, a nawet sam własnoręcznie przepisałem na czysto, to zrozumiesz, dlaczego przed trzynastu laty wyjechałem z Warszawy, dlaczego według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wrócę tam nigdy, i dlaczego życia dokonam w stanie bezzennym. Powiedział ktoś trafnie, że na dnie każdego starokawalerstwa zawsze leży jakaś tragedia. Otóż moja tragedia jest spisana w tym manuskrypcie, który trzymasz w ręku, a który postanowiłem ci ofiarować w dowód naszej starej przyjaźni.

Przyjechawszy do Warszawy, natychmiast wziąłem się do wertowania pomienionego rękopisu, wrażenie zaś, jakie na mnie zrobiła jego lektura, równało się bolesnej niespodziance.

Oto, com wyczytał w tym pamiętniku mojego przyjaciela:

Blarritz, 10 sierpnia. Sobota.

Przez cały czas pobytu mego w Vichy, skąd wyjechałem dopiero onegdaj, nie zapisałem ani jednej kartki w tym dzienniku: raz dlatego, że o ile zasiadałem do biurka, to pisałem moją powieść dla *Revue des deux mondes*, albo listy do rodziny i przyjaciół, tak, że już nie miałem czasu ani ochoty na systematyczne notowanie doznawanych wrażeń, a powtórę nic się tam w mem życiu nie działo takiego, coby było godne upamiętnienia. Na to samo zdawało się zanosić i tutaj, gdy nagle dzień dzisiejszy przyniósł z sobą szereg całkiem niespodziewanych uczuć, które w dzienniku psychologa, notującego obserwacje nad sobą samym, muszą być nietylko zapisane, ale pobudzają do bacznej analizy...

Dochodziła pierwsza po południu. Orzeźwiony przepyszną kąpielą morską, a mając jeszcze z pół godziny czasu do śniadania, wstąpiłem do *Patisserie Miremont* na kieliszek Marsali. Kiedym przechodził koło bufetu z ciastkami, rozglądając się za wolnym stolikiem, zwróciła moją uwagę elegancko ubrana kobieta w białym flanelowym ko-

stjumie, w dużym słomkowym kapeluszu z odrzuconym blado-niebieskim welonem automobilowym. Zajęta wybieraniem ciastek, choć była tyłem odwrócona do mnie, tak, żem nie mógł dojrzeć jej rysów, mimo to zaciekawiała na pierwszy rzut oka, pozwalając się domyślać, że przy tak pięknej postawie, przy takiej figurze Paryżanki i twarz musi być niezwyklej urody. Zauważyłem tylko, że jest brunetką, bo modnie zaczesane włosy, przebiegające poprzez jedwabisty woal, były kruche. Przekonany, że to jakaś dama z arystokracji hiszpańskiej, której tylu bogatych przedstawicieli ma swoje letnie rezydencje w Biarritz, zbliżyłem się ku niej, w ten sposób, by móc zobaczyć twarz pod rondem kapelusza, co widocznie nie uszło jej baczności, bo w tejże chwili zwróciła się w moją stronę, spojrzała na mnie, a ja... uczułem nagle, że mi się mroczy w oczach. Poprostu osłupiałem ze zdziwienia... Albowiem było to bóstwo mojej młodości, dawna panna Helena Antoniewska, która po moim wyjeździe z kraju wyszła za jakiegoś bogatego przemysłowca, Hożyckiego.

Co za spotkanie! Poznałem ją odrazu, a choć musiałem się zmienić w ciągu tych lat dwunastu, przez któreśmy się nie widzieli, to jednak i ona poznała mnie od pierwszego wejrzenia. Zdaje mi się nawet, że podobnie, jak ja, i ona drgnęła na mój widok. Co pewna, że nim zdążyliśmy przemówić do siebie, ona zapłonila się cała. Uderzyło

mnie to odrazu, pomimo, że w danej chwili jeszcze nie mógł zebrać myśli należycie, nie wiedząc, jak właściwie zachować się w tej nieprzewidzianej sytuacji, co począć z sobą: czy ukłonić się i przemówić do niej, czy udać, że jej nie poznaje, lub że ją przez pomyłkę wziął za kogo innego? Że jednak kobieta zawsze w takich razach prędzej, aniżeli mężczyzna, odzyskuje przytomność umysłu, więc kiedym ja wahał się jeszcze, nie mogąc powziąć żadnej stanowczej decyzji, ona pierwsza przerwała tę chwilę zobopólnego zakłopotania, odzywając się z miłym — tak dobrze mi znanym — uśmiechem, a jednocześnie podając mi rękę:

— Widzę, że pan jeszcze nie jest pewnym, czy to ja, ale ponieważ ja jestem całkiem pewna, że to pan, więc witam pana, jako pańska dawna... znajoma z Warszawy.

Powiedziała to takim tonem, z takim dziwnym naciskiem na wyrazie *znajoma*, który wymówiła po krótkiej pauzie, jakby po krótkim namyśle, a przytem tak jakoś dziwnie powłóczyście spojrziała na mnie w tej chwili, żem nie wiedział na razie, jakim krytycznym komentarzem opatrzyć to wymowne spojrzenie, czy w niem dopatrywać się ironji, czy wyrzutu; a przedewszystkiem straciłem kontenans o tyle, iż po namyśle ostatecznie zdobyłem się na najbanalniejszą odpowiedź w tych słowach:

— Owszem, odrazu poznałem panią, choć przy-

znaję, że prędzej bym się spodziewał piorunu z jasnego nieba.

— *Un coup de foudre?* zapytała mię dwunacznie, z zalotnym błyskiem w cudnie zmrużonych oczach.

— W każdym razie trudno o większą i miłszą niespodziankę, odrzekłem, wciąż ją trzymając za rękę, co zresztą było tylko rzeczą roztargnienia.

— Wobec takiego komplementu nie pozostaje mi nic innego, tylko się wywzajemnić podobnym, że i ja prędzej spodziewałabym się spotkać którego z bohaterów pańskich powieści, aniżeli ich autora, którego przecież mienię się starą przyjaciółką, choć go może nie spodziewałam się spotkać kiedykolwiek. Lecz skoro nam losy pozwoliły zobaczyć się po latach dwunastu, to mam nadzieję, że pan nie złorzeczy temu zrządzeniu Opatrzności.

— Czy chciałaby pani, bym błogosławił tę chwilę? zapytałem znacząco, już odzyskując panowanie nad sobą.

Ona jednak, zamiast odpowiedzieć na tak śmiało postawione pytanie, spuściła oczy, cofając się przed mem nieco badawczem spojrzeniem, i zapytała z kolei, ale już całkiem odmiennym tonem: «Dawno pan już w Biarritz?»

— Od wczoraj. A państwo?

— O, my tu jesteśmy już od trzech tygodni. A pan na długo?

— Myślę tu zabawić do końca sezonu, o ile mi będzie dobrze.

— A jak się panu zdaje, zapytała już nie bez pewnej wyraźnej kokieterji w filuternie ożywionych oczach, czy będzie tu panu dobrze?

— Odpowiem na to pytanie, ale pod jednym warunkiem.

— Mianowicie?

— Że mi pani pozwoli być szczerym.

— Jakto, tak odrazu mam na to pozwolić?

— W przeciwnym razie nie powiem nic.

— Wobec tego proszę mówić.

— Kiedy tak, to wyznam z całą otwartością, że wszystko będzie zależało od pani, a raczej, przepraszam, chciałem powiedzieć od państwa, bo skoro tu pani bawi z rodziną...

— Tak jest, bawię tu z mężem i z dziećmi, których — może pan nie wie o tem — mam dwoje: chłopca i dziewczynkę. Właśnie tam siedzą w automobilu przed cukiernią. Jeżeli pan ciekaw, to mu zaprezentuję moje pociechy, których zresztą nie potrzebuję się wstydzić.

— Widocznie podobne do mamusi.

— Dziewczynka istotnie podobna do mnie, ale zanim ją pan zobaczy, muszę przedewszystkiem, daruje pan, wybrać trochę ciastek. Przy tej słodkiej sposobności spieszę dać wyraz nadziei, że skoro spotkaliśmy się w tem uroczem Biarritz, to nie przypuszczam, by pan chciał unikać widywa-

nia się z nami. Mieszkamy na *Promenade de la Grande Plage*, w willi *Mon bonheur*. Będziemy szczęśliwi oboje, jeżeli autor *Messaliny*, którą, jadąc tutaj, widzieliśmy w Paryżu, zechce odwiedzić nami swemi skromny nasz dom zaszczyścić.

Gdym jej podziękował za łaskawe zaproszenie, przyrzekając, że zeń nie omieszkam skorzystać niebawem, a pani Helena, uściwszy należytość za ciastka, już z zawiniętą paczką w ręku była gotowa do wyjścia, przypomniałem jej, że obiecała mi zaprezentować swoje dzieci, co się równało przy mówce, że jej chcę być pomocnym, gdy będzie wsiadała do automobilu. Jakoż po chwili znaleźliśmy się na trotuarze, wzdłuż którego stało kilka samochodów.

— Ten czerwony to nasz właśnie, wyjaśniła mię pani Helena, wskazując na wytworny półotwarty, jak *landeau*, automobil amarantowego koloru, stojący o kilkanaście kroków od cukierni, a w którym już zdaleka ujrzałem ślicznie ubraną dziewczynkę z typową angielską boną do dzieci. Chłopek, również cały na biało, siedział na koźle obok szofera w szarej liberji. Gdyśmy podeszli do nich, pani Helena, oddając ciastka Angielce, rzekła do córeczki:

— Zosiu, przywitaj się z panem.

Uścisknąwszy podaną sobie z wdziękiem rączkę, przekonałem się odrazu, że ośmioletnia Zosia jest żywym portretem matki: te same krucze włosy,

te same czarne oczy, te same gęste brwi, te same długie rzęsy, ten sam nosek z rozdętymi chrapkami, te same dołeczki po bokach ust, ta sama gracia w każdym ruchu, ta sama zalotność w spojrzeniu przy każdym uśmiechu. Przypomniały mi się te odległe czasy warszawskie, w domu przy ulicy Miodowej, gdy jeszcze panią Helenę znał taką małą dziewczynką dwunastoletnią, gdy jako gimnazysta, a przyjaciel jej braci, kochał się w niej bez pamięci... Przypomniały mi się te lekcje tańca, na których tak mieliśmy się ku sobie, te wakacje na wsi, gdzie ją obwoził łódką po stawie, te sielankowe spaceru do lasu, na grzyby, na jagody. Wszystko to żywo stanęło mi przed oczyma, gdy teraz patrzył na jej śliczną córeczkę, tak podobną do niej, taką samą filuterną »wyrwiduszkę«, jaką była jej matka, gdy ją znał dzieckiem. Tymczasem przywitałem się także i z chłopcem, starszym, mniej więcej dziesięcioletnim, ładnym szatynkiem o niebieskich oczach, o żywym inteligentnym spojrzeniu. Ubrany po marynarSKU, bynajmniej nie stropiony poznaniem obcego mężczyzny, bardzo mi się spodobał. Domyśliłem się zaraz, że musi być podobny do ojca, co, potwierdzone przez panią Helenę, pozwoliło mi odgadnąć, że ma przystojnego męża.

Ale wypadało się pożegnać, bo właśnie na zegarze *de la Mairie* wybiła pierwsza, a bałem się, by zbytnio nie przedłużać tego przypadkowego

spotkania. Widząc więc, że pani Helena chwyciła za klamkę, zacząłem się żegnać, poczem, gdy otworzyła drzwiczki, zlekka ją podparłem przy wsiedaniu. Gdy już zajęła miejsce obok córeczki, rzekła, podając mi rękę:

— A zatem do widzenia! Spodziewam się, że niedługo będziemy czekali na wizytę pana.

— I ja mam tę miłą nadzieję, odrzekłem, a choć przy tem pożegnaniu mogłem ucałować jej rękę, nie uczyniłem tego umyślnie. Żresztą to polski zwyczaj, a we Francji ludzie nie żegnają się tak czule, nawet z piękną kobietą.

Tymczasem szofer zakręcił korbę, automobil zaczął drgać i huczeć, a po chwili gładko ruszył z miejsca. Gdym na pożegnanie uchylił kapelusza, pani Helena, z ujmującym uśmiechem obracając się ku mnie, jeszcze mi przesłała jedno pożegnalne spojrzenie, spojrzenie z poza cudnie zmrużonych rzęs, jedno z tych spojrzeń zalotnych, które dawniej w tak hipnotyzujący sposób zakradały mi się w głąb duszy.

Po upływie kilku sekund, gdy szybko mknący samochód skręcił na lewo, w stronę *Casino municipal*, i mnie nie pozostało nic innego, tylko pójść w kierunku przeciwnym, ku *Hotelowi d'Angleterre*, gdzie mieszkam.

Przechodząc przez ogród hotelowy, szedłem zamyślony, gdyż bądź co bądź jeszcze nie ochłonąłem z wrażenia. Przesadziłbym, gdybym napisał dra-

matycznie, że byłem wzburzony, że mi serce po sienkiewiczowsku «biło jak młotem», że mi pierś wzbierała przyspieszonym oddechem, że szedłem, jak lunatyk, nie widząc ludzi, którzy szli obok, że nie wiedziałem, kiedym się znalazł w wielkim *hall'u* hotelowym, a potem przy mym stoliku w sali restauracyjnej. Tego wszystkiego nie doświadczyłem ani przez jedno mgnienie oka, co nie znaczy jednak, bym nie był zaskoczony tem spotkaniem z kobietą, która mogła być moją żoną, bym sobie nie zdawał sprawy, że to spotkanie może być początkiem psychologicznego konfliktu.

Gdybym się chciał wyrazić stylem powieściowym, napisałbym patetycznie, że wszystko, co w pamięci, a zatem i w duszy wiązało się ze wspomnieniem panny Antoniewskiej, uśpione od lat całych, teraz odżyło i zmartwychwstało nagle: gruba powłoka obojętności, a raczej zobojętnienia i zapomnienia, od tak dawna pokrywająca tyle wystygłych i zakrzepłych uczuć, tyle walk serdecznych, tyle uniesień i zachwytów, tyle goryczy i rozczarowań, tyle szamotań się i cierpień, pękła raptownie, a wszystko, co kryło się pod nią, zimne i obumarłe, zakotłowało się momentalnie, jakby wstrząśnięte prądem elektrycznym, szarpnęło całym mojem jestestwem. Że jednak nie piszę romansu, tylko mój własny bezpretensjonalny dziennik, więc unikając podobnych koturnów, muszę powiedzieć

poprostu, że to spotkanie jednak mię trochę wytrąciło z równowagi.

Nie ulega wątpliwości, że całe popołudnie, cokolwiek robiłem, gdziekolwiek poszedłem na przechadzkę, wciąż myślałem o pani Helenie: o wszystkim, co łączyło nasze losy, o wszystkim, co je rozdzieliło w końcu. Przypomniali mi się te dawno ubiegłe lata, najpierw szkolne, a potem czasy mych pierwszych debiutów literackich, kiedy to, mieszkając w domu, należącym do rodziców Heleny, a zaprzyjaźniony z jej braćmi, widywałem ją niemal codziennie, jak się w niej kochałem zapamiętałem, miłością młodziutkiego literata-romantyka, jak wreszcie przyszło do tego, żem myślał oświadczyć się o jej rękę... W moim dzienniku z tych czasów, pisanym rzeczywiście *con amore*, wszystko to znalazło swe liryczno-sentymentalne odbicie. Tam, jak w studenckim zielniku z zasuszonemi roślinami, wszystkie me »uczuć kwiaty« są przechowane. Dziś to już snem jest, jak mówi poeta: dziś mogę się uśmiechać na myśl o tych »katuszach«, przez jakie przechodziłem wtedy, gdym zaczynał wątpić o Helence, gdym musiał być świadkiem triumfów, jakie święciła w czasie swego pierwszego karnawału, gdym trawiony zazdrością zło-rzeczył jej kokieterji, jej upodobaniu w życiu światowym i salonowym, jej swawolnemu igraniu z mojem uczuciem. Pamiętam, żem się wtedy uważał za najnieszczęśliwszego z ludzi, tak dalece, że

gdyby nie literatura, gdyby nie marzenia o sławie, kto wie, może bym skończył jak Werther. Dziś, na widok tej, która wówczas tak przełomową rolę odegrała w mojem życiu, serce mi może nie zaabiło żywiej, ale co pewna, że jeszcze w tej chwili, gdy wieczorem kreślę te słowa, nie mogę myśleć o czem innem, tylko o tym dziwnym przypadku, że z osobą, którą kochałem niegdyś, a którą mogłem nie spotkać nigdy w życiu, teraz mi wypadnie widywać się przez kilka tygodni.

Trzeba by być pozbawionym wszelkiej wrażliwości i uczuciowości, żeby, zobaczywszy tę, którą się ubóstwiało niegdyś, nie doznać najmniejszego wzruszenia, zwłaszcza, gdy ta, którą się znało przed laty, jako śliczną pannę, rozwinęła się na wspaniały balzakowski typ kobiety trzydziestoletniej, »w lat niewieścich wchodzącej południe«. Skłamałbym sam przed sobą, gdybym nie zapisał wrażenia, jakie na mnie dziś zrobiła pani Helena, wrażenia, które przedewszystkiem zasadzało się na tem, że mimo wygórowane pojęcie, jakie miałem o niezwyklej urodzie 18-letniej panny Heleny, nigdy nie przypuszczałem, by z niej z czasem mogła się rozwinąć tak powabna, tak kusząco piękna kobieta.

Ale piękna żona, zepsuta powodzeniem światowem, to nie zawsze dobra żona, a raczej to najczęściej zła żona, a już zawsze zła żona, zły geniusz dla literata, dla artysty. Pod tym względem

nie zmieniłem mojego zdania z przed lat dwunastu. To samo zapatrywanie na kwestję małżeństwa dla umysłów twórczych, dla ludzi talentu, jakie miałem wtedy, gdym się zdobył na heroiczny czyn zerwania z Heleną, mam i obecnie.

11 sierpnia. Niedziela.

Cały dzień dzisiejszy spędziłem w San Sebastian. Byłem na walce byków, którą zresztą widziałem nie po raz pierwszy; parę godzin spędziłem w tamtejszem kasynie, gdzie nawet nie bez powodzenia próbowałem szczęścia w *trente et quarante*; a wieczorem w jakimś teatrzyku patrzyłem na tańce hiszpańskie. Lecz ani piękna *corrida*, ani wena przy hazardzie, ani namiętny *fandango*, nie zdołały zaabsorbować mnie całkowicie, bo po prostu nie mogłem się opędzić myślom o pani Helenie.

Przedewszystkiem nasunęło mi się pytanie, czy by nie było najrozsądniejszym, zamiast chodzić z wizytą do Hożyckich, wyjechać z Biarritz, przenieść się do San Sebastian. Nie znam nic przykrejszego, jak kłopotliwe sytuacje, a moje położenie w Biarritz, gdy będę zmuszony zbliżyć się do Hożyckich, z natury rzeczy stanie się drażniącym.

Po namyśle jednak przyszedłem do wniosku,

że przecież Biarritz, o wiele miłsze, niż San Sebastian, jest dość rozległe, by na jego przestrzeni i dla mnie i dla Hożyckich znalazło się dość miejsca. Ostatecznie sytuacja zależy wyłącznie ode mnie: będę chciał widywać się z Hożyckimi, to oni z pewnością nic nie będą mieli przeciwko temu, a nie będę się chciał wiązać z nimi, to oni z pewnością nie zmuszą mnie do tego, nawet ona. Pierwsza wizyta jeszcze nie obowiązuje do niczego.

Z drugiej strony nie mogę zataić przed sobą, że trochę jestem zaintrygowany tą sytuacją. Radłbym np. dowiedzieć się przy tej sposobności, jaką żoną jest pani Helena? Czy kocha swojego męża? Czy Hożycki jest szczęśliwy w pożyciu z nią? Czy jest zazdrosnym mężem? Oto pytania, które mi ciągle snuły się po głowie, a jednocześnie jakieś intuicyjne przeczucie utwierdzało mię w przeświadczeniu, że należy powątpiewać o szczęśliwem pożyciu Hożyckich. Trudno przypuścić, by tak piękna kobieta, tak zalotna wobec mężczyzn, mogła nie budzić niepokoju w sercu męża, budząc pożądanie w innych. Każda piękna kobieta jest egoistką, zakochaną w sobie, wszystko gotową poświęcić dla siebie, dla swej próżności, a już najmniej sobie robi skrupułów, gdy chodzi o jej małżonka. Starożytna historia o Helenie, Menelaju i Parysie, do dziś dnia nie jest przestarzała. A że i tu wchodzi w grę Helena, wcale nie brzydsza od greckiej, więc mam uczucie, że Hożycki musi być nieco po-

dobnym do Menelaja, jeżeli nie do tego z operetki Offenbacha, to w każdym razie do tego z epopeji Homera.

Jeżeli te moje domysły są trafne, to już wiem z góry, że i jako matka, pani Helena nie musi być ideałem. Takie kobiety, jak ona, zwłaszcza gdy są bogate, mało się troszczą o dzieci, których zresztą chcą mieć jak najmniej. Skoro Hożyccy po 11-stu latach mają tylko dwoje dzieci, to dowód, że nie chcą mieć więcej, a raczej, że ona nie chce mieć więcej. A skoro tak, to pewno i te, które już wydała na świat, zostawia na opiece bon i guvernantek. Każda piękna kobieta najczęściej ma w sobie coś z kokoty, co oczywiście wyklucza macierzyńską czułość względem dzieci, nawet własnych.

Że te moje hipotezy nie są zupełnie bez podstaw, za tem przemawia choćby wczorajsza rozmowa pani Heleny ze mną, jej całe zachowanie się wobec mnie. Już to samo, że mię zaraz zaprosiła pierwsza, nie mało może dać do myślenia. Wszak doskonale mogła poprzestać na przywitaniu, na paru minutach konwencjonalnej rozmowy, a z zaprosinami wstrzymać się do następnego spotkania, albo nie zaprosić mię pierwaj, dopóki sam nie przymówię się o to. Było by to i subtelniej, i dyplomatyczniej, i pewniej, choćby ze względu na jej miłość własną. Bo nużbym nie miał ochoty do pójścia z tą wizytą! A jeżeli po tem wszystkim, co nas łączyło przed dwunastu laty, ona tak mało

okazała się *reservée* w stosunku do mnie, którego w każdym razie trochę musi mieć na sumieniu, to nie umiem sobie skwapliwości tej wytłómaczyć inaczej, tylko nieprzepartą chęcią zbliżenia się do mnie, pociągnięcia mnie ku sobie. Przy jej usposobieniu, które zawsze było cokolwiek *romanesque*, taka zdrożna chęć ponownego nawiązania przerwanej sytuacji romansowej, taka grzeszna zachcianka poigrania z dawnymi wspomnieniami, a dawno wystygłem uczuciem, które może by się dało rozniecić na nowo, łatwo da się zrozumieć, zważywszy, że chodziło by tu głównie o zaspokojenie kaprysu.

Kto wie zresztą, w jakiej fazie znajduje się ona obecnie? Jak się przedstawia jej stosunek z mężem? Jak żyją z sobą? Któż to może wiedzieć, czy pani Hożycka po 11-stu latach małżeństwa nie jest spragniona jakiegś zmiany w tem jednostajnem życiu, czy nie zaczyna się nudzić z mężem, czy nie zaczyna tęsknić za czemś, czego jeszcze nie zaznała dotychczas? Wszak prędzej czy później każda kobieta chciałaby *mettre un roman dans sa vie!* Cóż dopiero kobieta takiej urody, takiego waloru w oczach mężczyzn, jak ona! Za piękną jest na to, by od czasu do czasu nie była wystawianą na pokusy różnego rodzaju. Któż może zaręczyć za nią, że doszedłszy do tego niebezpiecznego wieku, w którym kobieta ma do czynienia z momentem krytycznym i przełomowym w dziejach swej cnoty,

nie jest w poszukiwaniu kochanka, o ile go nie miała do tej pory? Jeżeli moja djagnoza jest trafna, to dlaczego nie miałbym przypuścić, że, spotkawszy się ze mną, dla którego kiedyś w każdym razie miała dość żywą skłonność, mogła powziąć zamiar, by właśnie mnie nakłonić do tej pociągającej roli? Wszak nie brak mi warunków po temu. Tyle zarozumiałości mam o sobie.

Możebnem jest również, że pani Helena, natknąwszy się na mnie, który ją bądź co bądź w swoim czasie przypawiłem o porażkę, pragnie znaleźć okazję do odwetu? Bo że w konflikcie ze mną, w pasowaniu się dwóch naszych dusz, ona poniosła szwank, to nie ulega wątpliwości.

Powiedział raz Goethe, że »jakaś mała miłostka jest jedyną rzeczą, która może uczynić nam znośnym pobyt w miejscu kuracyjnem; inaczej można umrzeć z nudów«. Otóż jeżeli moje hipotezy trafiają w sedno rzeczy, czyli, że pani Helena pragnie tu zastawić na mnie sidła, nie sprzeciwiam się temu w zasadzie. Rzuconą sobie rękawicę — byle nie między lwy i tygrysy — podejmę chętnie, a wyzwania nietylko się nie ulękę sromotnie, ale je przyjmę gwoili rozrywki, w myśl powyższej maksymy Goethego.

Niech więc piękna pani Helena, o ile rzeczywiście ma jakieś intencje w tym kierunku, jeszcze raz na mnie spróbuje skuteczności swej kokieterji. Wprawdzie nie jestem już tym romantycznym

»Mussecikiem«, jak mnie nazywała wtedy, gdy rolę paza u jej stóp poczytywał sobie za największe szczęście, ale to nie przeszkadza wcale, że jeszcze nie przestałem podlegać czarowi pięknych oczu kobiecych, choćby to nawet były te same czarne oczy, w których niegdyś widziałem okna do raju. Dziś nie mierzę tak wysoko, nie bujam po tak podobłocznych sferach, ale trzymam się ziemi, a od płomiennych oczów kobiecych nie wygram wcale, by mnie zaraz wprowadziły do jakichś nieziemskich Edenów...

12 sierpnia. Poniedziałek.

Rano po kąpieli zrobiłem dłuższy spacer w kierunku latarni morskiej. Wracając, umyślnie poszedłem na *Promenade de la Grande Plage*, ażeby zobaczyć, gdzie się znajduje willa *Mon bonheur*.

Bo przyrzekłszy pani Helenie, że będę u nich z wizytą, uważałem, że skorom tego nie uczyniłem wczoraj, powinien to zrobić dzisiaj. Gdy jednak powziął to postanowienie, przyszło mi na myśl, że mogę się wybrać na próżno, bo mogę nie zastać Hożyckich. Płonne obawy! Będzie to rzeczą pani Heleny, ażeby nie przychodził nadaremnie. Od czego spryt kobiecy? Choćby jej małżonek, wobec ślicznej pogody, nawet proponował jaki spacer, ona będzie umiała znaleźć dość pretekstów, żeby

o 4-tej wszyscy byli w domu. O czym nie wątpiłem również, to, że ta moja wizyta nie będzie nie=spodzianką dla Hożyckiego. Pani Helena niewątpli=wie opowiedziała mu o naszym spotkaniu, o tem, że, zaproszony przez nią, obiecałem być u nich. Niemniej jestem pewny, że o wszystkim, co mię przed 12-tu laty łączyło z panną Heleną, Hożycki, o ile nie wiedział dotychczas, to i teraz niczego nie dowie się od niej. To będzie nasza tajemnica, do której jego nie dopuścimy napewno. Gotówbym przysiąc także, że pani Hożycka, gdy onegdaj mę=żowi mówiła o swem spotkaniu ze mną, bezwa=runkowo na to nie kładła szczególnego nacisku, mówiąc o tem, jak o zwykłym przypadkowym spotkaniu z dobrym znajomym, którego nie wi=działa przez czas dłuższy.

Wśród podobnych rozmyślań, któremi byłem zaabsorbowany przez całe pół dnia, punktualnie o godz. 4-tej znalazłem się przed żelaznemi szta=chetami willi *Mon bonheur*, nawiasem mówiąc, bardzo ładnej willi w stylu francuskiego renesansu. W niezbyt wielkim ogrodzie przed willą, ocienio=nym tamarisami i jesionami, a zdobnym krzewami rozkwitłych hortensji, bawiło się dwoje dzieci, w których odrazu poznałem małych Hożyckich. W hamaku, zawieszonym między dwoma drze=wami, leżał jakiś mężczyzna w jasnym ubraniu, za=czytany w książce z żółtą okładką. Ujrawszy mnie, mijającego furtkę od ulicy, i przyjrawszy mi się

baczniej, zaraz wyszedł na moje spotkanie. Domyśliłem się, że to mąż pani Heleny, on zaś wi docznie uprzedzony przez żonę, także musiał poznać mnie odrazu, bo jeszcze nie zdążyłem zapytać go, czy mam przyjemność mówić z panem Hożyckim, gdy on, uprzedzając moje pytanie, rzekł po polsku:

— Zdaje się, że mam zaszczyt powitać pana Henryka Popiela.

Z kolei nastąpiła uprzejma wymiana całego szeregu frazesów, nieodłącznych od takiego poznania się dwóch ludzi, pierwszy raz widzących się w życiu, poczem Hożycki, wskazując mi schody na taras, prosił, bym raczył wejść dalej.

Znalazłszy się w wytwornym saloniku z fortepianem w rogu, z ładnymi obrazami, gdym na chwilę został sam, bo Hożycki poszedł po żonę, starałem się zdać sobie sprawę z sympatycznego wrażenia, jakie na mnie zrobił mąż pani Heleny, ale zaledwie zdołałem stwierdzić w myśli, że jako przystojny, trochę szpakowaty szatyn o inteligentnym wyrazie twarzy, wcale nie wygląda na operetkowego Menelausa, we drzwiach ukazała się pani domu, ślicznie uczesana, (niewątpliwie przez fryzjera, bo trudno przypuścić, by sama umiała czesać się tak kunsztownie), z brylantowymi butonami w uszach, w ciemnej sukni, wyglądająca jak Junona.

W czasie pierwszych zapytań i odpowiedzi,

z których dowiedziałem się, że pani Helena tak dziś była pewną mojej wizyty, iż do podwieczorku kazała dodać jedno nakrycie, nie bardzo zwracałem uwagę na Hożyckiego, raz po raz wtrącającego jakieś zdanie, bo poprostu nie mogłem się napatrzeć jego uroczej żonie: tak wypiękniała od czasów warszawskich.. Dopiero teraz mogłem się przyjrzeć jej naprawdę, w niedzielę bowiem, gdy była w kapeluszu, w woalce, widziałem zaledwie część twarzy. Dziś miałem możność oglądania tej pięknej głowy w całości, w bujnym kołpaku iście hebanowych włosów, z temi oczyma czarnemi, od których wymowniejszych nie zdarzyło mi się spotkać w życiu, z temi rysami bez zarzutu, z tą cudną matową cerą, z tą wspaniałą obsadą szyi, z tą niezrównaną linią ramion, godnych florenckiej Wenus. Jako zmysłowa piękność, jako uosobiony powab niewieści, bardzo niebezpieczny, bo niesłychanie pociągający dla mężczyzn, jest to prawdziwy fenomen. Żadna Hiszpanka, choć ich tyle, i pięknych, widuje się w Biarritz, nie ma takiego południowego typu, nie robi takiego wrażenia płomiennookiej córy Andaluzji, jak ta czarnobrewa Polka z Warszawy.

Tymczasem Hożycki, gdyśmy z oficjalnego salonu przeszli do przyległego buduaru, nie omieszkął powiedzieć mi paru zdawkowych komplementów, które dla mnie jednak nie były bez pewnego symptomatycznego znaczenia.

— Proszę mi tego nie poczytywać za banalne pochlebstwo, mówił między innemi, ale ponieważ zależy mi na tem, by pan się mógł zorjentować w stosunku do nas, więc muszę poinformować pana, że jesteś w domu, którego lokatorowie należą do najszczerzych i najzapaleńszych wielbicieli pańskiego talentu. Nie powiem za wiele, wyrażając się, że pan właściwie jest *naszym* ulubionym autorem. No, a już co się tyczy żony mojej, to ona poprostu przepada za pańskimi dziełami. Cokolwiek wyjdzie podpisanego pańskiem nazwiskiem, zaraz pierwszy egzemplarz, nadeszły do Warszawy, księgarz przysyła do nas.

Zauważyłem, że pani Helena, nie protestując przeciwko temu, zarumieniła się zlekka, gdy mąż tak podkreślał jej upodobanie w mych utworach.

Pozatem mówiło się o Biarritz, którem Hożyccy, będący tu po raz pierwszy, są zachwyceni, o willi *Mon bonheur*, należącej do jakiegoś miljonera z Bordeaux, którą im udało się wynająć na całe lato, nie tylko z umeblowaniem, porcelaną i srebrami stołowemi, ale z całą służbą, a nawet z automobilem, należącym do inwentarza tej wielkopańskiej rezydencji, a w końcu zeszliśmy na temat Paryża. Pani Helena, jakaś onieśmielona zrazu, aż dotąd brała dość skromny udział w rozmowie, dopiero, gdy się zgadało o Paryżu, ożywiła się znacznie, szczególnie interesując się moim rodzajem życia, mojami stosunkami towarzyskimi, przy-

czem starała się dowiedzieć, czym prędko zaaklimatyzował się nad Sekwaną, czym, osiadłszy w Paryżu na stałe, nie tęsknił za krajem, za miastem rodzinnem, za krewnymi, za znajomymi? Zgadłem natychmiast, kogo należało rozumieć przez tych »znajomych«. Poprostu pragnęła dowiedzieć się mimochodem, czy w Paryżu prędko zapomniałem o niej, czym prędko wyleczył się z mej miłości dla niej, czym tęsknił za nią, czym długo był jej wiernym w marzeniach? Czując, o co jej chodzi właściwie, dawałem stosowne odpowiedzi, a jednocześnie bawiła mię myśl, że cała nasza rozmowa, której przenośnie i niedomówienia my we dwoje rozumieliśmy doskonale, dla jej męża była bez tego podwójnego znaczenia. To, com mówił o mej tęsknocie za Warszawą, za tamtejszymi przyjaciółmi, bez których w obcym otoczeniu z początku czułem przeraźliwą pustkę wkoło siebie, Hożycki brał dosłownie, poprostu; tymczasem pani Helena wszystko rozumiała tak, jak było mówione przezemnie, więc z ukrytą myślą o niej, o naszych zerwanych węzłach. Gdym zapewniał, odpowiadając na pytanie Hożyckiego, że po zatargu z własnem społeczeństwem z powodu *Obfudy* nie miałem po co wracać do Warszawy, to pani Helena rozumiejąc, że nie jestem całkiem szczerym, że mówię tylko połowę tego, co myślę, uczyniła znaczącą uwagę, że, jej zdaniem, zbyt się zaciąłem w mej obrażonej dumie, że w podnieconej wyobraźni,

w zdenerwowaniu, gorzej widziałem wiele rzeczy, niż się miały naprawdę, że pomimo wszystkiego, co zaszło, a co spowodowało mój wyjazd z kraju, nie należało zrywać z nim bezwzględnie, należało przeczekać pierwszą fazę wzburzenia, a po kilku miesiącach wrócić do Warszawy, zobaczyć, co się tu dzieje, wysondować nastrój opinii, przekonać się, czy istotnie wszystko stracone.

— Proszę mi darować, rzekła, podnosząc na mnie swe wyraziste oczy, że tak otwarcie i bez ceremonji mówię o tym przełomowym momencie w pańskim życiu, ale i dzisiaj jeszcze, jak wtedy, uważam, że mając w Warszawie oddanych przyjaciół, nie mówiąc już o rodzinie, mógł pan śmiało, zbywszy wszelkich uraz, od czasu do czasu zajrzeć do kraju, przypomnieć się miłym znajomym, odwiedzić domy, gdzieby pana z pewnością, w imię długoletniej przyjaźni i zażyłości, przyjęto z otwartymi ramionami. Pierwszym takim domem byłby niewątpliwie dom moich rodziców, gdzie wszyscy dotąd wspominają mile, czytając pańskie francuskie powieści, jak to pan, jako Henio, bawił się z moimi braćmi, a potem mnie dawał lekcje literatury.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kamerdynera, anonsującego podwieczorek. Przeszliśmy do jadalni, gdzie pięknie zastawiony stół jasnością swą efektownie odbijał od ciemnych dębowych buazerji i gobelinów na ścianach. Gdym zajął wska-

zane sobie miejsce obok pani domu a naprzeciw gospodarza, weszły dzieci z boną. Upředzono mnie, że i one z nami zasiądą do herbaty, bym je mógł poznać przy tej okazji.

Skorom sie przywitał z dziewczynką, a potem z chłopcem, przyczem naturalnie i wyjątkowo wdzięcznej miss Bell oddałem ceremonjalny ukłón, Hożycki, gdy już dzieci usadowiły się obok Angielki, zapytał mnie, wskazując na chłopca:

— Czy wiadomo panu, że w synu mym ma pan imiennika?

— Jakto? spytałem, zaskoczony tą nowiną, czy rzeczywiście nazywa się także Henryk?

— Tak jest, panie, a jako Henryk nazywany jest w domu Heniem.

— Ha, skoro tak, to niechże go uścisknę.

Pani Helena, zajęta nalewaniem herbaty, gdy jej mąż poruszył tę kwestję, zdawała się nie słyszeć naszej rozmowy, bo wcale nie wmieszała się do niej. Co do mnie, to wiadomość, iż swemu pierworodnemu synowi Hożyccy nadali moje imię, nie mogła mi być obojętną. Odrazu nasunęło mi się pytanie: za czyją sprawą zdecydowano się na wybór tego imienia, i na czyją intencję, zważywszy, że ani ojciec pani Heleny, ani żaden z jej braci, nie mają Henryk na imię?... Przez cały czas podwieczorku, choć rozmowa toczyła się na najrozmaitsze tematy, nie miałem spokoju z powodu tej sprawy... Bo, że mały Henio Hożycki nie komu

innemu, tylko mnie zawdzięcza swe imię, i to an wyrażne życzenie matki, o tem nie wątpię ani przez chwilę.

Po herbacie przeszliśmy na taras, gdzie mię Hożycki poczęstował warszawskimi papierosami, a pani Helena czekoladkami od Lourse'a. Siedzieliśmy na wygodnych czerwonych fotelach z wikliny, mając widok na morze. Ale po jakimś kwadransie wypadało się pożegnać, bo i tak już, jak na pierwszą wizytę, nie liczyłem się z przepisaniem 20-tu minutami. Na pożegnanie rzekła mi pani Helena, że spodziewa się widywać mię często, a mówiąc to, nietylko na wyraz *często* położyła dobitny nacisk, ale nadto, jakby domyślając się, że chętnie bym z nią dłużej porozmawiał bez asysty męża, poinformowała mnie, że codzień o 10-tej siedzi w namiocie na plaży, gdzie dzieci bawią się w piasku, a ona haftuje lub czyta.

13 sierpnia. Wtorek.

Gdym wczoraj wyszedł z willi *Mon bonheur*, byłem w dziwnem usposobieniu: wizyta należała bądź co bądź do miłych, przyjęto mię serdecznie, a jednak czułem się jakiś nieswój, jakiś przygnębiany i upadły na duchu. Znalazłszy się na ulicy, nie wiedziałem, co począć z sobą: czy pójść prosto do hotelu, gdzie niebawem wypadało przebrać

się do obiadu, czy też iść na spacer, by się trochę orzeźwić świeżem powietrzem. Czując potrzebę jakiejś podniety, i to nietylko w formie zwykłego aperitif'u przed posiłkiem, ale i w postaci tłumy, rozgardjaszu, hałasu, po namyśle wstąpiłem pod arkady kasyna, gdzie o tej porze, przy dźwiękach cygańskiej kapeli, rojno i gwarno przy wszystkich stolikach. Zająwszy miejsce nieopodal muzykantów, kazałem sobie podać kieliszek *Amer Picon*, by w jego ostrej goryczy utopić moją chwilową depresję moralną, ale ostatecznie zawiodłem się w tym względzie. Choć dookoła wrzało życie pełne zgiełku, choć po didze obok snuły się tłumy, spacerujące o zachodzie, choć w dole na piasku panował zwykły hałaśliwy ruch, w którym dzieciom przypada rola główna, choć przypływające morze ciągle się odzywało rytmicznym hukiem bałwanów, i choć to wszystko pod cudnem turkusowem niebem, oblane złotawem słońcem, czyniło wrażenie barwności i wesołości: mnie mimo to dokuczał spleen, jakiś duchowy odpływ, który się wziął niewiadomo skąd, bez żadnej szczególnej przyczyny.

Bo, że pani Hożycka jest bardzo piękna, że ma sympatycznego męża i ślicznych dwoje dzieci, to jeszcze nie powód, żebym ja miał być trawionym melancholją! A co do mych obserwacji, poczynionych w ciągu tej dwugodzinnej wizyty, to jeszcze są one zbyt nikłe, by je brać za podstawę do jakichkolwiek wniosków. Na razie wiem tyle tylko,

że moja ex=Beatrice świetnie pod względem materialnym wyszła za mąż, że opływa we wszystko. Czy z niej jest dobra żona, a więc i czuła matka? w tej kwestji jeszcze nie mogę dać żadnej uzasadnionej odpowiedzi. Wprawdzie ogólne wrażenie wypadło raczej na korzyść pani Heleny, ale o kobiecie nie można wyrokować pod pierwszym wrażeniem. Tylko pod jednym względem doznałem jakby niejakiego zawodu: oto Hożycki wcale się nie wydaje być zazdrosnym, przeciwnie, wygląda na poczciwego męża, który jest całkiem spokojny i pełen zaufania. Co znaczy, że albo jest zbyt pewnym siebie, albo mu żona istotnie nie daje powodów do zazdrości. Ale w takim razie szalenie by się musiała zmienić po zamążpójściu!

Cokolwiekbądź, ogromnie się zmieniła na korzyść, gdy chodzi o efekt zewnętrzny, o czarującą powierzchowność. Gdybym był w swoim czasie, przed moim wyjazdem z Warszawy, mógł przewidzieć, że z tej prześlicznej jedynaczki rozwinie się tak wspaniała kobieta, kto wie, czybym może nie został w kraju. Coby się było stało ze mną, gdybym w końcu ożenił się z tą świetną panną, nie wiem; ale to wiem, że dziś, patrząc na nią, piękną, jak uosobiony grzech, mimowoli zazdroszczę jej mężowi, że posiada taką żonę i kochankę w jednej osobie. Przez dwanaście lat, odkąd mieszkam w Paryżu, nie zdarzyło mi się spotkać równie pięknej kobiety, nawet wśród kurtyzan!... Pytanie tylko,

czy z taką żoną można być szczęśliwym? Mając świadomość swego cielesnego powabu, a będąc urodzoną kokietką, żadną sercowych podbojów, pani Helena musi być mniej lub więcej płochą z natury, jako taka zaś, w tak swywołnem mieście, jak Warszawa, musi mieć grono wielbicieli, a trudno przypuścić, by między nimi nie znalazł się taki, co by mógł się pochłubić jej szczególnymi łaskami. W podobnych warunkach nie wyobrażam sobie, by kobieta mogła się zadawałniać miłością jednego mężczyzny, i to własnego męża w dodatku! Cóż dopiero, gdy się zważy, że w jej położeniu, przy jej majątku, prawie niepodobna nie jaśnieć, nie błyszczeć, nie bawić się, nie używać, nie korzystać z tych przywilejów, jakie daje bogactwo i uroda, i to taka uroda! A skoro, już jako panna na wydaniu, odznaczała się tak światowem usposobieniem, tak przepadała za zabawą, za tańcem, za flirtem, to dziś, jako mężatka, z pewnością nie zmieniła się o tyle, żeby nie smakować w tem wszystkim, zwłaszcza, że jako zamężna ma daleko szersze pole ku temu. Że mi się wydała jakaś stateczniejsza, żem jej ani razu nie przyłapał na gorącym uczynku jakiejś ryzykowniejszej kokieteryj, to jeszcze nie dowodzi niczego: wyrafinowane kokietki wiedzą dobrze, jak niebezpieczną kokieteryją jest pozorny brak kokieteryj z ich strony. A zresztą nie jest wykluczonem, że pani Helena ma respekt przed mężem, że jest krótko trzymaną przez niego,

że krępuje się w jego obecności. Kto wie przecież, czy nie jest inna, gdy na sobie nie czuje męzowskiego wzroku?

Tymczasem, nie wdając się w przyczyny mojego minorowego nastroju, cały wieczór wczoraj czułem się jakiś wytrącony z normalnego trybu. Pomimo długiego spaceru nad morzem, choć znudzony wróciłem do hotelu, byłem podniecony czegoś, tak, że zamiast się rozebrać i położyć, zasiadłem do pisania tego dziennika. Chętniebym sobie pograł na fortepianie (bo w pokoju mam już pianino), ale ze względu na sąsiadów musiałem się wyrzec tej przyjemności. Było już dobrze po północy, gdy odłożyłem pióro. A usnąłem dopiero po 4^{ej}, gdy już dzień rozjaśniał zapuszczone rolety okien.

Choć mi ta sprawa powinna być obojętną w zasadzie, to jednak nie śpiąc, nie mogłem myśleć o czym innym, tylko o tem, czy Hożycki jest szczęśliwy? czy w żonie znalazł wierną Penelopę, czy też... piękną Helenę? A czem sobie tłómaczyć fakt, że synowi nadała moje imię?

Wszystko to sprawiło ostatecznie, że zbudziwszy się już o 8^{mej}, zamiast się ubrać i wyjść z domu, do tej chwili siedziałem nad tym dziennikiem. Ale dochodzi 10^{ta}, trzeba iść na plażę, bo przecież pani Helena, jak mię zapewniała wczoraj, zawsze o tej porze przychodzi do swego namiotu.

Przypuszczam, że dziś przyjdzie sama, w każdym razie bez męża.

Godzina 2-ga po południu.

Ponieważ od samego rana było bardzo gorąco, więc ubrany w biały flanelowy kostjum, w słomkowym kapeluszu, tak, jak tu prawie wszyscy chodzą w upał, przed 11-tą wybrałem się nad morze. Nim zszedłem na piasek pomiędzy namioty, prze spacerowałem się po didze, gdzie jak zwykle o tej porze, w cieniu olbrzymiej markizy z żaglowego płótna, rozpiętej na całej przestrzeni arkad kasyna, już prawie wszystkie krzesła i fotele były zajęte przez wytworne towarzystwo. Środkiem przechadzali się piesi. Zaopatrzywszy się w nieodzowny gwoździk do butonierki, właśnie byłem w toku pogawędki z jedną z zalotnych kwiaciarek, które tu w rannych godzinach, z płaskimi koszami róż, gwoździków i fiołków, uwijają się wśród przechodniów, gdy nagle pod jednym z namiotów w drugim rzędzie od digi, ujrzałem panią Helenę. Dostrzegłszy ją, odrazu spotkałem się z jej spojrzeniem i uśmiechem, albowiem zobaczyła mnie pierwsza. Nastąpiła wymiana ukłonów, poczem natychmiast zbiegłem na dół. Zauważyłem już zdaleka, że siedziała sama zupełnie, czyli, że sprawdziły się moje wczorajsze przewidywania. Poprostu czekała na mnie.

Skonstatowawszy nieobecność Hożyckiego, a tem samem mając miłą pewność, że mogę liczyć na chwilę swobodniejszej rozmowy, bardzo się ucieszyłem na samą myśl o tem, a to zadowolenie widocznie się odbiło na mej twarzy, bo ledwo zdążyłem uścisnąć rękę pani Heleny, zaraz na samym wstępie zrobiła aluzję do mego zewnętrznego wyglądu.

— Kiedym patrzyła na pana, jak pan rozmawiał z tą przystojną fiorają, nie chciało mi się wierzyć, że to już dwanaście lat upłynęło od pańskiego wyjazdu z Warszawy. Nic się pan nie zmienił od tego czasu. Zawsze młody, zawsze smukły.

— Skoro mię pani wita komplementem, skoro w łaskawych oczach pani, małom się zmienił w ciągu tych lat dwunastu, to niechże i mnie będzie wolno, odpłacając się pięknem za nadobne, wyznać szczerze, że pani przez ten czas zmieniła się niesłychanie, prawie nie do poznania.

— Zestarzałam się? spytała żartobliwie, zalotnie mrużąc oczy.

— Zadziwiającej metamorfozy, którą pani przeszła od czasu, gdym panią widział jeszcze w Warszawie, nie umiem określić inaczej, tylko że dziś *pani* Helena tak się ma do *panny* Heleny, jak np. Rafael do Perugina, albo wyrażając się banalniej, jak wspaniale rozwinięta róża do wielce obiecującego pączka.

— Widzę, że i jako komplemencista, nie zmienił się pan wcale, czego zresztą nie biorę panu za złe, bo my, kobiety, cieszymy się zawsze, gdy nam ktoś daje do zrozumienia, że mu się podobamy.

Tymczasem zdążyłem przyjrzeć się pani Helenie zbliska. W dużej panamie z ponsową kokardą na przodzie, ubrana biało z pantofelkami włącznie, w uszach i na szyi miała perły, subtelnie harmonizujące z tym trójkątnym fragmentem dekoltu, który jak przez mgłę był widzialny poprzez muslinowy przód bluzki. Ponieważ siedziała na składanem krzeselku, a ja stałem nad nią, więc co chwila podnosiła powieki, a oczy jej, wyzierające z poza długich rzęs, podobnie, jak i niezmiennie wrażliwa twarz, niemal przy każdym słowie nabierały stosownego wyrazu. Nie przypuszczam, by znalazł się mężczyzna, któryby na widok tych oczu nie pomyślał o zawrotnej rozkoszy, z jaką, by się wcałowywał w te źrenice... Najbardziej to zmysłowa piękność, jaką spotkałem w życiu.

Zdaje się, że pani Helena intuicyjnie domyśliła się tych moich refleksyj o niej, bo nagle zaczęła unikać mego wzroku, patrząc w piasek, na którym parasolką kreśliła różne zygzaki. W końcu zaproponowała mi, bym sobie kazał przynieść krzesło. Gdym usiadł naprzeciwko niej, dowiedziałem się z kolei, że dzieci poszły z miss Bell do *Port des pecheurs* na połów krewetek, a mąż zaraz po

rannej kąpieli wrócił do domu, gdzie aż do śniadania będzie zajęty pisanem listów w interesach. Po południu ma być u mnie z rewizytą.

Ponieważ o Hożyckim wiedziałem tyle tylko, że ma jakąś fabrykę w Warszawie czy pod Warszawą, więc pragnąc dowiedzieć się o nim czegoś więcej, zacząłem się informować o niego, co naturalnie dogadzało pani Helenie. Dowiedziałem się zatem, że Hożycki jest głównym akcjonariuszem, a zarazem i dyrektorem wielkiej fabryki, wyrabiającej mosty żelazne, szyny, wagony, kotły parowe etc. etc. Syn bogatych przemysłowców warszawskich (ojciec jego, także inżynier-technolog, ożenił się z córką milionowego fabrykanta o niemieckim nazwisku), skończył politechnikę w Charlottenburgu, poczem na dalszych studjach spędził jeszcze parę lat w Belgji, w Anglji, a nawet w Ameryce. Gdy się żenił, był już na swem obecnem stanowisku. Bardzo wykształcony w swym zawodzie inżynierskim, poza obowiązkową pracą gorliwie się zajmuje sprawami społecznymi. Przez robotników jest uwielbiany poprostu, jako rzecznik ich interesów, co doskonale umie wiązać z świetnymi dywidendami. Choć zajęty prowadzeniem rozległych agend, jednak ma czas na wszystko: i na czytanie, i na karty, i na życie towarzyskie, i na ognisko rodzinne. Gdy się czuje przemęczony, wówczas bez żadnych poprzednich projektów, wyjeżdża za granicę, choćby na kilka dni.

— Z panią, czy sam?

— Zawsze jedziemy razem. Mąż mój, odkąd się ożenił, jeszcze ani razu nie wyjechał bezemnie. Nawet gdy wyjeżdża za interesami, jedzie ze mną, bo, jak powiada, interesy, choćby najważniejsze, zabierają mu najwyżej kilka godzin dziennie, a cóżby robił z resztą dnia, a zwłaszcza wieczorami. Tymczasem ze mną, czy to w Hamburgu, dokąd co roku jeździ po zakupy żelaza, czy w Londynie, czy w Berlinie, czy w Moskwie, czy w Petersburgu, nie czuje się osamotnionym w chwilach wolnych. Tym sposobem odbyłam wiele podróży niebanalnych, zobaczyłam wiele krajów i miast, którychbym nie poznała w innych warunkach. Dość powiedzieć, że byłam na jarmarku w Niżnim Nowogrodzie, znam Kijów w czasie kontraktów, jechałam syberyjskim ekspresem do Tomsku, widziałam pożar kopalni ropy na Kaukazie, a w roku wystawy w St. Louis odbyliśmy prześliczną podróż po Stanach Zjednoczonych.

— I zawsze we dwoje?

— Zawsze.

— Jakto? i nigdy się państwo nie rozstajecie na dłużej?

— Chyba w lecie, gdy dla dzieci jadę do Zakopanego, albo nad morze, ponieważ w porze wakacyjnej chodzi mi o to, by dzieci jak najdłużej mogły być na świeżem powietrzu, a mąż mój nie może mieć tak długich feryj; więc wtedy z ko-

nieczności musimy się rozłączać na dłużej. W zimie jednak, gdy na marzec jeździmy do Nizzy, gdzie i moi rodzice bawią przez cały sezon, zawsze jeździmy razem, bo mąż jeździ tam dla wypoczynku, dla przyjemności, wypoczynku zaś, a tembardziej przyjemności, nie rozumie bezemnie.

— Przyznaję, że patrząc na panią, nie przypuściłbym nigdy, by pani towarzystwo tak kojąco mogło działać na męzowskie nerwy. Sądziłbym raczej przeciwnie...

— Więc uważa pan jednym słowem, iż nie wyglądam na wzorową żonę?

— Tego nie chciałem powiedzieć, ale...

— Ale sobie pan pomyślał.

Tu zaczęła się bardzo interesująca rozmowa o szczęśliwych i nieszczęśliwych małżeństwach, z której wywnioskowałem łatwo, że pani Helena czuje się szczęśliwą w pożyciu małżeńskim. Ma męża bez zarzutu, prawdziwego *mari model*, który ją kocha bez zastrzeżeń, czemu się nie dziwię wcale, i który ze wszech miar zasługuje na to, by był kochanym nawzajem, ma ładne, zdolne i zdrowe dzieci, żyje w dostatku, graniczącym ze zbytkiem, nie wie, co to kłopoty i troski: słowem, pod każdym względem jest zadowolona ze swego losu. Stałem się wybadać ją trochę, czy to spokojne zadowolenie, podobne do cichego morza bez fali, nie sprowadza pewnego uczucia monotoni, czy niekiedy nie bywa poprostu nudnem, bo takie nie-

przerwane pasmo szczęścia, pozbawione wszelkiego urozmaicenia, to jakby obiad, nie złożony z różnych dań, tylko z samych deserów. »Wyobrażam sobie, że taki słodki obiad musi okazać się mdłym ostatecznie, co nawet w rezultacie może stać się przyczyną niepożądanych nudności«.

— Tak bywa może w teorii, albo w literaturze. Ale teoria, zwłaszcza gdy chodzi o małżeństwo, to nie praktyka, a literatura, to nie życie, niech mi pan wierzy. Życie układa się nie po literacku, a małżeństwo, gdy jest szczęśliwe, nie potrzebuje żadnych nadzwyczajnych urozmaiceń, któreby do jego pogodnych harmonij mogły wprowadzać burzliwe dysonanse.

Dość długo dysputowaliśmy na ten temat: ja dowodziłem przekornie, że można być szczęśliwym w małżeństwie, a nie wiedzieć jednak, co to jest prawdziwa miłość, bo szczęśliwe pożycie małżeńskie to jak letnia woda... Ona zaś, widocznie podniecona tą dyskusją, wciąż była odmiennego zdania, a na moje porównanie o letniej wodzie, które ją podrażniło cokolwiek, odpowiedziała mi ironicznie, że z dwojga złego woli letnią wodę, aniżeli kipiący ukrop, którym łatwo sparzyć się można, a to chyba nie należy do przyjemności.

Z ożywieniem gawędząc w ten sposób, aniśmy się spostrzegli, jak mimowoli zaczęliśmy mówić o miłości wogóle; wiadomo zaś, że gdy mężczyzna i kobieta zaczynają poruszać ten wdzięczny a nie-

wyczerpany temat, to temsamem wchodzą na nęcącą drogę flirtu. Jakoż niebawem rozmawialiśmy już z taką swobodą, tak poufale, jakby nas od podobnych wynurzeń nie dzieliło lat kilkanaście, lecz parę dni zaledwie, i jakby nas nic nie rozdzieliło w tym krótkim czasie.

A że podobne sympozjony uprawialiśmy i w Tatrach, więc rozmowa zeszła na Zakopane, któremu pani Helena rzadko sprzeniewierza się w lecie, nigdzie bowiem — zapewniła mnie — nie czuje się tak dobrze, jak w tej letniej stolicy Polski. Przed kilku laty mąż jej kupił tam willę, tę samą *Niezabudkę*, w której za mej ostatniej bytności w Zakopanem mieszkała z rodzicami, a w której ja wtedy bywałem codziennym gościem. Naturalnie, że dowiedziawszy się o tem, zaraz sobie uprzytomniłem romantyczne sceny, które owego pamiętnego lata rozegrały się pomiędzy nami, właśnie w tej willi. Stąd mimowolne przypomnienie tych wakacji, podczas których mię wszyscy uważali za narzeczonego Heleny, kiedy nietylko ja, ale i ona nawet zdawała się być tego samego mniemanie o mojej roli przy niej, choć nie byliśmy ani po słowie, ani zaręczeni oficjalnie. Cudne to były wakacje, bo rzeczywiście od początku do końca układały się jakby w jakiś poetyczny romans na tle jezior i turni tatrzańskich! W naszej dzisiejszej sytuacji, gdy ten cudowny poemat miłosny przysnął z czasem, jak bańka mydlana, był to przedmiot

drażliwy, bolesny poniekąd, ale chciałem zobaczyć, jak pani Helena zachowa się wobec tych naszych wspomnień, więc tak manewrowałem pytaniami i odpowiedziami, żeby ile możliwości jaknajdłużej nie dopuścić do urwania się wątku. Dzięki temu przez dobry kwadrans mówiliśmy wyłącznie o Zakopanem i o willi *Niezabudce*, o naszych wspólnych wycieczkach w góry, o tej księżycowej nocy, którąśmy przemarzyli nad Morskiem Okiem, o wycieczce na Rysy, którą ona zrobiła pod moją opieką, gdy jej rodzice przy Czarnym Stawie czekali na nas wieczorem, o cudnej wycieczce do doliny Białej Wody, z której zmęczoną prowadziłem ją pod rękę, a gdy tak rozgadaliśmy się o Tatrach i Zakopanem, o czwartkowych zabawach u Chramca, na których wszystkie kadryle stale tańczyliśmy razem (co oczywiście było odpowiednio komentowane), o koncertach Michałowskiego i Barcewicza, pani Helena rada była dowiedzieć się czegoś i o moich produkcjach fortepianowych, które w niej swego czasu miały tak wdzięczną słuchaczkę.

— Czy nie zaniedbał pan muzyki? spytała, a gdym odpowiedział jej, że dotychczas fortepian jest moim najmiłszym towarzyszem, najzaufańszym powiernikiem, który mi często uprzyjemnia samotne wieczory po pracy, że zawsze trwam w moim kulcie dla Beethovena i Chopina, to wreszcie przysłała kolej na wspomnienia onych chwil, gdy raz w Zakopanem, w nieoświetlonym salonie willi *Nie-*

zabudki, słuchała mojej muzyki, gdzieś jej grał *Prefudja, Nokturny, Ballady, Koncerty i Mazurki* Chopina, a ona słuchała i marzyła, rozumiejąc doskonale, że to moja miłość wypowiadała się w oddawaniu tych natchnionych melodyj. Przypomniał mi się ów pamiętny wieczór, w którym ona, siedząc nieopodal fortepianu, gdym grał czwartą balladę Chopina, rzekła półgłosem, prawie szeptem: »Słuchając pańskiej gry, trudno nie kochać pana«. Pamiętam, żeśmy już tego wieczora nie muzykowali więcej... Usłyszawszy to upajające słowo z jej ust, pragnąłem je usłyszeć raz jeszcze, ona jednak, ochłonawszy z wrażenia, wszystko ostatecznie obróciła w żart, tłumacząc mi wykrętnie, że³ ją zrozumiałem niewłaściwie, bo *trudno nie kochać* nie znaczy jeszcze *kochać*. Skończyło się na tem, że ją pożegnał wzburzony, wymawiając jej nie bez żalu, że niegodnie igra z uczuciami, których ma chyba świadomość... Cała ta scena żywo mi teraz stanęła w pamięci, a gdym do niej zrobił delikatną aluzję, mówiąc, że ze wszystkich ballad Chopina *Ballada F-moll* tak samo, jak dawniej, zawsze mi, ile razy ją gram lub słyszę, najbardziej przemawia do duszy, pani Helena zarumieniła się zlekka i spuściła oczy.

A gdy nastała dość kłopotliwa chwila milczenia, której jakoś nie umiałem przerwać pierwszy, ona, powstając nagle, rzekła od niechcenia:

— Wie pan, co panu proponuję? Żebyśmy

poszli ku moim dzieciom, które trochę za długo czegoś zostawiają mnie samą... z panem!

Nie widząc powodu, żeby się rozejść już, chętnie przystałem na ten projekt wspólnej przechadzki po plaży, a że to była właśnie pora kąpieli, która i dla widzów nie jest bez interesu, więc bardzo byłem kontent nawet, że przypatrzymy się kąpiącym. Jakoż po chwili już stąpaliśmy po gorącym piasku wśród namiotów i bawiących się dzieci: pani Helena bardzo kolorystycznie wyglądała w refleksie swej czerwonej japońskiej parasolki — czegom jej nie omieszkiał powiedzieć — a ja, idąc przy niej, w silnie grzejącem słońcu, łagodzonem miłym powiewem od przypływającego morza, czułem się zupełnie zadowolonym z siebie i swojej pozycji. Zauważyłem przy tej sposobności, że mi mej doli, jako towarzysza pani Heleny, zazdrościło wielu mężczyzn, wszyscy bowiem, gdyśmy przechodzili, zafrapowani jej pięknością, oglądali się za nią, a niektórzy przystawali nawet, lub nam zachodzili z przodu, żeby jej przyjrzeć się lepiej.

W taki sposób doszliśmy aż do morza, gdzie w tej chwili wzdłuż brzegu utworzyła się dość liczna galerja pań i panów, przypatrujących się scenom kąpielowym, przyczem naturalnie powszechną uwagę na siebie zwracały ładniejsze, efektownie ubrane *beigneuse'y*, borykające się nietylko z niedyskretnymi spojrzeniami mężczyzn w wodzie

i na piasku, ile z naporem białogrzywych bałwanów.

— Czy pani się nie kąpie? zapytałem, gdyśmy przystanęli na chwilę.

— Owszem, odrzekła pani Helena, rzucając mi spojrzenie, świadczące dobitnie, że zgadła odrazu, jaka ukryta myśl wywołała to moje zapytanie. Uważam, że jeśli chodzi o kąpiel morską, to niema rozkoszniejszych na świecie, niż tutejsze. To też, gdyby to zależało odemnie wyłącznie, kąpałabym się codziennie. Niestety, doktor Bogdanowicz nie pozwolił mi kąpać się częściej, niż co drugi dzień.

— Czyli, że jutro jest dzień kąpieli?

— Tak, o ile będzie ciepło. A pan kąpie się także?

— Ja się kąpię zawsze, ile razy mam ochotę po temu, co w Biarritz przytrafia się najmniej raz na dzień, a w upały rano i po południu.

Gdym się dowiedział następnie, że pani Helena kąpie się zawsze o 11-tej razem z mężem i dziećmi, umyślnie zboczyłem na inny przedmiot, mianowicie na piękność krajobrazu w Biarritz, gdy nagle pojawiły się dzieci Hożyckich: w wielkich słomianych kapeluszach, w białych trykotach bez rękawów i do kolan, boso z opalonemi łydkami, z blaszkanymi kubelkami w ręku. Wracaly zadowolone z połowu, z czerstwemi ogorzałemi buziakami, try-

skające zdrowiem, śliczne. Miss Bell zdążyła za nimi, również boso.

Widząc, że już skończyło się nasze sam na sam, a mając jeszcze dość czasu, by się wykąpać przed *lunch'em*, pożegnałem się.

Muszę przerwać pisanie, bo mi w tej chwili przyniesiono bilet Hożyckiego, który zapytuje, czy go mogę przyjąć? Ależ naturalnie. Wszak czekałem na niego!

Godzina 10-ta wieczór.

Wszedłszy do mego pokoju, Hożycki zauważył odrazu, że wstałem od biurka; widząc zaś, że zamykam zeszyt, w którym pisałem przed chwilą, zapytał: czy to jaka nowa powieść? a gdy mu odpowiedział potwierdzająco, zaraz rozmowa zeszła na temat literatury. Nie życząc sobie, by przypadkiem nie chciał się rozwodzić o moich książkach, które czytał rzeczywiście (w czem jest trochę zasługi żony), zacząłem poruszać kwestje ogólniejszej natury, co mi dało możność przekonania się niebawem, że Hożycki doskonale się orientuje w różnych dziedzinach. Wogóle jest to jednostka dodatnia pod każdym względem. Skłamałbym, pisząc inaczej. Oby tylko wszyscy nasi przemysłowcy byli tacy, jak on! Inteligentny, kulturalny, wykształcony, uspołeczniony, mający swe własne zda-

nie, zarówno w rzeczach sztuki i literatury, jak i polityki, nietylko robi wrażenie skończonego gentlemana, ale nadto daje się poznać odrazu, jako człowiek dzielny, czynny, pełen energii, zdrowy fizycznie i moralnie, a przytem pocziwy, o zacnem sercu, o prawym charakterze. Jest to natura szczerą, chwilami aż grzesząca zbytnią otwartością: mówi, co myśli. Nic obłądy! Serdeczny w obejściu, choć zna mnie od wczoraj, niedość, że sam był tak ze mną, jakbyśmy się znali oddawna, ale i mnie już po kwadransie umiał nastroić na podobną nutę szczerości i poufałości. Co pewna, że jest to bardzo miły i sympatyczny człowiek, wzbudzający najpełniejsze zaufanie.

Po upływie jakichś 20-stu minut, gdy już ceremonjalnej rewizycie stało się zadosyć, zaproponował mi, czybym z nim nie poszedł na porządną spacer; szkoda bowiem, gdy taka piękna pogoda na dworze, siedzieć w dusznym pokoju. Naturalnie, żem zgodził się na tę propozycję, a że nie było żadnych powodów do zwłoki, więc wyszliśmy zaraz.

Opuszczając mój pokój, rzekł Hożycki:

— Mam nadzieję, że pan nie będzie zapominał o nas, lecz, że go często będziemy widywali u siebie. Będzie to dla nas, proszę mi wierzyć, nietylko zaszczytem, ale i przyjemnością, jeżeli pan zechce nasz dom w Biarritz uważać jakby za swój. Proszę pana o to zarówno w swoim własnem jak

i w żony mojej imieniu. Kazała mi ona powiedzieć panu, by sobie pan z nami nie robił żadnych ceremonji, lecz przychodził za każdym razem, gdy będzie pan miał ochotę po temu, bo zawsze będzie pan mile witanym gościem, jako dawny przyjaciel rodziny. Żona moja dużo mi wczoraj opowiadała o panu, gdy pan jeszcze mieszkał w Warszawie, a gdym dziś wybierał się do pana, mówiła z naciskiem, że bardzo by pragnęła odświeżyć wspomnienia tych czasów.

Zapewniłem go, że i dla mnie te wspomnienia posiadają niewygasły urok, jako "moje dzieciństwo sielskie, anielskie, a potem młodość górna i chmurna... Nie mogłem, niestety, zapytać go, co mu żona opowiedziała o tych czasach? czy mu powiedziała wogóle, że w tedy kochał się w niej, że w nas widziano dobraną parę? Jestem przekonany zresztą, że Hożycki ani się domyśla tego wszystkiego. Inaczej nie zapraszałby mnie tak serdecznie.

Minąwszy dziedziniec hotelowy, zaraz skręciliśmy w rue Mazagran, gdyż postanowiliśmy pójść na *Côte des Basques*. Gdyśmy przechodzili koło *Willi Belfa*, skąd tak piękny roztacza się widok na ocean, na przybrzeżne skały i wyspy, na faliście przedwzgórza Pireneów, opalowo majaczące nad szafirem roztoczy morskiej, zgadało się o mojej samotności w Biarritz, bo choć tu mam trochę znajomości z francuskiej arystokracji, to jednak nie lubię się pchać do tej niemojej sfery. Hożycki,

który mię pochwalił za ten brak snobizmu, łatwo zrozumiał to moje uczucie osamotnienia, nieodłącznego od starokawalerstwa, a gdym mu się przyznał otwarcie, że zwłaszcza poza Paryżem od czuвам złe strony mojego wolnego stanu, zapytał mię w końcu:

— A właściwie dlaczego się pan nie ożenił?

Pytanie to, jako potrącające o najboleśniejszą sprawę w mem życiu, stało się początkiem długiej i ożywionej debaty o małżeństwie wogóle, a małżeństwie literatów i artystów w szczególności, debaty, która nam wypełniła cały czas półtorago= dzinnej przechadzki po twardym, jak asfalt, piasku plaży Basków.

Nie sposób, bym tutaj dosłownie powtórzył tę naszą dysputę, w której mojemu teoretycznemu pesymizmowi Hożycki zwycięsko przeciwstawiał swój praktyczny optymizm, a której ostateczna konkluzja daje się streścić w uzasadnionem stwierdzeniu faktu, że Hożycki jest życiowo mądry, a ja...

Moje argumenty, któremi po adwokacku broniłem swego celibatu, były następujące:

— Dlaczego się nie ożenił? Przedewszystkiem wychodzę z kategorycznego założenia, że małżeństwo jest nie dla literatów. Małżeństwo i literatura to jakby *contradictio in adjecto*. Literat musi być wolny, nie skrepowany żadnemi węzłami, wiadomo zaś, że małżeństwo nakłada pęta najcięższe, naj=

prozaiczniejsze. Każdy człowiek talentu, czy to będzie malarz, czy pisarz, jest poetą, a jako taki musi mieć skrzydła wolne do lotu. Małżeństwo trzyma go przy ziemi, jak Pegaza w jarzmie. Co do mnie, to jestem nie tylko pisarzem z temperamentu, ale i kobieciarzem, a tem samem „poligamistą. Nie wyobrażam sobie, bym mógł być wierzynym żonie. A gdybym nim był przypadkiem, to musiałbym być zakochanym w niej szalenie, a wtedy byłbym najzazdrośniejszym z mężów, co zawsze psuje najszcześniejsze stadła małżeńskie. Ożenić się mógłbym tylko z kobietą piękną, bo brzydkiej, choć najzacieńszej, nie potrafiłbym poprowadzić do ołtarza. Tymczasem piękne kobiety rzadko bywają dobrymi żonami. Wiem coś o tem z mojej paryskiej praktyki... Piękna żona zawsze ma wielbicieli, a każdy wielbiciel chciałby być uwodzicielem. W takich warunkach nie miałbym potrzebnego spokoju do pracy twórczej, a nadto musiałbym marnować mój talent, i to na co? Dla przysporzenia dochodów! Niedosć bowiem, żebym musiał trapić się zazdrością z powodu mej pięknej żony, ale ta żona chciałaby się ubierać elegancko, jak każda kobieta piękna, czyli, że musiałbym pisać nie w czysto artystycznym celu, ale dlatego, żeby jak najwięcej zarobić na toaletę dla żony, na kapelusze, na błyskotki, na różne fatałaszkę, w których ona pragnęłaby się podobać innym mężczyznom! Prócz tego piękna żona zwykle bywa kobietą światową,

pragnącą się bawić, błyszczeć, mieć rozległe stosunki, o ile możliwości w tak zwanem »towarzystwie«, słowem, żyć w czczej atmosferze blichtru, gdzie próżność i snobizm decydują o wszystkim. Do tego trzeba dodać jeszcze dzieci, mamki, niańki, użeranie się ze służbą... A to wszystko trzeba wyżywić z pióra! A znowu ożenić się bogato, i to z piękną panną, to nie tak łatwo, zwłaszcza, gdy się samemu tylko na Parnasie ma włości. Znałem jedną bogatą pannę, w której się kochałem na zabój, z którą też byłbym się ożenił jaknajchętniej, ale zraziłem się trudnościami w jej zdobyciu, nie mówiąc o innych powodach. Jako syn średniozamożnych rodziców (ojciec mój stracił znaczną fortunę w powstaniu, po którym mu skonfiskowano dwa majątki ziemskie), a przytem jako literat, utrzymujący się z pióra, nigdy nie zarabiałem tyle, ile mogło leżeć w widokach rodziców bogatej dziewczeczki. Jeszczeby gotowi posądzić mnie, żem się chciał żenić nie z miłości, ale dla jej majątku! A zresztą nie było wcale wykluczonem, że oświadczwszy się, dostałbym kosza... Jeszcze by tego tylko brakowało!... Odkąd osiadłem w Paryżu, przestałem myśleć o małżeństwie, choć i tu nie brakło okazji do dobrego ożenienia się... z rozsądku. Ale w Paryżu musiałbym się ożenić tylko z Francuską, a choć Francuski nie są tak złemi żonami, jak to możnaby sądzić na podstawie powieści francuskich, to jednak dawszy się ponieść

wirowi światowego życia stolicy, niebawem znalazłem aż nadto sposobności, by nie stać się tym przysłowiowym wilkiem, co to ponosił tak długo, aż i jego ponieśli wkońcu. Za wiele miałem do czynienia, jako nieżonaty i wzięty powieściopisarz, z mężatkami zdradzającemi swych najpoczcziwszych i zapracowanych mężów, ażeby samemu pragnąć się zaciągnąć do tego legjonu Menelausów. Wolałem trwać w roli Parysa. Widząc niejednokrotnie, do jakiego egoizmu i okrucieństwa może dojść kobieta, gdy przestała kochać swego męża, choćby nim był najzacniejszy człowiek pod słońcem, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że małżeństwo nie jest tą wymarzoną instytucją społeczną, do której ja z mojem usposobieniem byłbym stworzony. Oto dlaczego nie ożeniłem się nawet z córką jednego amerykańskiego miljonera, z którą mię przed paru laty swatano zawzięcie, i wolałem zostać kawalerem, co znaczy starym kawalerem, który już nie ożeni się nigdy.

Na te moje wywody, które mi przerywał raz po raz, odpowiedział mi Hożycki szeregiem zastrzeżeń i spostrzeżeń, poczerpniętych ze swego osobistego doświadczenia, a te jego uwagi o małżeństwie wogóle, a w szczególności o jego własnem pożyciu małżeńskim, o ile im nie mogłem nie przyznać słuszności, o tyle działały na mnie przygnębiająco: o wiele boleśniej, niż to mógł

przypuszczać mój różowo na życie zapatrujący się oponent.

Oto jego filozofja małżeństwa, pokrótce streszczona:

— Drogi panie! Widać, że pan nigdy nie był żonatym! Zapewniam pana, że chcąc mieć dokładne pojęcie o małżeństwie i jego istocie, bezwarunkowo należy być żonatym wprzód. Inaczej nie ma się podstaw do rozumowania, czyli, że się rozumuje, jak ślepy o kolorach. Wy, ludzie nieżonaci, choćbyście byli nie wiem jak inteligentni, nie macie najmniejszego wyobrażenia, co to jest pożycie dwojga ludzi w małżeństwie. Macie swoje teorie i doktryny, ale życie wytwarza całkiem odmienne praktyki, zupełnie inne poglądy na to niewątpliwie najdonioślejsze zagadnienie. Dość powiedzieć, że wszystkiemu, co pan mówił o małżeństwie, przeczy... moje małżeństwo! Pan twierdzi na przykład, że niebezpieczną jest piękna żona. Nie zaprzeczy pan chyba, że moja żona jest wyjątkowo piękną kobietą. Otóż ręczę panu, że o ile dla mnie niema piękniejszej kobiety, bardziej w moim typie, o tyle nie znam lepszej istoty, łagodniejszej, zacniejszej, miłszej w obejściu, przykładniejszej żony i matki. To, co pan mówi o trudnościach w zdobyciu pięknej i bogatej panny, nie powinno zrażać nikogo. Wiadomo panu, że żona moja, jako jedna z najbogatszych, a stanowczo najpiękniejsza panna w Warszawie, miała mnóstwo kandydatów do swej

ręki. A jednak żaden, co zabiegał o nią, nie narażał się na posądzenie, że mu pachną jej pieniądze. Na to była poprostu za uroczą! Że przebiegała w konkurentach, że nie zdecydowała się wyjść za pierwszego, który postawił swoją kandydaturę, to tylko dobrze świadczy o jej roztropności. A myśli pan, że nie była kokietką? I to jaką jeszcze! Ale dla mnie był to jeden powab więcej, a zarazem jeden powód więcej, żeby się nie zrażać pierwszym niepowodzeniem. Kobieta musi być kokietką. Tylko taka ma szanse być niepodzielnie kochaną przez męża. W kobiecie, która nie jest kokietką, nie można się kochać, a przynajmniej nie można kochać się długo. Czy myśli pan, że w stosunku do mojej żony, gdy się zaczął starać o nią, byłem jak Cezar, który przyszedł, zobaczył i zwyciężył? Owszem, przyszedłem, zobaczyłem, zakochałem się i... dostałem kosza. Nie zrażałem się nim jednak. Wytłómaczyłem sobie, że oświadczając się przed samym karnawałem, wybrałem niefortunną chwilę do oświadczyn, bo każda panna chce być wolną w czasie zapust, żeby się bawić i rozglądać między epuzerami. Przeczekawszy karnawał, podczas którego tylko mogłem zyskać na porównaniu z moimi rywalami, których miałem z tuzin, w poście jeszcze raz spotkałem się ze stanowczą odmową ze strony panny. Nie zrażony tem bynajmniej, bo zakochany naprawdę, zabiegałem tak długo, choć dyskretnie, że w końcu zamieniliśmy pierścionki. Przyznaję,

że w takich razach trzeba być nie tylko wytrwałym i przedsiębiorczym, ale trzeba wyteńczyć całą energję, do jakiej jest się zdolnym wogóle. Ja naprzykład ¹ miałem do walczenia z różnemi przeciwnościami, ale je postanowiłem przewyciężyć, no, i szczęśliwie przewyciężyłem wszystkie, nawet te, że panna podobno kochała się w kim innym, w kimś, co się okazał nieczułym na jej zakochanie... Nie bałem się też, gdy mi mówiono na prawo i na lewo, że panna jest płocha, zepsuta powodzeniem, a nadto kokietka i bałamutka, i to rozflirtowana ze wszystkimi, którym zawracała głowy. Nic sobie z tego nie robiłem ani przez chwilę, bo wiedziałem doskonale, że żona zawsze jest taką, jaką ją mąż sobie urobi, i że zarówno w szczęśliwych, jak i w nieszczęśliwych małżeństwach, nie żona, ale mąż jest sprawcą wszystkiego złego, o ile naturalnie żona nie jest kobietą ² niegodziwą i ³ przewrotną z natury. Że zaś w wypadku, o którym mowa, panna pochodząca z tak zacnego gniazda, jako córka tak czcigodnych ludzi, jak oboje Antoniowscy, dawała wszelką rękojmię, że nie będzie moralnym potworem, więc byłem szczęśliwym nad wyraz, gdy wkońcu zdecydowała się zostać moją żoną. No, i nie żałujemy tego oboje! Prostu jesteśmy najszczęśliwszem małżeństwem, jakie znam. Uważam też, że nic lepszego wymyśleć nie można, jak małżeństwo... szczęśliwe i dobrane! A co się tyczy mnie, to dopiero od chwili ożenienia się od-

nalazłem prawdziwego siebie. Nigdy nie pracowałem z taką przyjemnością, tak intensywnie. Nigdy się nie czułem tak zdrowym, tak odpornym i równoważonym nerwowo. Żałuję tylko, że się nie ożeniłem wcześniej. Każdy dzień, spędzony w stanie kawalerskim, uważam za stracony w życiu. Tylko człowiek żonaty, gdy ma dzieci i ognisko rodzinne, którego jest głową i podporą, żyje prawdziwą pełnią życia. O tym szczęściu, jakie jest udziałem męża i ojca rodziny, gdy wszystko składa się po myślnie, żaden kawaler nie ma nawet przybliżonego pojęcia. A co do pańskich obaw, żeby nie trafić na złą żonę, to przede wszystkim na sto kobiet dziewięćdziesiąt dziewięć jest poczciwych, stworzonych na dobre żony i matki. Szansa więc, żeby poślubić wyrodną, jest minimalna. Godzę się z panem, że niekażda kobieta piękna odznacza się takimi wyjątkowymi zaletami, jak moja żona, która w sobie nie ma nic z egoizmu pięknych kobiet, a w której kobiecość zawsze bierze górę nad wszelkimi zachceniami i przywilejami urody. Ale mogę pana upewnić, że część zasługi za te jej rzadkie przymioty, tyle przyczyniające się do naszego zobopólnego szczęścia, muszę przyznać i sobie również. Wiedząc, że jest ładna, że bardzo się podoba mężczyznom, a zalotna z natury, żona moja, jak wszystkie kobiety, bardzo się zmieniła po ślubie, tak samo, jak wypiękniała fizycznie, tak dojrzała i udoskonaliła się moralnie. Oddana domowi i dzie-

ciom, znakomicie umie godzić przyjemne z pożytecznem, obowiązki żony i matki z wymaganiami kobiety światowej; ja zaś, znając jej dobre serce i charakter nieskazitelny, czynię z mej strony, i z miłości dla niej, wszystko, żeby jej umilić egzystencję. Jest piękna i zalotna, lubi się podobać, lubi flirtować, lubi mieć przyjaciół, którzyby w niej byli trochę lub bardzo zakochani. Pyta się pan, czy nie jestem zazdrosny z tego powodu? Na myśl mi to nawet nie przychodzi. Za dobrze znam moją żonę, zbyt wielkie mam do niej zaufanie, by żywić choćby najmniejsze obawy w tym względzie. Ci panowie, którzy tak wielbią moją żonę, nie wiedzą z pewnością, gdy jej prawią o swych uczuciach dla niej, że zaraz po ich wyjściu żona moja opowiada mi szczegółowo o swych zabawnych z nimi rozmowach, powtarza mi dosłownie ich wy-nurzenia, z których oczywiście śmiejemy się oboje. Co do mnie, to jestem dla tych panów z niekłamną życzliwością, nieraz i przyjaźnią. Że się zalecają do mojej żony, tego im nie biorę za złe, owszem, jestem im za to wdzięczny, bo żonie dostarczają niewinnych rozrywek, które jej oczywiście nie wytrącają ze spokoju, a przyjemnie wypełniają czas wolny. Jedyny zarzut, jaki mogę uczynić tym naszym przyjaciołom — z których znów ja mam stałych partnerów do bridg'e'a — to ich współzawodnictwo pomiędzy sobą. Zakochani w mojej żonie, są niechętnie usposobieni względem siebie,

a zazdrośni jedni o drugich, z czego nie robią tajemnicy przed żoną, często [dokuczają sobie wzajemnie, a niekiedy, najczęściej przy kartach, tak są kostyczni i uszczypliwi w dogadywaniu sobie, że aż się przemówią nieraz, i dopiero ja muszę ich godzić... Że jednak żona moja, która ich lubi wszystkich, nie jest łatwa w wyborze swych adoratorów, więc mamy grono bardzo sympatycznych przyjaciół, którzy za nią skoczyliby w ogień, a dla mnie są miłymi towarzyszami, szczerze mi oddanymi, już choćby dlatego tylko, że nie jestem podejrzliwym, że ich darzę zaufaniem. A co się dotyczy pańskich obaw, gdy żona jest kobietą światową, to ja w tem nie widzę nic złego. Moja żona jest bardzo światową i towarzyską, ale jej to po czytuję za zaletę, nie za wadę. Ja też jestem światowym i towarzyskim, bardzo zadowolonym z tego, gdy po całodzienniej pracy mogę pójść między ludzi, czy na koncert, czy do teatru, czy do znajomych, czy na bal w karnawale, czy na raut w poście. Człowiek normalny, zdrowy na ciele i duszy, nie neurastenik i psychopata, jest stworzeniem towarzyskim, chętnie udziela się światu. Osamotnienie wypacza charakter, tworzy dziwaków i tetryków, z których dopiero tworzą się molierowskie typy mizantropów i odludków. To też nic nie mam przeciwko temu, że żona moja lubi życie światowe, a jeśli to schlebia jej miłości własnej, gdy ją np. na balach wszyscy uważają za królowę, to i mnie to

sprawa przyjemność. Mężowie mają także swoją próżność, gdy chodzi o ich żony, i każdy woli, by się zachwycano jego połówicą, niż żeby na nią nie zwracano uwagi. Co innego zresztą, gdy taka żona nie myśli o niczem innem, tylko o zabawach i toaletach, gdy się zaniedbuje w swych obowiązkach domowych. Ale u nas tak nie jest bynajmniej. Żona moja, jak każda warszawianka z pewnej sfery, uprawia tańczącą filantropję, ale mnie to nie przeszkadza w niczem, gdy z jej nazwiskiem spotykam się w pismach, jako z gospodynią różnych balów dobroczynnych, gdy ją znajduję na liście pań, siedzących przy wielkanocnej kweście po kościołach, gdy przed gwiazdką bierze udział w różnych wentach po księgarniach, cukierniach i składach papieru, gdy jest opiekunką różnych »żłóbków«, »szwalni«, ochronek, szpitalików i t. p. Są to zajęcia, które na kobietę działają uspołeczniająco, dając możność poznania życia z jego poważniejszej strony. A przytem moja żona ma czas na wszystko, co sprawia, że pod każdym względem jest wzorową panią domu. Ma czas na czytanie romansów, ale znajduje go i na odrabianie lekcji z dziećmi, które sama nauczyła czytać i pisać, a teraz im udziela początków gry na fortepianie. Dlatego sędzę, że właśnie moja żona, wcale nie będąca wyjątkiem, jest najwymowniejszym przykładem, gdy chodzi o obronę małżeństwa. Niech mi pan wierzy, że małżeństwo, o ile jest do-

brane, czyli gdy się na nie składa dwoje dobrych ludzi, jest źródłem największego szczęścia w tem życiu. W każdym razie nie wymyślono dotąd nic lepszego. Tego moralnego zadowolenia, które daje miłość dla własnej żony, nie może dać żadna inna miłość, choćby jej przedmiotem była najcudniejsza kurtyzana, lub cudza żona. Nieprawdą jest, że najlepiej smakują zakazane owoce. Adam i Ewa, gdyby nie byli kosztowali tego nieszczęsnego jabłka, na które ich zresztą namówił zły duch, nie byliby wypędzeni z raju. Tym ziemskim rajem jest szczęśliwe małżeństwo. To też nie mogę zrozumieć w żaden sposób, pomimo wszystkiego, co mi pan mówił o swych poglądach na małżeństwo, żeby taki człowiek, jak pan, z tak świetnem stanowiskiem, nie był żonaty do tego czasu, jak tylu pańskich kolegów po piórze, którzy, choć pożenieni oddawna, jednak tworzą rzeczy mistrzowskie, nie skarżąc się wcale, by im żony przeszkadzały w pisaniu.

Nic na to nie odpowiedziałem Hożyckiemu, ani mu dałem poznać po sobie, jak boleśnie — choć bezwiednie — ranił mię w samo serce. Wogóle przez cały czas rozmowy, gdy mi mówił o swym szczęściu w małżeństwie, z kobietą, z którą ja tak samo, jak on, mogłem być szczęśliwy, a może szczęśliwszy, miałem przykre uczucie, że oto przechadzam się z człowiekiem, który mi ukradł moje

szczęście, a raczej któremu ja dobrowolnie pozwoliłem zabrać skarb, przeznaczony dla mnie!

Cóż dziwnego tedy, że słuchając tych dowodzeń Hożyckiego, tak niespodziewane widnokreśli roztaczających przed mym zdziwionym wzrokiem, nie patrzyłem na białogrzywe fale morskie, przy których jednostajnym pomruku przeszliśmy całą *Côte des Basques*, i że nie zauważyłem prawie, jak wróciwszy przez *Bois de Boulogne*, zatrzymaliśmy się przed bramą mego hotelu, gdzie się pożegnałem z Hożyckim.

Znalazłszy się w swym pokoju, gdym stanąłem w otwartym oknie, przez które ujrzałem cudne fiolety morskie, przesycone złotymi blaskami zachodu, miałem chwilę jakiejś dziwnie przygnębiającej zadumy, podczas której mimowoli przypomniał mi się wiersz Słowackiego:

Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

15 sierpnia. Czwartek.
Godzina 2-ga po południu.

Bardzo dziś gorąco. Upał. W pokoju chłodniej, niż na dworze. Dlatego po *lunch'u* wróciłem do siebie, by się roznegliżować trochę. A zresztą chcę zapisać moje dzisiejsze wrażenie przedpołudniowe...

Kąpałem się razem z Hożyckimi. Istotnie, że dzieją się rzeczy, o których się nie śniło jeżeli nie filozofom, to przynajmniej powieściopisarzom!... Gdym o 11-tej wyszedł na digę, pierwszym człowiekiem, którego spotkałem kupującego dzienniki paryskie, był Hożycki, a pierwsze pytanie, jakie mi zadał po przywitaniu, brzmiało: »Cóż, kąpie się pan dzisiaj?«

— Owszem, odrzekłem, a państwo?

— Żona moja z dziećmi i miss Bell już się poszły rozbierać, a ja zaraz czynię to samo.

— Doskonale, to w takim razie może pójdziemy razem.

Jakoż poszliśmy kupić bilety. Złożyło się tak szczęśliwie, że nie tylko nie potrzebowaliśmy czekać na wolną kabinę, ale dostaliśmy dwie kabiny obok, tak, że rozbierając się, mogliśmy rozmawiać poprzez drewniane przepierzenie. Dowiedziałem się przy tej sposobności, że pani Helena bardzo lubi pływać, co było niespodzianką dla mnie, i że dlatego nie kąpie się, jak większość pań, w płócienym kostjumie ze spódnicką, lecz w trykocie.

Ubrani po kąpielowemu, w białych włochatych płaszczach narzuconych na czarne kostjумы, gdyśmy się znaleźli na gorącym piasku plaży, który aż parzył w stopy, i gdyśmy wydostali się poza obręb namiotów, matek z robótkami, ojców z gazetami, bon z książkami, oraz gołonogich dzieci z łopatami, co wszystko razem w iście hiszpań-

skiem słońcu składa się na barwny *plein air*, Hożycki, patrząc w stronę damskiego oddziału kabin, rzekł do mnie, gdy i ja, idąc za jego przykładem, oddawał swój płaszcz grubej posługaczce, ażeby go pilnowała przez czas kąpieli:

— Otóż i moja żona. Zdziwi się, gdy mnie zobaczy z panem.

Nie wiem, dlaczego, ale mi serce zabiło silniej, gdy z daleka dostrzegł panią Helenę, jak razem z dziećmi i miss Bell szybko szła przez piasek. Ona i Angielka były w różowych płaszcach, dzieci tylko w ponsowych trykotach.

Nim podeszły ku nam, ja, uprzedzając wrażenie, jakiego dozna pani Helena, gdy nas spostrzeże obok siebie, nie omieszkalem przyjrzeć się jej małżonkowi, a jednocześnie krytycznem okiem ocenić swoją kąpielową prezencję w porównaniu z jego takimże wyglądem. Nie jestem zarozumiałym, ani się chcę przechwalać, ale muszę wyznać bezstronnie, że to porównanie musiało wypaść na moją korzyść. Patrząc na Hożyckiego, przekonałem się stanowczo, że w ubraniu wygląda daleko lepiej, aniżeli w obcisłym trykocie z gołemi rękami i nogami, uwydatniającym jego brak rasy. Niby jest dobrze zbudowany, ale wszystkie członki ma za grube w stosunku do ich długości, a przytem jest obrośnięty jak szympanś. Ja, nie pochlębiając sobie, wyglądałem przy nim, jak Antoninows. Co pewna, iż jestem o pół głowy wyższy od niego, smuklejszy,

no, i zbudowany regularniej. Krótko mówiąc, wolę siebie, a kiedy mi przyszło na myśl, że za chwilę i pani Helena zobaczy i porówna nas obu, mogłem być spokojny o jej wrażenie.

W tem uczuciu, które się mieszało z ciekawością ujrzenia pani Heleny *en maillot*, śledziłem jej kroki, jak szła ku morzu. Tymczasem zauważyłem już z oddalenia, że na głowie miała kunsztownie zawiązany turban z ponsowej materji, szczelnie okrywający włosy, a była w płóciennych pantofelkach z czerwonymi pomponami.

Gdy się zbliżyła na jakieś piętnaście kroków, zatrzymała się nagle, jak wryta, jak osadzona na miejscu, a jednocześnie zapłonęła szkarłatnym rumieńcem, który jej oblał nietylko twarz, ale i szyję. Sprawił to mój widok, na który nie była przygotowaną. Zauważyłem też, że następnie, idąc ku nam, znacznie zwolniła kroku. Wreszcie przyszła chwila dość kłopotliwa i żenująca dla nas obojga — czego jednak Hożycki nie odczuł bynajmniej — chwila przywitania się i zobopólnego pomieszania na tle urywanego onieśmiałonego dIALOGU o ślicznej pogodzie, o tropikalnym upale, o cudnym szafirze morza, o małych, jakby sennych falach, a z konieczności i o niebanalnym stroju i sytuacji, w jakich się spotykamy dzisiaj.

Lecz nadszedł moment kulminacyjny, gdy pani Helena musiała zdjąć płaszcz, i co za tem idzie, pokazać mi się w czarnym obcisłym trykocie, dość

silnie wydekoltowanym na piersiach i plecach, a nie osłaniającym oczywiście ani ramion, ani nóg powyżej kolan. Przyznaję, że gdym ją ujrzał w tym pozakonwenansowym kostjumie, szczerze przylegającym do ciała, a więc pozwalającym widzieć wszystkie kształty torsu, sam miałem kilka sekund zawstydzenia, ale to trwało krótko, bo zaraz po niem przyszło uczucie zachwytu, oryginalne złudzenie, że oto stoję przed posągiem florenckiej Wenus Medycejskiej, przyodzianej w nowoczesny strój kąpielowy.

Nie będę się rozpisywał o niezwyklej piękności i szlachetności tej prawdziwie klasycznej postaci kobiecej: wystarczy powiedzieć, że ledwo pani Helena zrzuciła płaszcz, dookoła, wśród mężczyzn i kobiet, stojących w pobliżu, rozległ się jakby cichy szmer podziwu, rzekłbyś na widok Fryny zstępującej do morza, a wszystkie spojrzenia — i kilka aparatów fotograficznych — zaraz zwróciły się w jej stronę. Nawet ta gruba śniada Baskijka, której zostawia się płaszcze lub prześcieradła, z widoczną lubością podziwiała jej białość i piękność budowy. Cóż dopiero mężczyźni, którzy tu zresztą — jak o tem dowiedziałem się później — codziennie przechodzą nad wodę, ażeby być świadkami, gdy *la belle Polonaise* wchodzi do kąpieli. Inni znów — jak mi to potem w wodzie powiedział Hożycki — specjalnie kąpią się o tej porze, przyczem nie brak i takich, co do morza wchodzą z kodakami, a od-

fotografowawszy panią Helenę ze wszystkich stron, nazajutrz przynoszą jej już gotowe zdjęcia... na pamiątkę! Jednak co to jest mieć piękną żonę!

Tymczasem nie uszło mej baczności, że i pani Helena, nim weszliśmy do wody, a gdy już ochłonięła z pierwszego onieśmienia, przyglądała mi się ukradkiem. Udawałem, że nie widzę tego, ale po prostu czułem jej spojrzenia, jak mię lustrowały od stóp do głów.

Ale nareszcie weszliśmy do wody: najprzód Hożycki z dziećmi, za nim miss Bell, ślicznie zbudowana, a na końcu pani Helena i ja. Pomimo przypływu, który lekkim powiewem, trochę łagodził skwar słoneczny, morze było spokojne, jakby ociężałe i leniwe, niziutką falą załamującą się na piasku. Wobec tego kąpano się bez *baigneur'ów*, co zdaje się szczególnie martwiło olbrzymiego i muskularnego, jak Herkules, *baigneur'a* pani Heleny, którego mi pokazała na brzegu, stojącego beczynn timer, a z którym stale się kąpie przy bardzo wzburzonem morzu. Dzisiaj, zamiast z *baigneur'em*, wołała się kąpać ze mną, co zaraz na samym wstępie ujawniło się w ten sposób, że m się nie spotkał z odmową, gdym zaproponował, by mi podała rękę.

Ponieważ Hożycki więcej był zajęty dziećmi, aniżeli nami, więc ledwo nas opłukało kilka lepszych bałwanów, zapytała mię pani Helena, czy umiem pływać, a gdym jej odpowiedział potaku-

jąco, oświadczyła mi, że ona popłynie aż do łódki strażniczej. Zapytany (dla formy), czy nie popłynie z nami razem, odpowiedział Hożycki odmownie, tłómacząc się zmęczeniem; prosił mię tylko, gdyśmy już mieli puścić się wpław, bym uważał na jego żonę, która czasami lubi płynąć jeszcze dalej znacznie, niż łódka, co w nim budzi niepokój. Przysięgłem mu solennie, że do tego nie dopuszczę przez egoizm, bo choć jestem wytrzymałym pływakiem, to jednak sam nigdy nie płynę dalej.

— Skoro pan *sam* nigdy nie płynie dalej, to uczyni to pan *ze mną*, zauważyła, śmiejąc się, pani Helena, i w pływackiej pozycji, z wyciągniętymi rękoma, uniosła się na powierzchni wody.

Płynęło się rozkosznie. Pani Helena pływa, jak syrena. Z początku, gdyśmy się posuwali wśród innych pływaków, prawie nic nie mówiliśmy do siebie, ale gdyśmy się wydostali na większą głębiny, gdzie już byliśmy sami zupełnie, pani Helena, płynąc tuż obok mnie, zagadnęła pierwsza:

— Nigdy pan nie przypuszczał z pewnością, że tak kiedyś będziemy pływali razem.

— Przyznaję, że mi to jakoś nie przychodziło na myśl, ale teraz, skoro tak płyniemy obok siebie, nie skarżę się na los, który mi sprawił tę miłą niespodziankę.

— Czy nie uważa pan, że w każdym razie jest to bardzo oryginalne *sam na sam*?

— O ile niebanalne, o tyle przyjemne.

— Nigdy pan jeszcze nie flirtował w zimnej wodzie?

— Zapytanie to pozwala mi przypuszczać, że w każdym razie pani nie jest nowicjuszką na tym mokrym terenie.

To mówiąc, podpłynąłem jeszcze bliżej ku niej, tak, że ręką potrafiłem o jej rękę, i spojrzałem jej w oczy znacząco, co jej nie zmieszało bynajmniej, lecz tylko roznieciło iskrę kokieteryj w oczach.

— Może się pan nie bardzo myli, odrzekła z uśmiechem, bo nie pierwszy raz jestem w morskich kąpielach, a gdy chodzi o flirt, to jestem zdania, że flirtować, jeżeli się chce i ma z kim, można w wodzie równie dobrze, jak na lądzie. Widzę jednak, że pan należy raczej do lądowych flirciarzy...

— Z panią mogę i w wodzie, byle często i długo, i z powodzeniem.

— Jeżeli chodzi o mnie, to nie mam nic przeciwko temu, zwłaszcza, że w zimnej wodzie, która bądź co bądź działa ostudzająco, czuję się bezpieczniejszą.

— Jeśli tak, to muszę przyznać, że bardzo by mi się uśmiechał flirt z panią... na lądzie.

Tak przekomarzając się wesoło, dopłynęliśmy do łódki, lekko kołyszącej się na zielonkawej wodzie. Pozwoliłem, by pani Helena pierwsza dopłynęła do spuszczonej schodków, których gdy się

czepiła białemi rękoma, zapytałam ją, czy wejdzie do środka?

— Odpocznijmy chwilkę, odrzekła. Trochę się wygrzejemy na słońcu, a potem może popłyniemy jeszcze kawałek.

— Jaby z panią chętnie zapłynął jaknajdalej, ale w tym wypadku nie wolno mi nie pamiętać o prośbie małżonka pani. Wiadomo zaś, że prośba męża, gdy chodzi o żonę, równa się rozkazowi.

— A jeśli ja okażę się nieposłuszną?

— To ja zastosuję się do woli pani, bo zawsze tej metody trzymam się w stosunku do żon, które nie słuchają swych mężów.

— Bardzo się to panu chwali.

Przy tych słowach zaczęła wstępować na schodki. Ociekająca wodą, w zmoczonym kostjumie, który teraz tembardziej uwydatniał każdy kształt, wyglądała nad wyraz kusząco, a gdy nogi stawiała na stopnie, tyle miała podobieństwa do neapolitańskiej Wenus Kallipygos, że oczu nie mógł oderwać od tych ponęt. Skoro się znalazła wewnątrz łodzi, gdzie zaraz się usadowiła na tylnem siedzeniu przy sterze, i ja poszedłem za jej przykładem, usiadłszy na poprzecznej ławeczce naprzeciw niej.

Siedząc tak, w silnie grzącym słońcu, przy łagodnym powiewie zefiru, przy plusku fal pod burtem łodzi, i patrząc na mą towarzyszkę, trochę zmęczoną pływaniem, na te piersi falujące przy-

śpieszonym oddechem, na te ramiona toczone, na ten cudnie zaokrąglony owal bioder w siedzącej pozie, na te obnażone nogi, jakby malowane zmysłowym pędzlem Cabanela, poprostu miałem wrażenie, że jestem tym strzelcem z mickiewiczowskiej ballady, uwodzonym przez siedzącą na łódce Świteziankę. Tylko że ta moja czarnobrewa rusalka w czerwonym turbanie, tak malowniczo kontrastującym z ciemno=zieloną tonią morza dookoła, nietyle wyglądała na litewską boginkę z jeziora, ile na tycjanowską boginię miłości z *Narodzin Afrodyty* Tetmajera.

I boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,
 A świat dziwował się precudnej jej urodzie:
 Blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
 U nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.
 A ona w słońcu swe suszyła ciało białe:
 Zefiry pieszczą ją z zachwyty oszalałe:
 Ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
 Całując piersi jej, i szyję, i ramiona,
 Spijają perły pian z jej zagięć i lubieżne
 W lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
 Zwolna się suną wzdłuż jej pełnych bioder, a potem
 Ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem...
 I omdlewając już do stóp jej kornie padną...

Gdym sobie w pamięci przepowiadał ten wiersz — z czego też nie zrobiłem tajemnicy przed moją Afrodytą — gdym pozierając, to na nią, to w stronę lądu, uświadamiał sobie piękność widzianego obrazu, na który, prócz dwóch ogorzałych strażników,

składała się urocza postać kobieca na łodzi w oślepiającym blasku słonecznym, rozbłękitnionym szafirowym morza i nieba, przypominał mi się również i eteryczny początek tegoż utworu:

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie
Objęło cały świat. Na modrym oceanie
Słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
Cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał w okrąg świat od światła i gorąca.

Zupełnie tak samo było teraz, tylko że to, co dla poety było cudowną złudą wyobraźni, poetyczną wizją, marzeniem, dla mnie w tej chwili było dotykálną rzeczywistością, poezją na jawie.

Roześmiała się pani Helena, gdy z nią podzielił się tem spostrzeżeniem, a nie chcąc pozostać dłużną za to porównanie z Afrodytą, co uważała za trochę ryzykowny komplement — zadowolona z niego jednak i mile połączona — odcięła mi się niemniej mitologicznym obrazem nimfy i... satyra! Wogóle przez tych parę minut, gdyśmy siedzieli na łódce, rozkosznie grzejąc się i susząc w słońcu, rozmowa nasza, nierozumiana przez jej nieuniknionych świadków, ile że mówiliśmy po polsku, była nastrojona na bardzo żartobliwy kamerton, obfitujący w dowcipy. Pani Helena jest bardzo sprytną, a na każdy koncept, obliczony na to, by ją trochę zbić z tropu, zawsze ma gotową replikę, najczęściej błyskotliwą, którą, jak wprawny szermierz, odbija wszystkie ataki. A że widocznie

była podniecona naszą swobodną pogadanką, więc jej czarne oczy, jakby pod wpływem atropiny, nabierały tak ośmielającego wyrazu, że każdego młodego mężczyznę, wrażliwego na urok kobiecy, musiałyby wytrącić z równowagi. Cóż dopiero mnie!

Gdym jej powiedział o tem, naturalnie w wyszukanej formie komplementu, odrzekła, śmiejąc się i powstając z swego siedzenia:

— Skoro pan sądzi, że zaczynam mieć wyraz w oczach, który może się stać niebezpiecznym dla mężczyzn, to czas już, ze względu na tych... strażników, którym mogłoby grozić jakie niebezpieczeństwo, płynąć z powrotem.

— A o mnie się pani nie boi wcale?

— Nie.

— Jakim sposobem?

— Bo pan płynie ze mną, a nie tak nie studzi wszelkich męskich zapachów, jak zimna woda. Wobec tego ja skaczę pierwsza.

I nie czekając mej odpowiedzi, rzuciła się głową naprzód w morze. Gdy niebawem o kilka kroków od łodzi wynurzyła się na powierzchnię, i nie oglądając się za mną, zaczęła płynąć ku brzegowi, skoczyłem i ja, a za kilka sekund znów płynęliśmy obok siebie.

— Nie miałem wyobrażenia, że pani pływa tak świetnie.

— Bo pan mnie wogóle nie doceniał nigdy, nie poznając się na moich zaletach.

— Ale za to umiałem poznać się na wadach pani.

— Te pan przeceniał znowu. Proszę mi wierzyć, że nie jestem taka zła, za jaką uchodzę w niełaskawych oczach pańskich. Przeciwnie, jestem znacznie lepsza.

Nie przewidując podobnego obrotu rozmowy, trochę się zdetonowałem na razie. Nastąpiło dość długie milczenie, tak, że już uczuliśmy grunt pod stopami, gdyśmy ponownie odezwali się do siebie.

Tematu dostarczył nam Hożycki, razem z dziećmi zbliżający się na nasze spotkanie, a gdyśmy się zeszli na koniec, już kąpiel przybrała zwykły charakter.

16 sierpnia. Piątek.

Godzina 10 rano.

Wczoraj wieczór odbyło się uroczyste otwarcie kasyna *Belle vue*, co tu oznacza początek wielkiego sezonu. Po przedstawieniu teatralnem, uświetnionem grą artystów z *Comédie française*, wypełniły się wszystkie sale, a najwykwintniejsza publiczność zgromadziła się w salonach gry, w t. z. *cercle privé*, gdzie przy kilkunastu stołach, obłożonych przez grających, panowała atmosfera bakara.

Przez cały czas trzymałem się razem z Ho-

życkimi. Pani Helena, w ślicznej dekolutowanej sukni *crème*, zwracała powszechną uwagę, jako bezwarunkowo najpiękniejsza ze wszystkich obecnych kobiet.

Gdyśmy przez dłuższą chwilę postali przy jednym ze stołów, przy którym właśnie szczęście odwróciło się od bankiera, zaproponowała mi pani Helena, żebym z nią zaczął grać do spółki, na co oczywiście zgodziłem się bez wahania.

Gdy po upływie kwadransa niespełna, moich skromnych pięć luidorów, które złożyłem, jako kapitał zakładowy, na ręce pani Heleny, urosło do sumy 800 franków, rzekłem do niej, gdy mi doręczała wygrane pieniądze:

— Nie przypuszczałem nigdy, że pani nietylko do mężczyzn, ale i do gry ma szczęście.

— Widocznie, że jednak w gruncie rzeczy nie mam szczęścia w miłości.

— Komu to o tem mówić!

— Ja to panu mówię.

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Nie trzeba nigdy sądzić z pozorów. Wiadomo przecież, że nic nie myli tak, jak pozory.

— Ale chyba nie w tym wypadku.

— Kto wie...

A mówiąc to, miała jakiś smutek w oczach.

Chciałem przedłużyć rozmowę na ten interesujący temat, ale przeszkodził nam Hożycki,² który, skonstatowawszy fakt, że wentylacja jest niedo-

stateczna, głosował za przejściem na taras, proponując równocześnie, byśmy potem ochłodzili się jakim mrożonym napojem.

Na tarasie, wzniesionym na wysokości kilku pięter nad plażą i morzem, było cudownie. W dzień ma się stąd rozległy widok na całe Biarritz, wieczorem nie widać szczegółów, tylko się rozróżnia ogólne kontury, ale mnóstwo światełek, iskrzących się po całym wybrzeżu, zakończonem latarnią morską, tworzy efektowny obraz. Szum morza w dole, czarnego jak atrament, a tylko przy brzegu rozjaśnionego białemi falbanami fal, przyplływających kilku rzędami, tudzież łagodne powietrze wieczorne, przesycone jakimś szczególnym aromatem wodorostów, a chłodzone nieustannym powiewem, składają się jakby na melancholijny nokturn.

Była chwila, że Hożycki spotkał jakiegoś znajomego, z którym przy papierosie trochę pogawędził na stronie, a myśmy stanęli przy żelaznej balustradzie, ażeby popatrzeć na krajobraz z nikłym sierpem księżyca na niebie w gwiazdach.

— Pięknie tu, prawda? zapytała pani Helena, oglądając się za mężem.

— Niewątpliwie, ale niestety, brak mi potrzebnego uwrażliwienia duszy, by odczuć całą melancholję tego pejzażu.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Bo wszystko zależy od nastroju, w jakim się patrzy na świat. Dlatego jestem zdania, że na

obraz, który w tej chwili mamy przed oczyma, należałoby patrzeć przez pryzmat miłości i dopiero wówczas...

— Rozumiem pana: chciałby pan być zakonanym.

— Pewno. Niema nic przyjemniejszego, jak się kochać.

— Z wzajemnością, czy bez wzajemności?

— To już jest obojętne. Chodzi o to, żeby mieć serce zajęte. Nic więcej nie potrzeba do szczęścia. Bo nawet nieszczęśliwa miłość jest szczęściem w porównaniu z tem strasznym uczuciem pustki w sercu, którą francuzi nazywają *l'impuisance d'aimer*.

— Czy może pan czuje się dotkniętym tą niemocą?

— Oddawna.

— Jednem słowem, odczuwa pan to, co my nazywamy potrzebą kochania.

— Bardzo dobre określenie.

— A coby pan powiedział na to, gdybym ja naprzykład, poprostu przez dobre serce, dostarczyła panu sposobności do zakochania się...

— W kim?

— Choćby we mnie! Nie uśmiechałoby się to panu?

— O ileby się uśmiechało mnie, o tyle wątpię, by się to udało pani.

— Tak pan sądzi? A ja mam wrażenie, że

nie przyszło by mi trudno. W każdym razie spróbuję... Ale otóż i mój mąż!

Nie umiem opisać wszystkich zmian, jakie przy tym djałogu zdołałem zaobserwować w pani Helenie. Powiem tylko, że wszystko, com w niej kiedyś widział niebezpiecznego, jako w zawołanej kocietce, teraz wystąpiło w całej pełni: te same oczy, które dopiero z taką smętną zadumą patrzyły w czarną nieskończoność morską, w których przez chwilę dopatrywałem się łzawej przesłony, raptem z tęsknych stały się wyzywającemi, z zamglonych przedzierzgnęły się w ogniste o jakiejś magnetycznej sile, a spojrzenia ich, tak smętne do niedawna, tak pełne słodkiej kobiecości, w jednej sekundzie zmieniły się w demoniczne, pełne ośmielającej i obiecującej zalotności w mrużeniu powiek, w drganiu rzęs, słowem, zionęły takim szelmowskim urokiem, idącym w parze z takim kuszącem rozchyleniem ust, że nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział takie wyrafinowanie w kokieterji, tak żywiołowe jednocześnie, tak wrodzone!

Nie wiem też, co by się było stało, gdyby nie Hożycki, który nam przerwał te ryzykowne wyzwania, dzieląc się wiadomością, że właśnie wraca z sali restauracyjnej, gdzie nietylko zarezerwował stolik, ale już nawet kazał zamrozić butelkę.

Oczywiście, że rozmowa natychmiast przybrała inny obrót, a pani Helena, tak zaczepna przed chwilą, znów powróciła do roli kobiety światowej,

spokojnie rozmawiającej z dawnym znajomym, obojętnym zresztą.

Z tej roli już nie wypadła ani razu, odkąd zajęliśmy nasze miejsca przy stoliku w pięknej sali z barem amerykańskim. Pogawędka przy szampanie i brzoskwiniach, na tle gwaru przy wszystkich stolikach, a przy akompaniamencie cygańskiej kapeli z cymbałami, ustawionej we drzwiach przyległego pasażu, toczyła się gładko, z humorem, z dużą przymieszką soli atyckiej, nie bez potrącania o przedmioty śliskie. Pod wpływem Röderer'a, który zwłaszcza przy drugiej butelce zawsze robi swoje, pani Helena, której Hożycki ciągle dolewał wina, zaczęła być *au point*, coraz weselsza, coraz swobodniejsza, coraz rozkoszniejsza, no, i coraz zalotniejsza odnośnie do mnie. Czar zaś, jaki przysiętem roztaczała dookoła siebie, działał nietylko na nas, siedzących z nią razem, ale i na kapelmistrza-cygana w czerwonym fraku, który najprzód z rosnącym zachwytem poglądał w naszą stronę, aż wkońcu, oddaliwszy się od swoich towarzyszy, zbliżył się, grając ciągle, do naszego stolika, wzrokiem i uśmiechem niedwuznacznie dając do zrozumienia, że pragnąłby grać dla nas specjalnie. Znaczyło to, że ze wszystkich pań na sali, choć było kilka ładnych przy innych stolikach, naszą towarzyszkę uważał za najgodniejszą takiego wyróżnienia.

Skinąłem głową na znak, że przyjmujemy jego

propozycję, a gdy w pauzie prosił go, by nam grał same czardasze i cygańskie pieśni miłosne, on, zrozumiałwszy moją intencję — popartą stufrankowym banknotem — natychmiast zaintonował jakieś namiętnego czardasza. Stojąc przy nas, tak, że tylko raz po raz odwracał się do swych towarzyszy, zachęcając ich, by mu wtórowali z możliwie największym ogniem, grał wprost porywająco: ale bo też nie grał na skrzypcach, z których dobywał jakieś niewypowiedziane przejmujące tony, ale poprostu na nerwach, na zmysłach, na sercach, na utajonych tęsknotach i żądzach całej sali. Trzeba mieć kamień w piersiach, a nie wrażliwą i muzykalną duszę, by się nie dać rozmarzyć takiej grze, tym żalosnym i czułym zawodzeniom, tym dzikim wybuchom uczucia, tym słodkim kwileniom tklivości, przeplatanych istnemi huraganami temperamentu.

Oczywiście, że i pani Helena, i jej mąż, i ja, daliśmy się podniecić tej djabelskiej muzyce, wiodącej na jakieś dziwne pokuszenia. Pani Helena, zasłuchana i zamyślona, miała takie czarujące momenty zadumy, że nie dziwiłem się temu cyganowi, gdy chwilami wprost — jak kusiciel — pochylał się nad nią: rzekłbyś, że te oszałamiające dźwięki, które mu płynęły z pod smyczka, chciał przelać w jej rozczuloną duszę, a tak się w nią wpatrywał swemi czarnemi mongolskimi oczyma, że ona nie śmiała spojrzeć na niego. Że jednak ta

czarodziejska muzyka robiła wielkie wrażenie na niej, że w niej zapalała jakieś ognie, które może tylko tliły się przedtem, o tem świadczyło jej falujące łono, jej zarumienione policzki, jej przymglone oczy. Zachwycony zwłaszcza rzewnymi pieśniami cygańskimi, Hożycki za każdą dawał złotego luidora, a prócz tego kazał dać trzy butelki dla muzykantów. Jakim czardaszem, i jak zagranym, podziękowali mu za to, tego nie opisze żadne pióro.

Niestety, muzyka ta, w połączeniu z *Cristalem*, nadmiernie podniecała animusz Hożyckiego. Zauważyłem, że gdy żonie dolewał wina, to na nią pozierał wzrokiem, który ona zdawała się rozumieć doskonale, a który ją równocześnie wprowadził jakby w zawstydzenie... przedemną!

Ale podochocony małżonek stawał się coraz mniej skłonny do ukrywania swych myśli, aż wkońcu, gdy muzykanci, racząc się swoim szampanem, zrobili większą pauzę, zaproponował nam, byśmy do dna wychylili nasze kieliszki za zdrowie jego przyszełego... syna!

— Bo, że po tegorocznem Biarritz będzie syn, tego, panie, jestem pewny.

To powiedziawszy, chciał się trącić z żoną, ale pani Helena, niemile urażona tym niewczesnym dowcipem, cofnęła swój kieliszek, proponując mężowi, by już nie pił więcej, bo zaczyna gadać głupstwa...

Że jednak już dochodziła z=ga po północy, więc należało myśleć o powrocie do domu. Jakoż w kilka minut po tym dowcipie Hożyckiego, który cokolwiek zmroził dotychczasową atmosferę, opuszczaliśmy już podwoje kasyna: Hożyccy odjechali swym automobilem, a ja, zamiast wrócić wprost do hotelu, jeszcze się poszedł przejść po didze.

Spacerowałem przeszło godzinę, przez cały czas starając się myśleć o wszystkim, tylko nie o Hożyckich... Gdym wracał do hotelu, już się robił dzień, który ptactwo po drzewach witało coraz głośniejszem ćwierkaniem.

*Biarritz, 16 sierpnia. Piątek.
Godzina 11=ta wieczór.*

Przez cały dzień nie widziałem się dziś z Hożyckimi. Zależało mi na tem, żeby się nie spotkać, ani z nią, ani z nim. Choć lato spędzamy w jednej miejscowości, nie znaczy to jeszcze, by ciągle być razem, a przynajmniej widywać się po parę razy dziennie. A zresztą nie chcę się krępować kimkolwiek, a tembardziej wciągać się w jakąś sytuację, do czego by pani Helena może miała niejaką ochotę. Na moje szczęście, ja nie żywię najmniejszej chęci w tym kierunku.

Powtórę spadła tu dziś na mnie nagle robota literacka, która, bądź co bądź, zabierze mi trochę

czasu. Będę miał doskonały pretekst, żeby się odosobnić cokolwiek.

Właśnie miałem wychodzić z domu, by jeszcze się wykapać przed drugim śniadaniem, gdy mi przyniesiono trzy bilety wizytowe: księdza Bertier, proboszcza tutejszego kościoła św. Eugenji, doktora Landouzy, tutejszego lekarza naczelnego, i p. Bonney, mera miasta Biarritz. Gdym naturalnie kazał ich prosić natychmiast, trochę zaskoczony tą oficjalną wizytą takich trzech koryfeuszów miejscowych, i gdy po pierwszej zdawkowej wymianie zdań, nieodłącznych od takiego pierwszego poznania, zapytałem ich, czemu zawdzięczam tak miłe i zaszczytne odwiedziny, oświadczył mi ksiądz Bertier (nawiasem mówiąc, pyszny typ senatora rzymskiego), że jeśli ośmielili się przyjść w deputacji do mnie, to przedewszystkiem zachęciła ich do tego księżna de la Valière, wielka dobrodziejka tutejszych maluczkich, a powtóre mają to głębokie przeświadczenie, że jeśli *noblesse oblige*, to nie mniej obowiązuje także i talent, który się otrzymało w darze od Boga! Dlatego i oni mają nadzieję, że nie odmówię ich prośbie, i t. d. i t. d. Z tej miódopłynnej oracji, w której wymowny kaznodzieja tytułował mię ciągle *illustre maître*, dowiedziałem się ostatecznie, że w Biarritz buduje się szpitalik dla dzieci, na którego dokończenie brak funduszków, i że chodzi o to, bym tu wygłosił odczyt na korzyść budowy owej filantropijnej instytucji. Wy-

słuchawszy całego szeregu komplementów, których mi z kolei nie szczędzili zarówno mer, jak i do-
 któr, przyrzekłem zadośćuczynić ich życzeniu. Za-
 strzegłem sobie tylko, że odczyt wygłoszę nie prę-
 dzej, aż za parę tygodni, bo go muszę napisać do-
 piero, a nie brak mi i innych robót, domagających
 się wykończenia w tym czasie. Po krótkiej dyskusji
 ustaliliśmy datę 10 września, jako dzień odczytu.
 Wyznaczono nań, jak się dowiedziałem przy tej
 okazji, wielką salę teatralną kasyna *Belle vue*. Co
 do wyboru tematu, w czem mi naturalnie pozo-
 stawiono najzupełniejszą wolność, to przyrzekłem
 zakomunikować go panu Bonney jutro, najdalej
 pojutrze. Odczyt się odbędzie o 4-tej po południu.

Po wyjściu tych panów, gdy się zaczął za-
 stanawiać nad kwestją kąpieli, zdecydowałem się
 wykąpać na osobności, w starym porcie, gdzie fala
 jest mniej silna, ale za to pływacy mają praw-
 dziwy raj. Wprawdzie wczorajsza kąpiel miała
 wiele uroku dla mnie, ale właśnie ze względu na
 ten urok wolałem się wykąpać gdzieindziej...

Zaraz po *lunch'u* wybrałem się piechotą do
 Bayonny.

Idąc cienistym lasem liściastym, zasianym wil-
 lami po obu stronach szosy, myślałem wyłącznie
 o różnych tematach, nadających się do odczytu
 dla wytwornej publiczności w Biarritz, aż wkońcu
 mogłem wykrzyknąć moje: *Eureka!*

Wygłoszę odczyt o kobiecie francuskiej, takiej,

jaką jest w rzeczywistości, i takiej, jaką ją przedstawia francuska powieść, która ją, mojem zdaniem, zniesławia i krzywdzi. Bardzo dobry temat: będzie to apoteoza kobiety francuskiej, jako żony, matki, pracownicy, pomocnicy męża, kapłanki domowego ogniska, skrzętnej i oszczędnej gospodyni i wychowawczyni nowej generacji, etc. w przeciwstawieniu do najrozmaitszych kombinacji trójkąta małżeńskiego, poza który prawie nie wychodzi powieść we Francji, a także i teatr.

Zaabsorbowany różnemi motywami, jakie nastrocza dany temat, szedłem zamyślony, nie widząc licznych samochodów, pędzących w obie strony. Tak doszedłem do samej Bayonny.

Właśnie była godzina 3-cia. Na *Place de la Liberté* natknąłem się na Marcelę Krajewskiego, malarza, niegdyś przyjaciela Grottgera (który umarł na jego rękę), a mojego dobrego znajomego z Paryża. Przyjechał przed paru dniami, ażeby tu malować jakiś portret. Właśnie wracał z świeżo njętej pracowni w miejskiej szkole rysunkowej. Kontent, że znalazł towarzysza, oświadczył mi, że z nudów szedł do *Musé Bonnat*. Poszliśmy razem. Bardzo ciekawe muzeum. Potem udaliśmy się na *rue du Port-Neuf*, gdzie pod przysadzistemi arkadami w cukierni Daranatza piliśmy herbatę. Do Biarritz wróciłem dopiero o 7-mej tramwajem B. A. B. Po obiedzie już nie wyszedłem z hotelu. Wróciwszy do numeru, zacząłem szkicować mój

odczyt, a teraz, po zapisaniu tej kartki w dzienniku, kładę się spać, bo czuję się zmęczonym.

17 sierpnia. Sobota.

Całe przedpołudnie spędziłem w domu, nie ruszając się na krok. Na dworze upał, duszno, w pokoju znacznie chłodniej. Powtórę dostałem z drukarni *Revue des deux mondes* trzy arkusze korekty mojego nowego romansu, którego początek ma się ukazać w zeszycie z 5-go września. Po południu o wpół do 4-tej byłem z wizytą u księżnej de la Valière. Najwięcej było mowy o moim odczycie, którego tytuł już rano zakomunikowałem merowi. Księżna zachwycona tematem. Z góry przewiduje nadzwyczajny sukces. Ona się zajmie rozésłaniem biletów. Pierwsze rzędy po 20 franków. Naddatki przyjmuje się z wdzięcznością. Już miałem wychodzić, gdy przed pałac zajechała czerwona limuzyna hrabiny Desportes, z którą księżna miała jechać do Cambo, na podwieczorek do Edmunda Rostanda. Ponieważ żyję w przyjaźni z autorem *Samarytanki*, a u hrabiny jestem w łaskach nieładach, więc zaproponowano mi, bym się przyłączył do tej przejażdżki. Nie widziałem powodu, żeby odmawiać tym paniom, więc pojechaliliśmy, dzięki czemu spędziłem bardzo miłych kilka godzin. Zamieszkała przez Rostanda *Villa Aruaga* jest praw-

dziwem Tusculum nowoczesnego poety. Swoją drogą wolę mieszkać w Paryżu.

O 9-tej wieczorem, z namowy księżny, u której jutro jestem na śniadaniu, wybrałem się do kasyna *Belle vue*, na koncert Alfreda Cortot, protegowanego księżnej. Ślicznie gra, nie ma co mówić: szczególnie Beethovena, choć i Chopina z4 preludja wykonał świetnie.

Po skończonym koncercie, pożegnawszy się z księżną, przeszedłem do salonów gry. Tam zaraz przy pierwszym stole natknąłem się na Hożyckiego, który spostrzegłszy mnie, natychmiast zbliżył się ku mnie, z widocznem uradowaniem.

— Co się z panem dzieje? były jego pierwsze słowa, nacechowane wielką serdecznością. Gdzie się pan podziewa? Nigdzie pana nie widać! Ani na plaży, ani na didze, ani się pan kąpie. Żona moja była pewna, że będziemy się kąpali razem, tymczasem i wczoraj i dziś rozglądaliśmy się za panem napróżno. Już myślała, że może pan chory, albo się pan o co pogniewał, albo że pan wyjechał. Gdybym pana nie spotkał teraz, z pewnością przyszedłbym do pana jutro, by się dowiedzieć, co się stało? Żona moja naprawdę była już dziś o pana niespokojną, a gdyśmy po południu przejeżdżali koło pańskiego hotelu, proponowała mi, bym wstąpił zapytać się o pana... No, ale widzę, że panu nic nie jest...

Jeszcze nie zdążył opowiedzieć Hożyckiemu,

com robił przez te dwa dni, gdy nadeszła pani Helena w prześlicznej czarnej koronkowej sukni, dekolowanej naturalnie, z brylantowym wisiosem na biuście, z wielką ponsową różą we włosach. uczesanych po hiszpańsku, z pękiem takichże róż przy gorsie. Wyglądała, jak grzech wcielony.

Ledwośmy się przywitali, zaraz mię zarzuciła temi samemi pytaniami, co jej mąż przed chwilą, a gdym się wytłómaczył ostatecznie, zaproponowała mi, bym razem z nimi przeszedł do sali balowej, gdzie w tej chwili odbywa się bal tańczący, podobno godny widzenia. Nie mogłem odinowić, więc poszliśmy zaraz.

W wielkiej sali balowej już było rojno i gwarno, tłumno i ciasno, gorąco i duszno. Przy dźwiękach niewielkiej orkiestry, umieszczonej na scenie teatralnej, tańczono walca, a dokoła tłoczyli się ci, co poprzestawali na roli widzów. Uderzyło mię odrazu, że tańczący rekrutowali się z najlepszego towarzystwa, co zresztą dało się powiedzieć i o zwartym tłumie patrzących. Płeć piękna, mieniąca się jasnymi barwami tualet, dekolowana, ubrylantowana i uperłona, zajmowała dwa rzędy krzeseł pod ścianami; mężczyźni musieli stać. Wszystko razem, na tle bogatej sali, składało się na wytworny obraz, jakby malowany przez Rezniczka.

Ledwom zdobył jakieś krzesło dla pani Heleny, zaraz jej różni Hiszpanie i Francuzi zaczęli

się przedstawiać, a następnie prosić do tańca. Nie upłynął kwadrans, a już wszystkich oczy były zwrócone na nią, jako na królowę zabawy, jako na najpiękniejszą ze wszystkich dam tańczących, a przytem jako na niezrównaną tancerkę. Rzeczywiście żadna nie mogła równać się z nią, gdy chodzi o wdzięk w tańcu, czem zresztą odznaczała się zawsze.

Patrząc na nią teraz, jak tańczyła, budząc za chwyt powszechny, jak siedziała zmęczona z falującymi piersiami, by za chwilę znów puścić się w zawrotny tan, jak mężczyźni ustawiali się jedni za drugimi, by po kolei mieć przyjemność obtańczenia z nią sali, przypominały mi się te bale warszawskie, na których ja przetańczyłem z nią tyle upajających walców, kotyljonów, oberków, kadryli... Że jednak *les beaux esprits se rencontrent*, więc i ona, tańcząc z różnymi cudzoziemcami, a widząc mnie, stojącego w tłumie innych fraków, mimowoli pomyślała o tych rozmaitych zabawach, na których tak się dała porywać rozmarzającemu wirowi walców ze mną, a skoro jej to przyszło na myśl, zapragnęła odświeżyć te wspomnienia.

W tym celu, gdy na chwilę siadła zmęczona, zdyszana, skinęła na mnie, bym się zbliżył do niej, a gdym stanął przed nią, ona, nie przestając się wachlować falistym wachlarzem z czarnych piór strusich, rzekła z taką miną, jakby się chciała dąsać na mnie;

— Właściwie powinnam mieć żal do pana.

— A to czemu?

— I pan się jeszcze pyta? Niby to pan nie wie lepiej odemnie.

— Słowo pani daję, że nic nie rozumiem.

— Jakto? Więc pan może tak obojętnie patrzeć na mnie, jak tańczę z innymi, i nawet panu przez myśl nie przejdzie, żeby choć jedną turę walca przetańczyć ze mną? Nie tak to jednak bywało dawniej...

— Pewno, że wiele zmieniło się od tego czasu, a przede wszystkim zmieniliśmy się my sami.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, żeśmy się zestarzelі?

— Tego powiedzieć nie chciałem, choć co do mnie, to nie taję, że zestarzałem się, o tyle przy najmniej, o ile chodzi o taniec.

— Nie chce mi się w to jakoś uwierzyć, a że mam w sobie coś z niewiernego Tomasza, więc muszę tej pańskiej rany dotknąć się palcem, czyli, proszę pana bardzo, by mię pan teraz — zanim to uczyni kto inny — poprosił do walca. Przypomnijmy sobie dawne czasy.

To mówiąc, jeszcze zanim zdążyłem powiedzieć cośkolwiek, powstała i postąpiła ku mnie, podnosząc tren sukni, tak, jak to czyni kobieta, gdy ją mężczyzna poprosił do tańca. Cóż miałem robić? Odmówić? Nie. A więc nie pozostawało nic innego, tylko skłonić się i... przypomnieć sobie te czasy,

kiedy w upajającym walcu obejmowałem ją w pół, kiedy tańcząc razem, jakby opleceni koło siebie, czuliśmy niemal przyspieszone bicie naszych serc, kiedy jej w tańcu dawałem do poznania, że czułbym się najszczęśliwszym z ludzi, gdybym jej wogóle nie potrzebował wypuszczać z mych objęć. Wszystko to, przy tęsknych dźwiękach modnego w tym sezonie walca *Fascination*, od chwili, gdyśmy się znaleźli na środku sali, na nowo odżyło w pamięci. Pani Helena, lekko wsparta na mojem ramieniu, nie protestowała, gdym ją raz po raz, zwracając się w lewo, mocniej przyciskał do siebie, a nawet miałem uczucie, że jej to sprawiało przyjemność, wprowadzając w jakieś podniecenie, które się udzielało i mnie także. Znikła przestrzeń dwunastu lat, gdyśmy tak z sobą tańczyli po raz ostatni, i zdawało mi się, że to było wczoraj. Ona tańczyła równie powiewnie, jak wtedy, tak samo odgadując mój każdy ruch w prawo lub w lewo, każde postąpienie w tył lub naprzód, do którego stosowała się natychmiast, posłuszna na każde skinienie, poddająca się każdemu impulsowi z mej strony.

— Widzę, że pan jednak nie zapomniał tańczyć walca.

— Z taką danserką, jak pani, nie sztuka tańczyć jako tako. A zresztą, kto tyle tańczył z sobą, co my, ten sobie łatwo może przypomnieć, jak to się tańczyło niegdyś.

Tymczasem zdążyliśmy przetańczyć raz dokoła sali, a gdyśmy się zbliżyli do krzesła, gdzie była siedziała pani Helena, a ja zrobiłem taki gest, jakbym ją pragnął posadzić, ona spytała nie bez ironji:

— Już pan zmęczony?

— Bynajmniej.

— Bo ja nie.

Wobec tego mocniej objąłem ją w pól, przed czem ona nie broniła się całkiem, i znów pomknęliśmy ku środkowi sali, gdzie trochę było mniej wirujących par. Postanowiłem tańczyć tak długo, dopóki sił starczy mej tancerce, dopóki mi nie powie sama, że już musi spocząć. Że jednak ona powzięła zdaje się ten sam zamiar, więc tańczyliśmy chyba z kwadrans, przez cały czas mając sobie mnóstwo miłych rzeczy do powiedzenia. Wspominaliśmy nasze pierwsze walce na lekcjach tańca, mój pojedynek na florecie, w którym w jej obecności o mało co oka nie wykłułem mojemu rywalowi, wspominaliśmy te świetne zabawy w Zakopanem, na których przetańczyliśmy tyle rozkosznych walców i oberków. Dowiedziałem się przy tej sposobności, że Hożycki jest lichym danserem, że nie umie tańczyć walca w lewo, a i w prawo tańczy nieszczególnie. Dlatego nigdy nie tańczą z sobą, bo ona woli nie tańczyć wcale, niż z danserem, który jej depcze po sukni, lub płącze się w kolanach. A zresztą walc, tańczony tylko w jedną stronę, to nie walc.

— I do tego z własnym mężem! wtrąciłem nie bez cienia złośliwości.

— Bardzo jestem przywiązana do mojego męża, ale tańczyć wolę z panem.

— Kiedy tak, to zatańczmy w lewo.

I znów ją silniej przycisnąłem do siebie, tak, że niemal czułem jej biust przywarty do mych piersi, a jednocześnie takim wzrokiem szukałem jej spojrzenia, jakbym szukał nie oczu jej, ale ust... Zrozumiała ten mój sposób patrzenia na nią prosto w oczy, ale zamiast uniknąć tych grzesznych spojrzeń, przeciwnie, taką kokieterją umiała odpowiedzieć na moją natarczywość, tak powłóczyłymi spojrzeniami, rzucanemi z poza przymkniętych powiek, umiała sparować moje atakujące wejrzenia, że miałem do wyboru: albo odeprzeć ten zwodniczy szturm t. j. przekroczyć granice, zakreślone światowym konwenansem, a więc na przykład ukraść pocałunek, co nawet w takim natłoku nie było wcale trudnem, słowem, odważyć się na coś zuchwalego, albo też uznać się za pobitego, kapitulować. Zapanowawszy nad chwilowym porywem, który o mało co nie zaprowadził mnie za daleko, wybrałem odwrót bez ryzyka, mniej chwałebny może, ale roztropniejszy, i po krótkim milczeniu, gdy milczały usta, choć mówiły oczy, znów nawiązałem przerwana nić rozmowy, umyślnie ją nastrojając na ton lekki i płochy.

— Nie wiem, czego się pani nauczyła w ciągu

tych lat dwunastu, ale widzę, że pani przez ten czas nie zapomniała niczego: ani tańczyć, ani kokieterować.

— Pan to nazywa kokieterją? Ach, panie, pan jeszcze nie wie zupełnie, co ja potrafię, do czego jestem zdolną, gdy naprawdę chcę skokietować kogoś.

— Nie wiem, ale w każdym razie pragnąłbym się dowiedzieć.

— Skoro tak, to obiecuję dołożyć możliwych starań, ażeby pan dowiedział się o tem prędko i gruntownie. Tymczasem jednak, jeśli pan nie chce, bym mu omdlała w ramionach, proszę mnie odprowadzić na miejsce, bo widzę, że mi już zaczyna w głowie się kręcić, a panu jeszcze nie zdążyłam głowy zawrócić, nad czem zresztą nie rozpaczamy wcale, bo co się odwlecze, to nie uciecze...

Zanim zdołałem odpowiedzieć, jakie jest moje zdanie w tej kwestji, uczułem nagle, że pani Helena istotnie zaczyna się słaniać, chwiać, a zarazem przestała tańczyć...

— Niech mię pan trzyma, bo się zatoczę i upadnę.

I możeby upadła rzeczywiście, gdybym jej natychmiast nie podał ręki, na której mi zwiśla całym ciężarem, i gdybym jej nie był podtrzymał energicznie. W ten sposób doprowadziłem ją bladą i zdyszana, z gwałtownie falującą piersią, do najbliższego niezajętego krzesła, na którym gdy siadła bez tchu, przez chwilę nie mogła wachlować się

nawet, ani przemówić słowa. Nie brakło wiele a byłaby zemdłała z wyczerpania.

Napróżno rozglądałem się za Hożyckim, żeby może przyniósł kieliszek wina; widocznie przeszedł do innej sali. Tymczasem pani Helena, ochłonawszy cokolwiek, rzekła z uśmiechem, usiłując odzyskać oddech:

— Jestem jak pijana: cała sala jeszcze mi tańczy w oczach. Gdybym powstała z tego krzesła, z pewnością bym padła jak długa, tak mię pan tym walcem wyprowadził z równowagi.

— Dziękuję pani. Jestem szczęśliwy, że mi się to udało.

— Ale mię pan jednak podtrzymał i nie pozwolił upaść...

I zaczęła się wachlować gwałtownie, przyczem rzuciła mi tak przekorne i szelmowskie spojrzenie, jakby mi urągała, że nie wstrzymuje się kobiety, gdy jest bliską upadku.

— Proszę mnie nie drażnić i nie wyzywać, bo może przyjsć taka chwila, że się okażę mniej wspa-
niałomyślnym.

— W każdym razie dziękuję panu serdecznie za tego cudownego walca, po którym nietylko jestem jak pijana, ale i upojona.

Nie wiem, co byłbym odpowiedział na ten wyróżniający komplement, któremu nadto towarzyszyło wielce przychylne spojrzenie z za wachlarza,

lecz pani Helena nie dopuściła mnie do głosu, mówiąc półszepem:

— Idzie mój mąż.

Jeszcze się nie zdołał obejrzeć poza siebie, a już Hożycki, jak *deus ex machina*, stał przy nas. Wracił z sali restauracyjnej, gdzie zarezerwował stolik.

W pięć minut potem jużśmy się trącali szklanczkami szampana, przy dźwiękach tej samej cygańskiej kapeli, co nam tu przygrywała ostatnim razem, a która dzisiaj przygrywała dla jednego ze stolików nieopodal nas. Przy stoliku tym, w otoczeniu kilku młodzieńców-południowców, siedziała niezwyklej urody, przepysznie ubrana Argentynka, sławna w całym Biarritz, jako królowa tegorocznego demi-monde. Jest to kochanka jakiegoś brazylijskiego bogacza, którego jednak dzisiaj nie było w kasynie, co zresztą w niczem nie zdawało się krępować pięknej kurtyzany, owszem dodawało jej swobody!... Jest to bezwarunkowo jedna z najpiękniejszych kobiet w Biarritz tego sezonu, a nawet w typie trochę podobna do pani Heleny: taka sama ognista brunetka, tylko o bardziej oliwkowej cerze i może szczuplejsza cokolwiek.

Skorom na nią zwrócił uwagę Hożyckich, pani Helena, gdy się jej przez *face à main* przyjrzała okiem znawczyni, rzekła uszczypliwie:

— No, dziś przynajmniej nie będzie się pan nudził z nami.

— Nie wiedziałem, odciąłem się, że za ostat-

niej tu naszej bytności nudziliśmy się z sobą. Ja sądziłem nawet, żeśmy się bawili doskonale, a tymczasem dowiaduję się teraz, że państwo nudziliście się ze mną, a przynajmniej pani.

— Tego nie chciałam powiedzieć wcale, ale powiem panu za to, żeby się pan mniej patrzył na mnie, a więcej na tę Argentynkę, która od chwili, jak zasiedliśmy tutaj, nie spuszcza pana z oka. Zrobił pan wyraźną konkietę.

Na zapytanie, czym tego nie zauważył jeszcze, odpowiedziałem naturalnie, że nie, ale skłamałem, bo miało się wprost przeciwnie. Nie wiedziałem, co sobie ta argentyńska piękność upatrzyła we mnie, ale że mi się przyglądała natarczywie, co nawet zdawało się irytować jej towarzyszków, na to nie byłem ślepy.

— Ona pana wyraźnie kokietuje, przerwała mi ni stąd ni zowąd, w jakieś dziesięć minut później, podrażniona pani Helena.

— Zauważyłem, odrzekłem nieszczerze, że istotnie kilka razy spojrzała w naszą stronę, ale ja spojrzenia te biorę nie pod swoim, ale pod adresem pani, której ona przypatruje się z bardzo widocznym zainteresowaniem, co mnie oczywiście nie dziwi bynajmniej.

— Nie wiedziałam, że pan umie kłamać z takimi pozorami dobroduszości. Ale jednak przyznał się pan niechcący, że ukradkiem poziera pan raz po raz w stronę tej Argentynki.

— Nie mam się czego zapierać, bo chyba nie byłbym sobą, gdyby mię obojętnym pozostawiał widok pięknej kobiety, cóż dopiero tak pięknej!

— Więc tak się panu podoba?

Chcąc przerwać tę indagację, która mię bawiła zresztą, jako dowód pewnej kobiecej zazdrości z powodu przeczuwanej rywalki, powołałem Hożyckiego na rozjemcę, z góry pewny jego wyroku. O czem także nie wątpiłem ani na chwilę, to, że ta południowo-amerykańska Hiszpanka, rzeczywiście sobie zagieła parol na mnie, że mię chwilami wprost magnetyzowała oczyma, a raz nawet, pijąc szampana, w taki sposób szklaneczkę przyłożyła do ust, tak swój palący wzrok utkwiała we mnie. Jakby przepijała do mnie, jakby ze mną w myśli trącała się kieliszkiem. Udałem naturalnie, że nie widzę tej oznaki sympatji.

Ale nie upłynęło pół godziny, a przyszło do sceny, która mię wprowadziła w niemałe zakłopotanie,

Gdy cyganie, zdaje się na wyraźne życzenie naszej Argentynki, zaczęli grać znaną melodję mazurki, ona powstała od stolika, skinęła na jednego ze swych młodych towarzyszków, a gdy on wstał i zbliżył się ku niej, owinęła mu ręce koło szyji, przytuliła się do niego czule, jak kotka, jak pieszczołka, a gdy on ją oburącz ujął za biodra, zaczęli poruszać się w takt muzyki. Jak tańczyli, a raczej jak tańczyła ona, w jakich się wila przebiegłościach, jaki wyraz nadawała swej cudnej twarzy,

co przez ten wyraz dawała do zrozumienia, o to mniejsza; wystarczy, gdy nadmienię, że jak żyję nie widziałem tak poetycznie, tak subtelnie a jednocześnie tak rozpustnie, z takim wyrafinowaniem tańczonej maczicy. Była to poezja tego lubieżnego tańca, taneczna apoteoza upojeń zmysłowych, wszystkich dreszczów i spazmów kobiety w objęciach ukochanego mężczyzny, aż do ostatecznego omdlenia i wyczerpania.

Ci, co siedzieli przy dalszych stolikach, popowstawali ze swych miejsc, zbliżywszy się do tańczącej pary, a widok jej, poprostu narkotyzujący, jak haszysz, nietylko całą salę wprowadzał w stan jakiegoś kataleptycznego zapatrzenia, ale niemniej zdawał się podniecać i grających cyganów, którzy, przygrywając tym kochankom w miłosnym uścisku, grali jak opętani, jak szaleni. Nie umiem znaleźć odpowiednio plastycznych słów na oddanie tego oszałamiającego nastroju orgji, jaki się odczuwało w tej chwili.

Ale wszystko to byłoby niczem dla mnie, gdyby nie spojrzenia tańczącej, któremi mnie wprost prześladowała przez cały czas tańca, wcale niedwuznacznie dając do poznania, że tańczy z myślą o mnie, dla mnie, że tak chciałaby tańczyć ze mną... Co sobie myślała zresztą, gdy w tak znaczący sposób patrzyła się na mnie, tyle w swe płomienne oczy kładąc rozmarzenia i pożądania, tego nie byłem świadom na razie, ale czego miałem

świadomość najzupełniejszą, to, że Salome, gdy swym tańcem kusiła Heroda, musiała mieć taki sam wyraz twarzy. I mimowoli przypomniał mi się wiersz Heinego:

Sie tanzt mich rasend, ich werde toll...

Czego również miałem świadomość najzupełniejszą, to, że ta wyzywająca zalotność pięknej tancerki, niczem nie wywołana przezemnie, a bardzo żenująca dla mnie, była wysoce niemiłą dla pani Heleny. Ona bowiem, o ile z jednej strony zachwycała się tym rozpustnym może, ale dziwnie pięknym i estetycznym tańcem, tańczonym z taką niewysłowioną kobiecością, o tyle z drugiej strony czuła się niewątpliwie podrażnioną tem rzeczywistocie szczególnem zachowaniem się tanecznicy, która, choć niby to swemu partnerowi oddawała się z takim zapamiętaniem, wszystkie miłosne omdlewające spojrzenia miała nie dla niego, ale je słała ku nam, a pani Helena widziała dobrze, iż nie mierzyły ani w nią, ani w jej męża.

To też z niedowierzaniem odnosiła się do mych najsolenniejszych zapewnień, że nie znam tej swawolnej bachantki, że ją zaledwie parę razy widziałem w kasynie lub na ulicy.

— Nie chce mi się wierzyć, by pan jej nie znał jeszcze, a jeśli tak jest nawet, to nie wątpię w każdym razie, że po dzisiejszym wieczorze pozna

się pan z nią przy pierwszej sposobności. Jednem słowem, można panu powinszować.

Nic nie pomogły moje zapewnienia, że mi nie zależy na tej znajomości, że mi się bynajmniej nie uśmiecha podobna *bonne fortune*, z taką *professionnal beauty*, że zresztą tę kokieterję z jej strony, tak wyzywającą i rażącą, a więc niedelikatną, uważam raczej za dokuczliwą złośliwość jednej pięknej kobiety wobec drugiej, jeszcze piękniejszej, wywołaną poczuciem konkurencji i rywalizacji.

— O, już co do tego, to się pan myli, albo raczej udaje pan, że pan nie rozumie, o co chodzi. Gdyby rzecz miała się tak, jak pan przypuszcza, gdyby ta jej kokieterja wypływała z chęci zrobienia *mnie* na złość, to byłaby zwróconą nie na pana, ale na mego męża.

— A skąd pewność, że tu nie zaszło zabawne *qui pro quo*, że mnie właśnie wzięto za męża pani?

Nie przewidując takiego postawienia kwestji, pani Helena nie wiedziała na razie, co mi odpowiedzieć...

Tymczasem piękna Argentynka, wyczerpana ekscytującym tańcem, uwolniła się z objęć tancerza, usiadła na swem dawnem miejscu, kazała sobie nalać szklanek szampana, a wychylając go duszkiem, znów wzrokiem spoczęła na mnie...

Jednocześnie muzyka przestała grać, zrobił się rodzaj pauzy. Ponieważ było już po północy, Ho-

życki wyraził chęć pójścia do domu, a pani Helena nie okazała się temu przeciwną.

— Pan naturalnie zostanie jeszcze, rzekła do mnie, na wyrazie *naturalnie* kładąc znaczący nacisk.

— W każdym razie nie mam zamiaru zostać tu długo, odrzekłem, udając, że nie rozumiem, do czego zmierzał ten przytyk.

Po uregulowaniu rachunku, gdyśmy wstali od stolika, nie widziałem powodu, żeby, odchodząc, nie spojrzeć w stronę pięknej Argentynki, a gdym wychodząc, obejrzał się we drzwiach mimowoli, ujrzałem jej wielkie oczy gazeli, goniące za mną...

— Jestem spokojna, że pan tu wróci, rzekła pani Helena, gdyśmy się znaleźli za progiem.

— A co by pani powiedziała na to, gdybym nie wrócił?

— Tego panu nie powiem...

Ale powiedziała to takim tonem, jakby mi chciała powiedzieć: »Nie wracaj, proszę cię, zrób to dla mnie!«

— Skoro tak, to nie wrócę.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Chwali się to panu.

I dotrzymałem słowa. Gdy jednak pożegnałem się z Hożyckimi, których odprowadziłem aż do przedsionku, a do domu wracać jeszcze mi było za wcześnie, zdecydowałem się przejść do salonów

gry. Idąc tam, gdym przechodził koło sali restauracyjnej, niechcący zajrzałem przezedrzwi, czy piękna tancerka jeszcze siedzi ze swymi towarzyszami. Ale jakież było moje zdziwienie, gdym już nikogo nie ujrzał przy tym stoliku. Za to pierwszą osobą, która mi wpadła w oko, gdym wszedł do wielkiej sali gry, była ona... Stała przy pierwszym stole z bakaratem, a gdym przeszedł do następnej sali, po chwili i ona uczyniła to samo. Udawałem jednak, że jej nie widzę, a gdym się znalazł w trzeciej sali, istotnie znikła mi z oczu. Dopiero, gdy się miałem ku wyjściu, gdym w garderobie czekał na palto, ona niespodzianie zjawiała się przy mnie, tak, że gdy jej oddano płaszcz z kontramarkami, byłbym poprostu niegrzecznym, gdybym go jej nie pomógł włożyć. Gdym to uczynił z kurtuazją, ona podziękowała mi uprzejmie, poczem, obrzucając mię przykuwajacem spojrzeniem, rzekła zciszonym głosem:

— Niech mnie pan odwiezie do domu. Mam swój automobil.

18 sierpnia. Niedziela.

Dwóch rzeczy zapomniałem wpisać pod wczorajszą datą: że mię Hożyccy zaprosili na poniedziałek, na śniadanie o 1-szej w południe, i że pani Helena, gdyśmy mówili o mym odczycie, bardzo

mi zachwalała kazania księdza Bertier, rzeczywiście znakomitego kaznodzieji. Zrozumiałem, że w tem było cokolwiek zachęty, bym kiedy przyszedł do kościoła St. Eugenie, i dlatego uczyniłem to dzisiaj.

Kościół to nowoczesny zupełnie, w stylu romańskim, a o godz. 11-tej bardzo przypomina wielkoświątową mszę u Św. Magdaleny w Paryżu: w całej świątyni, obok kadzidlanej woni, czuje się zapach najmodniejszych perfum, a zgromadzone »towarzystwo«, nad którem, jak pęki kwiatów, pstrzą się różnobarwne kapelusze damskie, zaleca się nietylko przykładną pobożnością, ale i wytwornością przeważnie jasnych strojów.

Na takim tle rozejrzawszy się po ławkach i krzesłach z damami, prędko dostrzegłem panią Helenę, bez męża, a wypatrzywszy ją, zaraz się postarałem zająć miejsce nieopodal niej, z boku, tak, żeby mnie mogła zobaczyć. Jakoż spostrzegła mnie niebawem, a gdyśmy wymienili dyskretne ukłony, już od tej chwili ani razu nie spojrzała w moją stronę, zaczytana w maleńkiej książeczce do nabożeństwa.

Dopiero w czasie kazania, które istotnie było wygłoszone z wielką retoryczną swadą, kilka razy spotkaliśmy się oczyma, co zawsze przytrafiało się w momentach, gdy złotousty kaznodzieja rozwodził się o cnotach i niecnotach małżeńskich. Raz nawet, gdy powstawał na płóche mężatki, matki dzieciom, nie mogące żyć bez flirtu, który nie-

rzadko bywa wstępem do grzechu cudzołóstwa, pani Helena, spojrzawszy w moją stronę, w chwili, gdy i ja znacząco popatrzył na nią, uśmiechnęła się do mnie.

Po skończonem nabożeństwie, gdy już wszyscy zaczęli zdążać ku wyjściu, wyszedłem jeden z pierwszych, ażeby przed kościołem — na zapchanym automobilami placu — zaczekać na panią Helenę. Gdyśmy po przywitaniu skręcili pod cieniste platan na *rue Mazagran*, pani Helena zapytała mnie niby od niechcienia: czym wczoraj długo jeszcze został w kasynie? Wiem, co miała na myśli, zadając mi to pytanie, wiem, że była ciekawa, czym się poznał z piękną Argentyńką, ale że mnie o to nie spytała wyraźnie, więc nie rozminąłem się z prawdą, zapewniwszy ją, że wyszedłem w dobry kwadrans po nich... Nie chcąc jednak, byśmy dalej roztrząsali tę kwestję, zapytałem, co się dzieje z Hożyckim, że nie przyszedł do kościoła?

— Mąż mój bardzo rzadko bywa ze mną w kościele, bo wogóle w tym kierunku nie może służyć za przykład. Twierdzi, że nie grzeszy, więc i tak jest z Panem Bogiem w porządku. Dzisiaj od samego rana pisze listy, bo choć niby ma wakacje, to jednak ważniejsze dyspozycje zawsze wydaje sam, czy jest w Warszawie, czy za granicą. Gdyśmy z kasyna wrócili do domu, zastaliśmy dwie jakieś ważne depesze *express* od dyrektora, na które mąż odtelegrafował natychmiast, a teraz pisze

obszerną instrukcję. Że zaś po śniadaniu wybiera się do San Sebastian, więc przed południem siedzi w domu i pracuje.

— A pani nie jest ciekawa dzisiejszej walki byków?

— O nie! Byłam raz, ale na widok pierwszego konia, przydeptującego swe własne wnętrzności, o mało co nie zemdlałam. Musiałam wyjść z cyrku. Ale męża mojego bardzo interesują te krwawe widowiska, czemu, przyznaję, wydziwić się nie mogę.

Dość długo dyskutowaliśmy na ten temat, a gdyśmy wreszcie znaleźli się na *Promenade de la Grande Plage*, chciałem się pożegnać, ale pani Helena wyraziła życzenie, bym ją odprowadził aż do jej domu.

— A co pani robi po południu, gdy do Biarritz zjedzie cała niedzielna publiczność z Bayonny?

— A pan co robi z sobą?

— Może też pojedę do San Sebastian.

— Szkoda, bo bym panu zaproponowała, żeby pan o 5-tej przyszedł do cukierni Miremont: napiłyśmy się herbaty, a potem możnaby pójść na jakiś spacer.

— Wobec tego o 5-tej czekam na panią w cukierni.

— Tylko niech pan nie uważa tego za *rendez-vous*.

To dyplomatyczne zastrzeżenie właśnie mi każało myśleć przeciwnie, a jakieś uporczywe prze-

czucie mówiło ponadto, że Hożycki pojedzie do San Sebastian, a żona zamilczy przed nim, iż ma się spotkać ze mną.

Okazało się, że m przeczynał trafnie: pani Helena przyszła o umówionej godzinie, a kiedy zajęła miejsce przy mym ulubionym stoliku pod wielkiem oknem w głębi sali — przez które ma się widok na morze i nadbrzeżną promenadę — przyznała mi się otwarcie, gdym ją o to zapytał na samym wstępie, że mąż wyjechał pociągami o 2-ej, o tem zaś, że się umówiła ze mną, nie uprzedziła go zupełnie.

— Ale niech pan nie myśli przypadkiem, że m to uczyniła z obawy przed jaką sceną. Mąż mój wcale nie jest zazdrosnym, a jednocześnie tak jest spokojny o mnie, że, jak powiada, nawet gdyby mę zostawił z dwunastu huzarami, jeszczeby nie lękał się o nic.

— Dobrze, że to nie ja jestem mężem, pani, bo gdybym ja miał tak piękną żonę, to bym był zazdrosny o każde spojrzenie jej, o każdy uśmiech, i był niespokojnym wówczas nawet, gdyby pani znajdowała się sam na sam nietylko z jednym je-dynym huzarem, ale nawet ze zwykłym literatem.

— Pewno, że gdyby wszyscy literaci byli tak niebezpieczni jak pan, z takim szczęściem do ko-biet — o czem tak dowodnie mogłam się przekonać wczoraj w kasynie — to i ja sama, gdybym miała

się opierać takim dwunastu, możebym zaczęła bać się o siebie.

— Dwunastu, czy huzarów, czy literatów, nigdy nie przedstawiają takiego niebezpieczeństwa dla kobiety, jak jeden; a co do mnie, to nie muszę wydawać się tak niebezpiecznym, skoro pani nie wahała się przyjść tu sama, i to bez wiedzy męża!

— Bo w panu, poza sławnym pisarzem, poza paryskim światowcem, a nawet poza znanym bałamutem i donżuanem, widzę przede wszystkim starego przyjaciela.

— Jak to dobrze, że go pani nazwała starym!

— Proszę nie łapać mnie za słowa, bom jeszcze gotowa pomyśleć, że pan chce wywołać komplement co do swojej czerstwości.

— Jednem słowem, uważa pani, że się dobrze trzymam jak na mój wiek?

— W każdym razie sam pan musi się uważać za niemłodego, skoro pan powiada, że jako mąż byłby pan szalenie zazdrośnym.

— O panią z pewnością!

— Czyli, że poczuwałby się pan do słabości, bo czemuż innem jest zazdrość?

— Mojem zdaniem, zazdrość jest przede wszystkim dowodem miłości. I dlatego nie rozumiem poprostu, jak można nie być zazdrośnym o panią, będąc jej mężem.

— A jednak mąż mój nie zna tego uczucia.

Natomiast znają je moi przyjaciele warszawscy, którzy często mi robią sceny zazdrości.

— Widocznie kochają się w pani!

— Kochać, to się kochają rzeczywiście, ale ja to uważam za przyjemną rozrywkę, zarówno dla nich, jak dla mnie, tem miłszą i zabawniejszą, im bardziej który jest zakochany.

— Widzę z tego, że pani jest bez serca.

— Przeciwnie, mam bardzo dobre serce. Przyznają mi to nawet moi wielbiciele, choć się we mnie kochają bez wzajemności. Wystarcza im, że ich lubię wszystkich.

— Wszystkich jednakowo?

— Jednych mniej, drugich więcej.

— I nie jest pani zazdrosną o żadnego z nich?

— O żadnego, nawet o własnego męża, o którego zresztą nie potrzebuję być niespokojną, bo poza mną nie patrzy na inne kobiety.

— Tak się może pani zdawać. Mężowie jednak, nawet najlepsi i najprzykładniejsi, bywają niewierni swoim żonom, jako urodzeni polygamiści.

— Mój mąż jest mi wiernym z pewnością. A zresztą, mój panie, *mnie* nie można być niewiernym. Niech pan spojrzy na mnie i powie sam: czy można być niewiernym, mając *taką* żonę?

Przy tych słowach spojrzała na mnie z takim wyrazem pewności siebie w oczach, z taką bezwzględną świadomością swego kobiecego uroku, że poprostu oniemiałem.

— O, za to panu ręczę, dodała, nim zdążyłem powiedzieć cośkolwiek, że gdyby pan był moim mężem, świata by pan nie widział poza mną, a tak bym pana potrafiła utrzymać przy sobie, że byłby pan obojętny na wdzięki innych kobiet, choćby nawet były tak piękne i wyzywające, jak ta wczorajsza Argentynka. No, a teraz proszę mi się przyznać otwarcie: poznał się pan z nią, czy nie?

— Pozwoli pani, że nim ja odpowiem na to pytanie, wpierw może pani odpowie mi na inne.

— Słucham, odrzekła zaintrygowana.

— Czy byłaby pani zazdrosną o swego małżonka, gdyby pani wiedziała, że w nieobecności pani zrobił znajomość z tą piękną Argentynką, że z nią w tajemnicy przed panią bardzo wesoło bawił się przez cały wieczór, i że nie okazał się księciem niezłomnym, gdy go starała się sprowadzić na bezdroże niewierności małżeńskiej?

— Nie mogę poprostu, odrzekła śmiejąc się, wyobrazić sobie męża mojego w podobnej sytuacji. A zresztą jestem pewna, że choćby dziesięć najpiękniejszych kokot paryskich nastawało na jego wierność, oparłby im się bezwarunkowo.

— Widzę, że za jego dwunastu huzarów ofiaruje mu pani wspaniałomyślnie dziesięć kokot. Nie znaczy to przecież, że gdyby *jedna* naprawdę niebezpieczna uwzięła się na jego cnotę...

— To i wtedy jeszcze zazdrość nie miałaby

do mnie przystępu. Nie znam tego marnego uczucia, niegodnego szanującej się kobiety.

— A o żadnego ze swych przyjaciół, gdyby panią nagle rzucił dla innej, lub zaniebdywał panią dla niej, nie byłaby pani zazdrosną?

— Ponieważ nie kocham się w żadnym, więc nie byłabym nawet ciekawą, czy jednocześnie daje się bałamucić innej kobiecie, czy też jest nieczułym na jej pokusy.

— Skoro tak, to jakim sposobem *mnie* nagle spotyka ten wyjątkowy zaszczyt, że pani tak zależy na wiadomości, czym wczoraj poznał się z tą Argentyką?

Ten mój logiczny manewr zbił na chwilę panią Helenę z tropu, z czego korzystając, nim zdążyła odzyskać przytomność umysłu, zagadnąłem ją w jakiejś innej sprawie, tak, że już o Argentyńce nie było mowy... A ponieważ w cukierni, jak zwykle, natłoczonej o tej porze, było duszno, więc zaproponowałem spacer nad morze, na *Rocher de la Vierge*.

Tak się nazywa dzika granitowa skała, dość daleko wystająca z morza, a żelaznym mostem połączona z promenadą na brzegu. Na szczycie tej skały, wysokiej na kilka pięter, a bardzo poszarpanej i powydrążanej w najdziwniejsze otwory i zagłębienia, stoi kamienna figura Matki Boskiej, czczona przez miejscową ludność, jako patronka rybaków i marynarzy. Jako poetyczny

spacer dla gruchających par, jest to zakątek je= dyny w swoim rodzaju. Ale nawet dla zwykłych znajomych, jest to wynarzona przechadzka.

Pani Helena była tu poraz pierwszy, więc się zachwycała cudownymi widokami ze szczytu, jakie stąd roztaczają się na wszystkie strony. Na lewo widać całe Biarritz, amfiteatralnie zgrupowane koło *Grande Plage*: na prawo ciągnie się długa *Côte des Basques* z falistemi przedwzgórzami Pirenejów w głębi, przed sobą ma się szafirową roztocz oceanu, a w dole, w przepaścistej głębi rozbijają się i szumią spienione bałwany, fruwa mnóstwo mew. Wszystko to, pod niebem z kłębamiasnych obłoków, w ciepłym złotawym słońcu, które wielką świetlistą smugą kładzie się na morskim błękicie, usposabia dziwnie pogodnie, harmonijnie, chciałoby się rzec, po goethowsku.

Żeby nie mnóstwo niedzielnej publiczności, która, zaludniając wszystkie zygzakowate ścieżki, siedząc na wszystkich ławkach, mąci poezję tego romantycznego ustronia, możnaby tu przedumać i przemarzyć niejedną chwilę. Dzisiaj, niestety, panował nastrój świąteczny, w którym *la petite bourgeoisie* z Bayonny wysuwała się na pierwszy plan, psując, jak niepotrzebny sztafaż, urocze piękno pejzażu.

Mimo to nie zapomnę cudnego zachodu słońca, na jaki stąd, z poza żelaznej balustrady, otaczającej krągłą platformę dokoła figury Najświętszej

Panny, patrzyłem razem z panią Heleną. Były to prawdziwe cuda krajobrazowe. jakby wyśnione przez Turnera, a które, oglądane w towarzystwie czarującej kobiety, trudno, żeby się nie wyryły w pamięci.

Powietrze zdawało się poprostu przesycone złotym pyłem. Na niebie, poza rubinowo-opalowymi chmurami, rozpostarł się olbrzymi wachlarz złocistych promieni, na którego tle wciąż odbywała się szalenie kolorystyczna metamorfoza obłoków, co chwila zmieniających barwę: z początku krwawiących się karminem, potem nasycających się amethystem, a ciągle obrębionych złotą wstęgą, aż wkońcu szarzejących coraz bardziej. Lekkie obłoczki w górnych warstwach powietrznych, przypominające zmarszczoną powierzchnię wody, ze złotych stawały się coraz różowsze; całe niebo jakby mosiężne do pewnego czasu, zwolna przetwarzało się w miedziane, aż wreszcie stało się podobnem do polerowanej stali; morze, zrazu ciemno-szafirowe, jak z lapis-lazuuli, coraz więcej nabierało tonów fioletowych, a biała piana bałwanów liżących brunatny grunt skał, czyniła wrażenie turkusowo-niebieskiej.

Podobna orgja kolorów i blasków, z wciąż zmieniającymi się efektami prawdziwie bengalskiego oświecenia, trwała z pół godziny. Nakoniec czerwona tarcza słońca, coraz krwawsza z każdą chwilą, zwolna pogrążyła się w morzu, a gdy już

całkiem się skryła za ponsową linią horyzontu, wszystko na brzegu zaczęło jakby posępnieć, stało się matowem. Po jakimś czasie zgasła i ognista luna na zachodzie, na seledynowem niebie dostrzegliśmy pierwszą gwiazdę. Ocean siniał szybko, jakby się zmieniał w chłodną żelazną taflę, a na ziemię zstępował nietoperzowy zmierzch.

O tej chwili byliśmy już na plaży, przed namiotem Hożyckich, gdzie właśnie trafiliśmy na moment, gdy miss Bell z dziećmi zabierała się z powrotem do domu.

19 sierpnia. Poniedziałek.

La Femme française
Conférence de M. Henri de Paupière
 i t. d. i t. d.

Oto tytuł mojego odczytu, zapowiedzianego wielkimi różowymi afiszami, które dziś rozlepiono na wszystkich rogach ulic. Gdziekolwiek się obrócę, wszędzie muszę słuchać gratulacji, wszyscy są zaciekawieni tematem, wszyscy się wybierają, spieszą po bilety. A tymczasem odczyt jeszcze w kałamarzu.

Gdy w południe zeszedł na plażę, przy namiocie Hożyckich zastałem tylko ich dzieci z miss Bell. Widząc, że kopią wielki dół, a czując jakiś nadmierny przypływ energii, oświadczyłem im, że

chętnie pokopię razem z niemi, jeśli mi dadzą łopatę. Naturalnie, że moja oferta została przyjęta z zachwytem, co miało ten skutek, że dół niebawem został znacznie pogłębiony i rozszerzony, a dobry humor, którym urozmaicałem tę wspólną pracę, tak mi zaskarbił względy mojego małego imiennika i jego ślicznej siostrzyczki, że nie upłynęło dziesięć minut, a już byliśmy zaprzyjaźnieni z sobą, na zupełnie poufalej stopie. Bawiłem się z niemi, jak trzecie dziecko, albo jak... ojciec z dziećmi.

Nie poznawałem sam siebie. Ja, który naogół nie przepadam za dziećmi, z temi czułem się jak ich rówieśnik; kopałem, jak najęty, cieszyłem się, że im tem sprawiałem przyjemność, a gdy się śmiały z moich konceptów, śmiałem się również. Nie przypominam sobie, bym kiedy z taką satysfakcją oddawał się zabawie z jakąkolwiek dziatwą... Zastanowiwszy się nad tem, bardzo prędko znalazłem rozwiązanie tej psychologicznej zagadki. Dlaczego do *tych* dzieci uczułem taki bezwiedny pociąg? Dlaczego, patrząc na ich ogorzałe buziaki, miałem je ochotę pocałować, popieścić się z niemi? Dlaczego, obojętny względem innych dzieciaków, dla tych żywię jakąś wyjątkową życzliwość, graniczącą z uczuciem rodzicielskiem? Dlaczego? Bo to są dzieci kobiety, która omal nie została moją żoną, bo jej dzieci mogły być mojemi także. Oto uczuciowy związek, jaki zachodzi między nami.

Każdy mężczyzna rodzi się z zaczątkiem uczuć ojcowskich, jak każda kobieta już na świat przychodzi z zarodkiem instynktów macierzyńskich. We mnie te uczucia były dotychczas uśpione. Dziś zbudziły się przypadkiem. I zrozumiałem nagle, że jednak musi to być wielkiem szczęściem, gdy się jest ojcem, gdy się ma dzieci, zrodzone przez ukochaną małżonkę. Mnie to szczęście nie przypadło w udziale.

Lecz należało się zbierać, bo o 1-szej wszyscy mielibyśmy być w willi *Mon bonheur*. Poszliśmy razem, całą gromadką.

W ogródku powitał mnie Hożycki, który już czekał na powrót swych pociech, a po chwili i pani Helena ukazała się na tarasie. Była przybrana w suknię popielatej barwy, tak powiewną i wiotką, że gdyśmy zasiedli w czerwonych plecionych fotelach, wyglądała omał nie jak marmurowy posąg, spowity w pajęczyny. Tylko w Paryżu potrafią zrobić coś podobnego, co to niby osłania wszystko, a jednak każdy kształt pozwala widzieć, jak przez mgłę.

Gdyśmy przeszli do stołowego pokoju, gdzie mi wyznaczono miejsce obok pani domu, i gdy dwóch lokaji zaczęło pełnić służbę przy ukwieconym, ślicznie nakrytym stole, rozmowa zrazu toczyła się głównie na temat Paryża i Francji, aż wkońcu, z powodu mojego odczytu, zeszła na przmioty i wady kobiet francuskich, które ja przed-

stawię w najkorzystniejszym świetle. To dało asumpt Hożyckiemu, że przy trzeciej potrawie zaczął wychwalać żonę, jako wzorową gospodynię, która poza wszystkimi zaletami, jakie posiada, jeszcze się zna wybornie na kuchni.

— A nie wiem, czy panu wiadomo, że dobra kuchnia w domu, to jeden z najkardynalniejszych warunków szczęścia małżeńskiego.

Pod tym względem jest pani Helena, jak twierdzi jej mąż, istnym genjuszem, co zresztą dzisiejsze śniadanie, zupełnie pierwszorzędne, potwierdzało w zupełności. Przypuszczam jednak, że to w znacznej części musiało być zasługą doskonałego kucharza z Bordeaux...

Czarną kawę podano na tarasie, a że likiery i doskonałe cygara hawańskie niemniej działały pobudzająco, więc i humory, od początku dobre i bez tego, zaczęły się ożywiać jeszcze bardziej, a policzki, jak to po obfitem śniadaniu z przedniemi winami, zaróżowiły się nam wszystkim. Hożycki, wymowniejszy i wielomówniejszy, niż kiedykolwiek, znowu mię zaczął namawiać, żebym się żenił, a przy tej sposobności znów się począł rozwodzić o swoim szczęśliwym pożyciu małżeńskim, o wyjątkowych przymiotach swej pięknej żony i t. p. Co najgorsza, że wkońcu uciekł się do metody pogładowej, usiłując pocałować panią Helenę w mojej obecności. Nie przyszło mu to łatwo jednakże; ona bowiem, nie rada tym zewnętrznym

objawom miłości... przy świadku, wyrывała się gwałtownie, zaczęła się szamotać nie na żarty. Ale cóż, kiedy on, znacznie silniejszy od niej, przewyciężywszy jej opór, szybko ją obezwładnił w swych ramionach, tak, że już mu w żaden sposób nie mogła umknąć z ustami... Miało to być niby plastyczną ilustracją szczęścia małżeńskiego, którem się chciał pochwalić przedemną, ale pomyśł ten, niestety, bynajmniej nie osiągnął zamierzonego efektu. Pani Helena, gdy ją puścił wreszcie, zażenowana i zirytowana prawie, uciekła do pokojów, a ja doznałem jakiegoś niemiłego uczucia, którego nie umiałem nawet zataić. Jakoż niebawem zacząłem się żegnać... Trochę skonfundowany Hożycki poszedł przywołać żonę, ale pani Helena, kazawszy mię przeprosić, już się nie pokazała więcej.

Wracając do hotelu, wciąż widziałem Hożyckiego, wcałowującego się w zaciśnięte wargi swej cudnej żony, mocującej się z nim niecierpliwie, i obraz ten, który w gruncie rzeczy powinien być obojętnym dla mnie, sprawiał mi jakby fizyczny ból. I choć starałem się myśleć o czem innem, nie mogłem go odpędzić od siebie. Prześladował mnie, jak zmora, jak halucynacja: wciąż go miałem przed oczyma... a i teraz jeszcze, w nocy, gdy zapisuję te kartki, ciągle widzę to całujące się małżeństwo.

Godzina 11-ta w nocy.

Chąc się rozerwać trochę, a nie mając nic lepszego do roboty wieczorem, poszedłem do kasyna, nie bez nadziei, że tam może spotkam moją Argentynekę, o której zdaje się zapomniałem napisać, że jej Juanita na imię. Spotkałem ją istotnie, wspaniale ubraną, ubrylantowaną i uperloną. Istna Teodora! Ale grała w *chemin de fer*, a obok niej siedział jej brazylijski Krezus. Stałem po przeciwnnej stronie stołu, dość długo patrzyłem na nią, myśląc, że tym sposobem ściągnę jej wzrok na siebie. Ona jednak, niby zajęta grą, ani razu nie spojrzała w moją stronę. Nie wątpię, że mnie dostrzegła od pierwszej chwili, lecz udawała staranie, że mnie nie widzi, że mnie nie zna.

Godzina 2-ga po północy.

Położyłem się do łóżka, ale nie mogę spać. Ciągłe mnie nurtuje pytanie: czy Helena, gdybym był został w Warszawie, gdybym się był nie zaciął w swej obrażonej dumie, nie zostałaby moją żoną wkońcu, tak, jak ostatecznie wyszła za Hożyckiego? Kto wie, czy możebym nie zwyciężył wreszcie, gdybym, zamiast zrażać się jej kapryсами i kokieteryją, wytrwał tak, jak on, i nic sobie nie robiąc z przeciwności, z uporem dążył do celu,

do szczęścia. Bo przecież miałem dowody, że mi sprzyjała. I pomyśleć, że to ja teraz mogłem pieścić tę białoramienną Afrodytę, sycić się jej rozkoszą, mieć z nią dzieci!

20 sierpnia. Środa.

Gdyby nie mój odczyt, nad którym dziś pracowałem kilka godzin, możebym już był w drodze do Paryża. Zaczynam mieć dosyć pobytu w Biarritz.

25 sierpnia. Niedziela.

Jestem w takim położeniu, jakbym wpadł w pułapkę, z której mi się wydostać nie sposób. Stało się to za sprawą pani Heleny, która tak umiała pokierować moją egzystencją w Biarritz, że, czy chcę, czy nie chcę, muszę robić to, co jej dogadza, nie mnie. Poprostu nie mam własnej woli. Czuję się obez władnionym. Nie mam swobody ruchów, ani działania.

Co drugi dzień kąpiemy się razem, a zawsze układa się w ten sposób, że Hożycki kąpie się głownie z dziećmi, a pani Helena akaparuje mnie dla siebie. Albo pływamy razem, albo przy bardziej wzburzonym morzu, jak wczoraj, trzymając się za ręce, nastawiamy się bałwanom, które nam przelatują nad głową, rozbijając się o nasze plecy.

Jeżeli chodzi o kąpiel w morzu, to wczoraj, właśnie w chwili, gdyśmy już mieli wychodzić z wody, zaczęła się kąpać Juanita. Ponieważ spostrzegłem ją zdaleka, gdy jeszcze w płaszczu stała na piasku, a widziałem, że jest sama, więc chciałem skorzystać ze sposobności, by z nią pokąpać się razem, na co zresztą, jak to łatwo mogłem wynioskować z jej wyrazu w oczach, gdy zobaczyła mnie, i ona zdawała się mieć ochotę. Niestety, zauważyła to i pani Helena, a gdym jej oświadczył na wychodnem, że jeszcze wrócę do morza, bom się jeszcze nie ochłodził dostatecznie, tak mię zaczęła prześladować tą »moją Argentiną«, tak mi zaczęła grozić obserwacją z brzegu, że mi nie pozostało nic innego tylko zrezygnować z mego pierwotnego zamiaru.

Poza kąpielami, które wytwarzają pewną poufałość i ośmielenie wzajemne, już od trzech dni co popołudnie grywamy w tenisa, co nam przypomina nasze czasy warszawskie i zakopiańskie. Jako panna, pani Helena słynęła jako jedna z najlepszych tenisistek w Warszawie, a na jednym konkursie oboje zdobyliśmy pierwsze nagrody, bo i ja wtedy byłem bardzo wytrenowany. Ale i dziś jeszcze gram znacznie lepiej od Hożyckiego.

Po tenisie najczęściej się wstępuje na herbatę do Miremont, czyli, że zamiast do *minimum* redukowić moje relacje z Hożyckimi, com sobie zaprzysiągł parę dni temu, doprowadziłem je w ciąg

tego tygodnia — na skutek dyplomacji pani Heleny — do *maximum*. Bo i dwa ostatnie wieczory spędziliśmy razem: onegdaj w kasynie, gdzie do spółki z panią Heleną znów wygrałem kilkaset franków, a wczoraj w teatrze na *Le Roi* z Brasseur'em w tutułowej roli.

W antrakcie, gdy Hożycki wyszedł na papierosa, a ja zostałem z panią Heleną, coś się zga-
dało o małżeństwach z miłości, które najczęściej bywają nieszczęśliwe, i o małżeństwach z rozsądku, które zazwyczaj są najszczęśliwsze. Ale, na szczęście, niema reguły bez wyjątku.

— Za taki wyjątek, i to bardzo wymowny, uważam państwa naprzykład, rzuciłem niby od niechcienia.

— Jak pan to rozumie?

— Bo jesteście państwo niewątpliwie małżeństwem z miłości, kochającem się, jak para gołąbków, a że jesteście państwo bardzo ze sobą szczęśliwi, o tem wiem zresztą z najlepszego źródła.

— A kogóż pan uważa za to najlepsze źródło?

— Małżonka pani, z którym na ten temat miałem parę wyczerpujących rozmów.

— Więc mnie uważa pan, widzę z tego, za gorzej poinformowaną w tej materji?

— Bynajmniej, ale gdy chodzi o ludzi zakochanych, a są nimi mąż i żona, to wtedy, przyznaję, więcej polegam na zdaniu męża.

— A skąd pan ma tę pewność, że ja jestem zakochana w swoim mężu?

Nie wierząc własnym uszom, gdy usłyszał te słowa, zdziwiony w najwyższym stopniu, odrzekłem:

— Skąd mam tę niezachwianą pewność? A toż wystarcza mi patrzeć na szczęście państwa, na jego zewnętrzne objawy w formie miłości obustronnej, by na każdym kroku utwierdzać się w przekonaniu, że kto jak kto, ale państwo jesteście niezawodnie najszcześliwszym małżeństwem pod słońcem.

— Dlaczego pan jest nieszczerzy w tej chwili? Dlaczego pan mówi co innego, a myśli co innego? Dlaczego pan mówi rzeczy, w które pan nie wierzy naprawdę?

— Nie rozumiem pani.

Dalszą rozmowę przerwał nam Hożycki, który, jak to mąż, musiał się zjawić w najniestosowniejszej chwili.

Ale i ta niedokończona rozmowa dała mi do myślenia.

Nie chcę stawiać zbyt ryzykownej diagnozy, dotyczącej chwilowego stanu uczuć pani Heleny, ale nie mogę ukrywać dłużej, że te uczucia są coraz przychylniejsze dla mnie, że najszcześliwszą się czuje, gdy jest ze mną, że najbardziej jest zadowolona, gdy jakiś czas możemy pozostać sami, że ciągle chciałyby być razem, tak dalece, iż przy każdym pożegnaniu chce wiedzieć, kiedy się zobaczymy znowu? Widzę również, że mnie pragnie

zaabsorbować wyłącznie dla siebie, że mnie chce odłączyć od innych kobiet, zarówno od Juanity, jak od księżny de la Valière. Ja zaś — do tego mogę przyznać się w tym dzienniku otwarcie i bez zastrzeżeń — już nie stawiam żadnego oporu w tym względzie. Krótko mówiąc, jest mi dobrze z nią. Byłyżby to początki recydywy?... Chce mi się śmiać z samego siebie, gdy pomyślę, że to może być prawdą. Z drugiej strony nie widzę powodu, żeby doznawać jakiejś obawy na myśl o możliwości takiej powrotnej fali uczucia. Jakie niebezpieczeństwo może mi grozić od niej? Żadne. Co najwyżej zakocham się trochę, może już po raz ostatni w życiu, a to w moim wieku, w mojem osamotnieniu, może być tylko pożądaniem. Więc czemu się nie rzucić w ten wartki nurt, który może dać chwilowe upojenie i złudzenie szczęścia?...

Północ.

Prosto z kąpieli udałem się w stronę kościoła, przed którym stanąłem w chwili właśnie, gdy pobożni zaczęli wychodzić po skończonem nabożeństwie. W ich liczbie była i pani Helena z dziećmi, wytwornie, jak zwykle ubrana, w białym flanelowym kostjumie angielskim, w czarnym kapeluszu z płaskim rondem. Odprowadziłem ją aż do samego domu, i to dalszą drogą przez digę, gdzieśmy

się przespacerowali między strojnym tłumem. Pani Helena robiła mi wymówki, że nie był ciekawy kazania, tłumaczyła mi, że korona by mi nie spadła z głowy, gdybym się pomodlił trochę, prosząc o przebaczenie grzechów; a gdym jej na to odpowiedział pół żartem pół serjo, że nic nie mam na sumieniu, oświadczyła mi całkiem poważnie, że gdy już odmówiła swoje zwykłe modlitwy za dzieci, za męża, za rodziców, jeszcze na dodatek pomodliła się i za mnie osobno, żeby mi się dobrze działo na świecie, tak, jak tego jestem wart.

Wzruszony tym objawem życzliwości, zapytałem z kolei, jakie są jej projekty na popołudnie, jeżeli małżonek znowu pojedzie do San Sebastian? Odrzekła mi na to, że jest inny plan, w który ona już z góry wciągnęła moją osobę. Gdym zdziwiony pragnął się dowiedzieć, cóż to za miły zamach uknuła przeciwko mnie, odrzekła, że o wpół do 3-ciej zajadą przed Hôtel d'Angleterre, a reszty dowiem się w automobiliu. Na razie chodzi o to tylko, czy się zgadzam na takie porwanie? Zgodziłem się oczywiście.

Jakoż punktualnie o oznaczonej godzinie, gdym w *hallu* pił czarną kawę, zjawił się Hożycki w sportowym kostjumie i czapce z okularami na daszku, oznajmiając mi, że żona czeka w automobiliu: czy jestem gotów? Ponieważ byłem już przebrany odpowiednio, a nawet zaopatrzony w wielkie pudło cukierków, więc za krótką chwilę się

działem już, z pędem na nogach, obok pani Henry. Hożycki, który miał prowadzić samochód, usiadł na przodzie przy kierownicy, obok szofera.

Dopiero, gdyśmy wyjechali na szosę, prowadzącą do Hendaye, dowiedziałem się, że jedziemy do Fontarabji, gdzie spożyjemy podwieczorek, obejrzymy, co jest godnego widzenia, a na obiad już będziemy z powrotem w Biarritz.

Tymczasem automobil mknął z szybkością 50-ciu kilometrów na godzinę, wszystko zaś, z morzem po prawej, a górami po lewej stronie, uciekało w tył. Wogóle cała droga, biegnąc wśród lasów, pól, winnic, jest bardzo ładna, a oglądana z pędzącego automobilu, jeszcze zyskuje na piękności. Cóż dopiero, gdy w tym automobilu siedzi się z cudną kobietą! Nie chcę powiedzieć przez to, że moja sąsiadka pozwalała na jakiekolwiek, choćby najmniejsze nadużycia mężowskiego zaufania, ale że taka jazda ma rozmarzające właściwości, gdy jej używa dwoje ludzi, którym jest dobrze ze sobą, że daje łatwe pole do częstej wymiany spojrzeń i że takie siedzenie tuż obok siebie, przy zawrotnym pędzie samochodu, przy chłodzącym rozpruwaniu powietrza, łechcącego i smagającego po twarzy, działa rozmarzająco, to nie ulega wątpliwości.

Po krótkim postoju w Saint-Jean-de-Luz, zatrzymaliśmy się dopiero w Bebobji, przed promem na wpół wyschłej rzece Bidassoa, stanowiącej na-

turalną granicę Francji i Hiszpanji. Przeprawa przez tę rzekę, z automobilem na promie, była niemałym urozmaicheniem...

O 4-tej byliśmy już w Fontarabji, przed wspa-
niałą *Puerta de Santa Maria*, gdzie wysiedliśmy
z samochodu. Ślicznym jest ten średniowieczny
gród hiszpański. Co za mury forteczne! Co za
pyszne domy z balkonami na *Calle Mayor*! Ka-
tedra z XI wieku! To też nic bardziej zajmującego,
jak przechadzka po tych ulicach i uliczkach hisz-
pańskich, nie zawsze wonnych, ale niesłychanie
typowych. Żałowałem tylko, że tu nie byłem z pa-
nią Heleną sam: wszystko by mi się wydawało
poetyczniejszym, romantyczniejszym. Takie skamie-
niałe zabytki przeszłości, jak Fontarabja, która jest
jakby hiszpańskim Rothenburgiem, należy zwiedzać
w towarzystwie pięknej kobiety, ale pod warun-
kiem, żeby nie była z mężem.

Powiedziałem to pani Helenie, w chwili, gdy
Hożycki w jakimś sklepiku zaopatrywał się w karty
pocztowe, a ona, uśmiechnąwszy się, zdawała się
być tego samego zdania, kiedy mi poradziła filo-
zoficznie:

— Nie trzeba nigdy wymagać od życia za-
wiele.

Po podwieczorku w Hotelu Miramar poszliśmy
obejrzeć pałac królewski, tak zwany *Palais de*
Charles=Quint. Jest to cyklopiczna budowla z X-go
wieku z późniejszą fasadą renesansową, bardzo

bujną architektonicznie. Część najstarsza, w stylu obronnego zameczyska, wzniesiona na zboczu nadbrzeżnego wzgórza, posiada bardzo wysoko położony taras nad ujściem Bidassoy, skąd roztacza się słynny widok na okoliczne góry, na przeciwległe Hendaye, na szerokie koryto rzeki, wąskim prądkiem płynącej wśród pustynnych ław piasku i żwiru, na brunatne dachy Fontarabji z barokową wieżą katedry pośrodku, na port, pełen żaglowych łodzi rybackich, na szafirowy skrawek morza.

Niemniej piękne są wspomnienia, przywiązane do tego miejsca. »Jeżeli Fontarabja — mówił oprowadzający nas tu przewodnik Hiszpan — oblegana w r. 1688 przez hufce francuskie, szczęśliwie się doczekała odsieczy wojsk hiszpańskich, to przyczyniło się do tego głównie, w mniemaniu oblężonej ludności, wstawiennictwo Matki Boskiej z Quadelupy, której cudowny obraz znajduje się w miejscowej katedrze. Straszne to było oblężenie. W ciągu 64 dni odparto 20 szturmów, a gdy zabrakło ołowiu na kule, lano je ze sreber domowych, które ludność, za przykładem bohaterskiego alkada, Don Diego Butrona, zносиła dobrowolnie. Dopiero 7-go września, w wilgę urodzin Najświętszej Panny, nadciągnęła odsiecz, by rozprószyć wyczerpane już żołdactwo Kondeusza. Odtąd co roku, między 7 a 10 września, na pamiątkę tego cudownego wyzwolenia, odbywają się słynne procesje w Fontarabji, zakończone walką byków w miejscowej

arenie. Jest to jakby miejscowy karnawał, któremu zawsze przygląda się mnóstwo przejezdnych ze wszystkich okolicznych miejscowości kąpielowych». Wobec tego może i my tu przyjedziemy raz jeszcze, by zobaczyć te odpustowe uroczystości.

Dziś jednak, wobec spóźnionej pory, należało myśleć o powrocie, bo słońce już się było schowało za góry. Gdyśmy wsiedli do automobilu, Hożycki zajął miejsce po lewicy szofera, powierzając mu, ze względu na pośpiech, prowadzenie wozu. Jakoż zaczęliśmy pędzić z szybkością 70 kilometrów na godzinę.

Upajająca to była jazda. Automobil zdawał się mieć skrzydła poprostu. Chwilami, gdy droga była prosta i wolna, szofer jeszcze zwiększał i tak już zawrotną szybkość. Wtedy i topole przydrożne, i słupy telegraficzne, zlewały się w jakieś nieuchwytnie rozmazane kontury. Wtedy też pani Helena, trochę wystraszona tym szalonym pędem, odruchowo tuliła się do mnie, i nie zdając sobie z tego sprawy, nerwowo ścisnęła mnie za rękę. Ja oczywiście nie odsuwałem się od niej, lecz przeciwnie, jeszcze pochylałem się ku niej, żeby tem pewniej mogła opierać się o mnie.

— Dobrze panu? spytała w jednej z takich chwil.

— O, więcej niż dobrze!

— Bo mnie rozkosznie. Szkoda, że już nie długo będziem w domu.

W ten sposób, nie zatrzymując się nigdzie, o zmroku dojechaliśmy do Biarritz. Hozyccy wysadzili mnie przed hotelem.

Kiedy przy pożegnaniu ucałowałem rękę pani Heleny, uderzyło mnie, że mi ją podała już bez rękawiczki. A gdym ją przy ustach trzymał dłużej, niż zwykle, nietylko nie sprzeciwiła się temu, ale zauważyłem, że na mój długi uścisk, odpowiedziała jeszcze mocniejszym, jeszcze dłuższym.

26 sierpnia. Poniedziałek.

— Śnił mi się pan dzisiaj, były pierwsze słowa pani Heleny, gdym na nią rano z wiązką róż czekał na didze.

— A miała pani przynajmniej miły sen?

— Bardzo miły. Śniło mi się, żeśmy byli na jakimś wspaniałym balu, żeśmy ciągle tańczyli ze sobą.

— Walca?

— Tak, walca. Ale potem widziałam pana tańczącego z tą Argentyką...

— Co naturalnie było pani obojętne.

— Wcale nie. Owszem, zrobiłam panu scenę zazdrości, bardzo gwałtowną nawet...

— Jakiem prawem?

— Bo zdawało mi się, że pan jest moim mężem.

— A pani moją żoną, i to zazdrosną nawet! pochwyciłem, wlepiając w nią przenikliwy wzrok.

— Widocznie, odrzekła opieszale, wachając róże.

— A cóż się stało po tej scenie zazdrości?

— Co się stało z panem, nie pamiętam: jakoś straciłam pana z oczu. Ale szłam przez jakąś piaszczystą pustkę, bardzo zmęczona, a gdym usiadła, zaczęłam płakać, sama nie wiem czemu?

— Czy zna pani cudną pieśń Schumanna: *Ich hab' im Traume geweint...*

— Jakże pan może pytać mię nawet o to, skoro pan właśnie przyniósł mi ją kiedyś w Warszawie, żebym się jej nauczyła śpiewać.

— Widzi pani, już zapomniałem o tem. Tak to dawne czasy! Ale jakież był koniec snu?

— Reszty nie pamiętam. W każdym razie epizod z panem był już skończony.

— A jakże sobie pani tłómaczy ten sen?

— Nie wierzę w sny, więc i tego nie opatruję żadnym komentarzem.

Jakkolwiek i ja nie należę do ludzi, traktujących na serjo wszelkie *Senniki egipskie*, to jednak w tym razie psychologiczny komentarz do sennych widzeń pani Heleny nasuwał mi się uporczywie. Nie chcę powiedzieć, że zaczyna kochać się we mnie, ale że jej nie jestem obojętnym, że w jej duszy zaczynam grać inną rolę, niż zwykły znajomy, a nawet przyjaciel z lat dawnych, to mi się

wydaje pewnem. Dlatego tak ją niepokoi Juanita... Dlatego w nocy ma sny o mnie, a nawet płacze przez sen.

27 sierpnia. Wtorek.

Wracam z obiadu, który wyprawilem dziś u Ritza dla Hożyckich. Wszystko się udało znakomicie. Wobec tego i ogólny nastrój przy stole nic nie pozostawiał do życzenia.

Gdy punktualnie o 8-mej pani Helena weszła z mężem do sali, gdzie już od kilku minut czekałem na ich przybycie, mimowoli przypomniał mi się wiersz Słowackiego:

Myślałem, że padnę:
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!

Kobieta zawsze wie doskonale, kiedy ma swój *beau jour*. Wtedy jest najmiłsza. I pani Helena nie byłaby kobietą, gdyby nie miała tej pewności, że tak piękną, jak dzisiaj, jeszcze mi się nie ukazała w Biarritz. Wiedziała, że jej nadzwyczaj do twarzy w tej złotawej sukni, że jest prześlicznie uczesana, że jej oczy mają jakiś szczególny wyraz rozmarzenia, że jej usta rozchylają się jakoś miłośnie, że w jej całej królewskiej postawie, w każdym ruchu, w każdym pochyleniu się ku mnie — uka-

zującym wszystkie uroki dekoltu — jest coś dziwnie pobudzającego wyobraźnię.

Wszystko to miało nader pożądaną wpływ na tok rozmowy, bardzo ożywionej, wesołej, iskrzącej się dowcipami i żartami, a wcale nie wolnej od najrozmaitszych aluzji, które od niejakiemu czasu stały się naszą specjalnością, a którymi posługujemy się tak dyplomatycznie, że o ile my oboje doskonale rozumiemy ich ukryte symboliczne znaczenie, o tyle Hożycki nie domyśla się niczego...

Gdy po wyczerpaniu *menu*, przy czarnej kawie, miałem sobie z panią Heleną coraz więcej do powiedzenia... oczami, Hożycki zauważywszy jedno z takich spojrzeń, ostrzegł mnie krotocześnie:

— Radzę panu mieć się na baczności, bo widzę, że moja żona zaczyna pana kokietować nie na żarty, jej kokieteria zaś, jak to wiem ze smutnego doświadczenia moich niektórych przyjaciół, bywa niebezpieczną dla upatrzonych ofiar. Niech pan uważa na siebie, bo zakochać się łatwo, a potem może być źle.

— I cóż pani na to? zapytałem niby serjo, zwracając się do pani Heleny.

— Uważam, że musimy pożegnać się z panem, bo mąż mój, jako że nie wylewał za kołnierz, zaczyna już mówić od rzeczy.

— Nie od rzeczy, ale do rzeczy właśnie! zaprotestował oskarżony, któremu zresztą byłem skłonny przyznać słusność.

Że jednak wybiła 10-ta, a stoliki zaczęły się opróżniać kolejno, więc był czas i na nas.

Gdyśmy wreszcie powstali z krzeseł, pani Helena rzekła do mnie:

— A teraz proszę się obejrzeć za siebie.

Uczyniwszy to, zdziwiony, spostrzegłem nagle, że przy stoliku pod oknem, do którego podczas obiadu siedziałem odwrócony plecami, siedziała Juanita ze swym Brazylijczykiem. Nie zauważyłem ich, gdy weszli, a Hożycki, siedząc do nich bokiem, nie zobaczył jej także. Widziała ją tylko pani Helena, jako siedząca *vis à vis*, twarzą zwrócona do niej. Ale mi wołała nie mówić o tem.

— Dlaczego? zapytałem, udając naiwnego.

— Bo nie życzyłam sobie, ażeby pan był roz-targniony, ażeby przy obiedzie, wyprawionym dla mnie, jeszcze panu i ta Argentynka nie dawała spokoju.

28 sierpnia. Środa.
Pofudnie.

Pierwszy dzień niepogody, bez słońca, przy silnym wicherze zachodnim, pędzącym szare chmury. Nie jest zimno, ale trzeba chodzić w palcie. Morze wzburzone, brudne, ponure, ołowiane, zjeżone białymi grzywami, a olbrzymie bałwany, z głuchym hukiem, niby dalekim odgłosem strzałów armatnich,

rozbijające się na brzegu, nic w sobie nie mają z zielonkawego koloru wody morskiej, lecz robią wrażenie białej kawy. Wszystkie wybrzeża obrebione frendzlami szturmujących fal. Na plaży pusto z powodu nadmiernego wiatru. Pozwijano wszystkie namioty. Na didze również ani żywej duszy. Kąpiel wykluczona.

Wyszedłszy na ulicę, spotkałem Hożyckiego, już wracającego z poczty. Dowiedziałem się od niego, że pani Helena od samego rana ma lekcje z dziećmi. A po południu? Będzie w kasynie Belle vue, w czytelni, bo chce napisać kilka listów.

Wywnioskowałem z tego, że z pewnością nie będzie miała przeciwko temu, jeżeli i ja po śniadaniu znajdę się w tejże czytelni. Jestem prawie przekonany, że jeśli Hożycki rano został wtajemniczony w te czytelniane plany swej małżonki, to dlatego po części, żeby mi je mógł zakomunikować przy sposobności.

Godzina 9-ta wieczór. Po obiedzie.

Jak przewidziałem, tak się stało. Gdym o 4-ej wszedł do pięknej *Salé de lecture* w kasynie Belle vue, pani Helena, siedząc przy jednym z biurek, właśnie odczytywała świeżo napisany list. Na głosie miała toczek aksamitny, zdobny pękiem czarnych piór czaplich, a granatowy kostjum angielski

czynił z niej — z pewnego oddalenia — śliczną sylwetę. Na szyi miała dwa piękne sobole, zwisające jej z ramion. Trudno być lepiej ubraną w taki dzień, jak dzisiejszy.

Gdy wreszcie stanąłem przy niej, w chwili, gdy skończyła adresować kopertę, aż drgnęła na mój widok.

— Czy nie spodziewała się pani zobaczyć mnie tutaj?

— Owszem, byłam przygotowana na to, że pan tu zajrzy o tej porze, skoro się pan dowiedział od mego męża, że ja będę tutaj.

— Skąd ta pewność?

— Mój panie, ja znam mężczyzn, a pan jest taki sam, jak inni, tylko że bardziej wyrafinowany.

A zalepiwszy kopertę, dodała, powstając od biurka:

— Wyjdźmy stąd, bo tu i gorąco i rozmawiać trudno, nie chcąc przeszkadzać tym, co czytają lub piszą.

Gdyśmy się znaleźli na placu przed kasynem, zapytałam od niechcienia, gdzie podziła męża?

— Mąż mój na morzu! odrzekła nie bez cienia ironji w głosie.

— Jakto na morzu? zagadnąłem zdumiony, zważywszy burzę na oceanie, która bynajmniej nie uspokoiła się dotąd.

— Niech sobie pan wyobrazi, że mąż mój ogromnie lubi przejażdżki po takich rozbujających

fluktach. Ile razy fale są większe, zawsze się wybiera na dwugodzinny spacer parowcem *L'Impératrice Eugénie*, wychodzącym po południu z *Port des Pêcheurs*. Im bardziej bałwany rzucają tym niewielkim statkiem, on w tem lepszym humorze wraca z podobnej wycieczki. Dzisiaj już od samego rana, pomimo moich perswazji, cieszył się na myśl o tej eskapadzie. Co najdziwniejsza, że takich amatorów, jak on, jest bardzo wielu, a nie brak i amateerek. Gdy morze spokojne, *L'Impératrice Eugénie* najczęściej wyjeżdża prawie pusta, gdy tylko jest wzburzone, to na pokładzie panuje tłok.

Gdyśmy wyszli na główną promenadę nad morzem, którego szum już zdaleka dawał się słyszeć, odrazu musieliśmy walczyć z wichrem, który nam co chwila chciał zedrzeć kapelusze. A gdyśmy się zbliżali do *Port des Pêcheurs*, zwróciło naszą uwagę, że pod jedną z tamaryszek, któremi jest wysadzana ta część promenady, stoi grupka z kilku osób, z wielkiem zainteresowaniem pozierająca w stronę morza. Okazało się, gdyśmy podeszli bliżej, że ci ludzie zgromadzili się koło mosiężnego trójnogu z wielką lunetą morską Zeiss'a, przez którą za opłatą 20 centimów doskonale się widziało parowiec *L'Impératrice Eugénie*, jak się kołysał na falach. Widziany gołem okiem, wyglądał rzeczywiście, jak przysłowiowa łupina od orzecha.

Posłuchawszy głośnych uwag ze strony tych, o kolejno po parę minut patrzyli przez lunetę,

jak mówiono, świetną, również i pani Helena zapragnęła skorzystać z tego cudownie przybliżającego instrumentu, w nadziei, że może między pasażerami dostrzeże swojego męża. Jakoż wypatrzyła go niebawem, wrażenie jednak, jakiego doznała wogóle, było tego rodzaju, że aż poblądła na twarzy...

Gdy z kolei i ja poszedł za jej przykładem, zrozumiałem, dlaczego mogła być zatrwożona. Był to widok bowiem, mogący zaniepokoić każdego, a cóż dopiero żonę, która tam na tym stateczku miała męża, ojca swoich dzieci!

Przedewszystkiem miało się złudzenie, że się stoi o kilkanaście kroków od statku, na którym widać wszystko, jak na dłoni: każdego pasażera, każdego marynarza, każde okienko kajuty, każdą linę i drabinkę na masztach, każdy nit na grubym kominie, słowem, każdy najdrobniejszy szczegół. Statek kołysał się i zataczał z fali na falę, przewalając się na oba boki, wspinając się dzióbem do góry, spadając na dół, jakby się zapadał w otchłań, a za każdym pochyleniem zdawał się wywracać, jak pijany. Jednocześnie olbrzymie bałwany, które igrały nim, jak piłką, to pęczniały koło niego, wynosząc go, niby wieloryby, na swych spienionych kadłubach, to rozdziawiały się pod nim, niby jakieś potworne paszcze: jedno go uderzały z boku, tak, że pod ich naporem przechylał się w przeciwną stronę, drugie zaś, rozbryzgując

się o burt, ochlapwały i zalewały cały pokład z pasażerami. Ci ostatni nie robili wrażenia wystraszonych i przerażonych, jak niektóre z pań, ale wszyscy musieli się trzymać poręczy, by się nie przewrócić na tej ruchomej i mokrej platformie. Niektórzy, przechyleni przez burt, cierpieli na morską chorobę, która szczególnie znęcała się nad kobietami, przedstawiającami istotnie obraz nędzy i rozpacz... Hożycki, którego widziałem doskonale, stał na tylnym pokładzie, wsparty o ścianę budki sternika, trzymał się dzielnie. W głęboko nasuniętej czapce, w szarym angielskim ulsterze z kołnierzem do góry, z rękami w kieszeniach, z cygarem w ustach, z widocznym zajęciem przypatrywał się nieustannym szturmom gór wodnych, przyczem raz po raz zwracał się do sternika, stojącego przy wielkiem kole steru.

Gdyśmy po chwili ruszyli dalej, dałem się opamiętać dziwnej myśli, której, choć wcale nie zaszczytnej dla mnie, w żaden sposób nie mogłem się oprzeć w ciągu kilku minut. Oto zdało mi się nagle, gdym patrzył przez lunetę, że statek, na którym teraz znajdował się Hożycki, uległ katastrofie, że wskutek zepsucia się maszyn, czy pęknięcia kotła, zatonął w oddaleniu paru kilometrów od brzegu, że i załoga i pasażerowie znaleźli śmierć w falach, które dopiero w czasie przypływu wyrzuciły ich martwe zwłoki. I była chwila, w której poprostu zaczęła mi się uśmiechać taka tra-

gedja na morzu, chwila, w której — wstyd mi się przyznać — w cichości ducha zacząłem pragnąć takiej niespodziewanej śmierci Hożyckiego w nurtach oceanu. Niechby inni ostatecznie wyratowali się jakimś cudem, byle on utonął i nie wyszedł cało! Wzdrygnąłem się na samą myśl o tem, a jednak nie mogłem się jej oprzeć, nie mogłem poniechać tej zdrożnej gry wyobraźni, tego utajonego głosu zwierzęcości, tkwiącej w każdym człowieku, a która u mężczyzny, nawet najbardziej kulturalnego, potrafi wystąpić w całej nagości i ohydzie, gdy chodzi o pożądaną kobietę, posiadaną przez innego. Miałem najzupełniejszą świadomość, jak barbarzyńskiem było to grzeszne zachcenie, a jednak czułem w głębi duszy, jak radośną dla mnie byłaby podobna nowina o utonięciu Hożyckiego! Odrazu za jednym zamachem pozbyłbym się niewygodnego rywala! Kocham jego żonę, ona mi jest przychylna, więc moglibyśmy być szczęśliwi ze sobą, gdyby nie on, który temu stoi na przeszkodzie. Ale gdyby go nie stało przypadkiem, gdyby skutek rozbicia się tego statku, na którym znajdował się teraz, nagle zeszedł ze świata, to jego żona odzyskałaby wolność, a wtedy wiem i nie wątpię, że jej wybór padłby na mnie! Ale na to Hożycki musiałby nie wrócić z tej wycieczki!...

A że bujna wyobraźnia, a cóż dopiero podniecona wyobraźnia powieściopisarza, nie zna granic

rozpędu, więc w jednej krótkiej chwili przeżyłem cały dramat. Widziałem ofiary katastrofy, jak je wyławiano z morza; widziałem Hożyckiego w ich liczbie, jako napęczniełego topielca; widziałem rozpacz pani Heleny i jej dzieci, jak płaczą nad jego zwłokami; zdawało mi się, że je widzę na pogrzebie, a na mojem ramieniu wspiera się wdowa w czarnym welonie... A zaraz potem widziałem jej ślub ze mną, ucztę weselną, naszą podróż poślubną i t. d. i t. d.

Wszystko to naturalnie trwało chwilę tylko, krótką chwilę zamyślenia, podczas której, widząc te obrazy, jak mi się przesuwały przed oczyma, nie mogłem zdobyć się na jedno słowo.

Zgadując, że choć idę obok niej, myślą jestem gdzieindziej, pani Helena spytała mię wkońcu:

— Czego się pan tak zamyślił ni stąd ni zowąd?

— Przyszło mi coś na myśl, czego pańi nie powiem zresztą, coś, czegooby pani nie spodziewała się nigdy. A gdybym nawet przyznał się do tych myśli, nie uwierzyłaby pani w ich możliwość.

Zaintrygowana tem, nastawała czas jakiś, bym ją wtajemniczył w te moje nieprawdopodobne refleksje, ale gdym odmówił stanowczo, przeszliśmy na inny temat.

Tymczasem *L'Impératrice Eugénie* prawie się skryła pod linją widnokregu, tak, że jedynie dym z komina, w postaci cienkiej nitki unoszący się

nad morzem, znaczył miejsce, gdzie Hożycki znajdował się w tej chwili.

Zrazu poważnie zaniepokojona o męża, pani Helena, głównie pod wpływem moich perswazji, uspokoiła się niebawem, a że spacer po nadbrzeżnej promenadzie, przy nieustającym wicherze, przy ciągłej konieczności trzymania kapeluszy, nie przedstawiał zbyt wielkiego uroku, więc przed tunelem w *Rocher de la Vierge* doszliśmy do wniosku, że nie warto iść dalej, że lepiej zająć dobry stolik w cukierni Miremont.

Przyszedłszy tam, blisko godzinę gawędziliśmy bardzo mile, aż wkońcu zjawił się Hożycki, przemoczony, jak rozbitek, zziębnięty, pragnący się rozgrzać herbatą z koniakiem. Naturalnie, że gdy się przysiadł do nas, już nie było mowy o czem innem (a zwłaszcza o mojej *vie amoureuse*, której pani Helena bardzo była ciekawa), tylko o jego wspamiętanej wycieczce: wracał poprostu zachwycony tą przejażdżką. Nigdy jeszcze — opowiadał z zapałem — morze nie było tak burzliwe: zdarzały się momenty, że nawet on, choć odważny, czasami tracił fantazję, obawiając się, by rozszalałe fale nie zmogły wątłego statku. Kobiety modliły się wystraszone, błagając kapitana, by czempredziej płynął z powrotem do brzegu, a że te dramatyczne sceny szły w parze nietylko ze łzami, ale i z paroksyzmami czkawki po wyczerpaniu morską słabością: więc nie były pozbawione i komizmu. Pra-

wie wszyscy pasażerowie byli chorzy: takich, jak on, co nie wymiotowali ani razu, znalazło się kilku zaledwie.

Opowiedzieliśmy mu, żeśmy go obserwowali przez znakomity dalekovidz, a pani Helena przyznała się otwarcie, że była w strachu o niego.

— A cóżbyś zrobiła, gdybym tak nie wrócił z tej wyprawy?

— Nie zastanawiałam się nad tem.

Nie wiedziała, że ja to uczyniłem za nią. Ale co mi z tego, skoro Hożycki wrócił zdrow i cały, w świetnym humorze i z wybornym apetytem.

29 sierpnia. Czwartek.

Ku mojemu najwyższemu zdziwieniu dowiedziałem się od pani Heleny, że Hożycki pojutrze rano opuszcza Biarritz, bo na 1-go września musi być w Warszawie, w fabryce: główny dyrektor jedzie do Karlsbadu, a że inni wybitniejsi kierownicy techniczni korzystają z wakacyjnych urlopów, więc jej mąż musi być na miejscu. Wyjechawszy w sobotę przed południem, wieczorem będzie w Paryżu, skąd zaraz na noc jedzie do Berlina, żeby w poniedziałek o 9-tej być już na stanowisku w kantorze.

Byłem wprost zaskoczony tą wiadomością, tembardziej, że mi ją zakomunikowano tak późno.

Wszak oboje wiedzieli doskonale, że od 1 września pani Helena zostanie w Biarritz sama. Dlaczego więc powiedziała mi o tem dzisiaj dopiero, na dwa dni przed wyjazdem męża?

30 sierpnia. Piątek.

Przez cały dzisiejszy dzień nie widziałem się z panią Heleną: nie była ani na plaży, ani w cukierni, ani w kasynie. Przypuszczam, że to uczyniła przez dyplomację, żeby w mężu nie obudzić jakich niepotrzebnych podejrzeń.

Jeśli tak, to swój cel osiągnęła w zupełności, bo Hożyckiemu nawet nie przechodzi przez myśl, żeby doznawać jakiegoś niepokoju z powodu żony, którą zostawia ze mną!

Był dziś u mnie o 3-ej z pożegnaniem. Przewidując tę wizytę (zwłaszcza, że go przed południem nie spotkał nigdzie), umyślnie siedziałem w domu, skracając sobie czas Beethovenem.

— Nie wiedziałem, że pan tak pięknie gra na fortepianie, były pierwsze słowa Hożyckiego, gdy wszedł do pokoju. Przyznał mi się, że przeszło kwadrans stał pode drzwiami, przysłuchując się mojej muzyce.

Fakt, że Hożycki nic do dziś dnia nie wiedział o mojej muzykalności, jest wielce znamienym i uderzającym; dowodzi bowiem, jak mało pani

Helena wtajemniczyła swego męża, gdy chodzi o naszą przeszłość, w której fortepian i moi dwaj ukochani mistrze, Beethoven i Chopin, odegrali tak znaczną rolę. Gdyby Hożycki miał choć przybliżone wyobrażenie o tem, co mię łączy z jego żoną, ile chwil pięknych i bolesnych, ile wspólnie doświadczonych wrażeń, z pewnością by mi tak nie polecał pani Heleny, bym nią opiekował się po przyjacielsku, z pewnością by mnie nie zaszczycał takim bezgranicznem zaufaniem, które mnie aż zaczęło irytować wkońcu... Poprostu nie zdawał się przypuszczać nawet, że ja mogę nie być zupełnie bezpiecznym dla jego pięknej żony! W tej błogiej pewności, niezamąconej najlżejszym niepokojem, prosił mię serdecznie, bym jak najwięcej przebywałem z panią Heleną — co mu przyrzekłem solennie — bym jej towarzyszył w spacerach, czasem wieczorem do kasyna, słowem, bym ją starał się rozerwać cokolwiek, bym ją otaczał męską opieką, bez której kobieta, jego zdaniem, nawet taka dzielna, jak pani Helena, często jest bezradna.

W dalszym ciągu rozmawialiśmy o rzeczach potocznych, przy której to okazji dowiedziałem się między innemi, że Hożycki dopiero na 1 października będzie mógł przyjechać do Biarritz, że gdyby pani Helena nie chciała tu siedzieć tak długo, to zjadą się w Paryżu, gdzie jeszcze zabawią razem z dziesięć dni, poczem wrócą do Warszawy. Na zapytanie: czy mu nie przykro wyjeżdżać, rozłą-

czać się z żoną, z dziećmi? odrzekł szczerze, iż z przyjemnością posiedzi miesiąc w Warszawie, bo nic go tak nie nuży wkońcu, jak bezczynność. Jego życiem normalnem, powiada, jego żywiołem, w którym się czuje najlepiej, jest atmosfera pracy. Wówczas jego wrodzona energia znajduje swe potrzebne wydładowanie. Ale za to, gdy się napracuje aż do zmęczenia, wtedy z podwójną rozkoszą jedzie na wypoczynek. Szczęśliwe usposobienie! Co za zdrowa natura!

Szczęśliwy człowiek, ale i pospolity czasami. Nie dziwię mu się wcale, że jest dumny ze swej żony, że nią lubi się pochwalić, ale niekiedy lubi się popisywać rzeczami, które powinien zachować przy sobie... Są pewne tajemnice pożycia małżonków, o których nie godzi się opowiadać ludziom postronnym, zwłaszcza, gdy ci nie są ciekawi tych sekretów. Tymczasem Hożycki nie przestrzega tej zasady.

Dzisiaj naprzykład, już w ostatniej chwili, jednym nietaktownem odezwaniam się, które jemu niewątpliwie wydało się krotochwilnem, sprawił niechcący, że mi popsuł nietylko humor, ale całe wrażenie swej pożegnalnej wizyty.

Widząc, że zabiera się do wyjścia, zapytałem go bez żadnej ukrytej myśli: »Co państwo robią dziś wieczorem?« Chodziło mi o to poprostu, żeby może umówić się do kasyna. On zaś, w tonie węc-

sołej przechwałki, tak mi odpowiedział na moje niewinne pytanie:

— Ponieważ to dziś ostatni wieczór, jaki spędzamy razem, więc się będziemy żegnali. Bo co można robić z żoną, mój panie, gdy człowiek z nią rozstaje się na cały miesiąc? I to z taką żoną, jak moja!...

Głuche milczenie z mojej strony, tak, jakbym nie dosłyszał jego słów, i niema powaga, całkiem nieprzewidziana przez niego, bo może liczył na to, że głośnym śmiechem zareaguję na ten rzekomy dowcip, trochę go zbiły z tropu. Odczuł, że powiedział coś, co chybiło efektu, a że ja momentalnie zacząłem wychwalać znakomity express z Biarritz do Paryża, idący tylko dziewięć godzin, więc krótki dysonans, który na sekundę zamącił pogodną harmonję naszej gawędki, niebawem się rozplynął w ostatnich serdecznych akordach pożegnania.

Po wyjściu Hożyckiego miałem bardzo złe po południe, a jeszcze gorszy wieczór. Chciałem nie myśleć o tem, z czem tak niedelikatnie wyrwał się Hożycki, ale nie zdołałem zapanować nad pobudzoną imaginacją, która mi najpotworniejsze obrazy wciąż stawiała przed oczy...

Zdenerwowany i rozstrojony, czując, że mię czeka noc bezsenna, postanowiłem znużyć się forsownym spacerem. Ale jakby dla tem większego udręczenia, zamiast iść w kierunku starego portu,

podążyłem, nie zdając sobie jasno z tego sprawy, w stronę latarni morskiej, a tem samem ku willi Hożyckich, koło której przechodzić byłem zmuszony. Gdy się zbliżałem do niej, była chwila, że chciałem skręcić w jedną z bocznych uliczek, by ją obejść dokoła, ale jakaś rozpaczliwa ciekawość, równająca się znęcaniu nad sobą samym, z nieprzepartą siłą pchała mnie prosto przed siebie. Jak zahypnotyzowany szedłem pustym bulwarem, aż wkońcu zatrzymałem się przed żelaznymi sztachtami willi *Mon bonheur*. W ogródku było cienino, jak również i we wszystkich oknach na parterze. Świeciło się tylko w dwóch oknach na pierwszym piętrze. Poprzez zapuszczone rolety przebierało jakieś różowawe światło...

31 sierpnia. Sobota.

Na plaży dowiedziałem się od małych Hożyc-
kich, że mamusia pewno dziś wcale nie wyjdzie
z domu, bo jest cierpiąca. Tatuś wyjechał pocią-
giem o 11-tej, ale nie chciał, żeby go odprowa-
dzano na kolej.

1 września. Niedziela.

W południe zaszedłem do kościoła, przekonany,
że tam na mszy będzie pani Helena. Lecz rozglą-
dałem się na próżno. Nie było jej.

Już trzeci dzień, jakieśmy się nie widzieli. Zastanowiło mię to. Czyżby jej nie zależało na mojem towarzystwie, teraz, gdy jest bez męża?

Wstąpiwszy na plażę, spotkałem dzieci pani Heleny, w chwili właśnie, gdy już zbierały kubelki, siatki i łopaty, by wracać do domu. Dowiedziałem się od Henia, że mamusia jeszcze i dziś nie jest zupełnie zdrowa.

— Co jest mamusi?

— Skarży się na ból głowy, ale zresztą czuje się już lepiej. Ale że to dziś niedziela, więc i po obiedzie będzie siedziała w domu. Mówiła nam, gdyśmy rano szli na piasek, żebyśmy starali się zobaczyć pana i powiedzieli mu, że mamusi byłoby bardzo przyjemnie, gdyby pan przyszedł dziś do niej o 4-tej na podwieczorek.

Powiedziałem naturalnie, że przyjdę.

W tej intencji już o 3-ciej wróciłem do hotelu, żeby za jakieś pół godziny, przebrawszy się po wizytowemu, udać się do willi *Mon bonheur*.

Ale nie upłynęło dziesięć minut, gdy nagle zapukano mocno do drzwi.

— *Qui est là?* spytałem, trochę zdziwiony tem stukaniem. Bo któżby mógł przychodzić do mnie teraz?

— *C'est moi*, odrzekł jakiś tajemniczy głos.

— *Entrez!*

Spojrzałem w otwierające się drzwi i ujrzałem w nich Juanitę...

2 września. Poniedziałek.

— Dlaczegoż to pan nie przyszedł wczoraj do mnie? Czekałam na pana z podwieczorkiem aż do wpół do 6-tej, aż wkońcu wypitałam go sama, i to sama jedna, bo dzieci były na plaży.

— Złożyła się na to cała historia. Przedewszystkiem nie wiem, jak się wytłómaczyć przed panią, żem jej nie uprzedził kartką lub telefonem, że przyjść nie mogę, ale wobec gwałtu, jakiego padłem ofiarą, poprostu nie miałem sposobu, żeby tak czy owak skomunikować się z panią. Proszę sobie wyobrazić, że zostałem porwany. Tak, tak, mówię całkiem poważnie i nie żartuję. Poprostu, jak dziecko przez cyganów, zostałem napadnięty, obez władniony, porwany i uwięziony... nie przez cyganów wprawdzie, ale przez dwie niebezpieczniejsze jeszcze od cyganiek damy: przez księżnę de la Valière i hrabinę Desportes. Właśnie wracałem do hotelu, po rozstaniu się z dziećmi pani, żeby iść na śniadanie, gdy przed cukiernią Miremont zobaczyłem księżnę w automobilu. Okazało się, że czekała na hrabinę Desportes i jej męża, którzy coś kupowali w cukierni. Jechano do San Sebastian, gdzie miano spożyć śniadanie w kasynie, a potem pojechać na walkę byków. Gdy wyszli hrabstwo Desportes, odrazu zdecydowali na mój widok, że muszę jechać z nimi. Zacząłem się tłómaczyć, że o 4-tej... Nie dali się przekonać tym

argumentem, powiedzieli mi, że mogę zatelefonować z San Sebastian z kasyna. Ten argument złamał mój opór, a tymczasem w San Sebastian telefon był zepsuty. Telegrafować przy niedzieli, wobec święta dla woźnych pocztowych, nie było celu, boby pani i tak dopiero dzisiaj odebrała moją depeszę. Wobec tego byłem bezradny. Wprawdzie miałem popsute i śniadanie i walkę byków, bo ciągle myślałem o tem, że pani tam może czeka na mnie, ale nie było wyjścia z tego zakłętego koła. Zwłaszcza, że po walce byków, która wypadła świetnie, bo król był w loży, zostaliśmy jeszcze na obiedzie w *Hôtel du Palais*, tak, że do Biarritz wróciliśmy po północy...

Niepomna przysłowia, że *qui s'excuse s'accuse*, pani Helena jakoś uwierzyła tej zmyślanej opowieści, a że miała kartkę od męża, pisaną z Paryża, w której znalazły się i ukłony dla mnie, więc od razu zaczęło się mówić o Hożyckim, który w tej chwili, gdy myśmy spacerowali po słonecznej drodze, już musi być na swem stanowisku w kan torze.

Przeszedłszy się trochę, pani Helena wróciła do namiotu, do dzieci, a ja, korzystając z pozwolenia, usadowiłem się na piasku, tuż przy jej fotelu, tak, że chcąc spojrzeć na nią, musiałem podnosić oczy do góry, ona zaś, gdy patrzyła na mnie, musiała spuszczać powieki.

Poza^{ła} była jak wymarzona, ale za to rozmowa

nie kleiła się jakoś, szła jak z kamienia. Oboje byliśmy dziwnie zakłopotani, zażenowani. Mówiliśmy o rzeczach błahych, potocznych, o tem bowiem, o czem myśleliśmy, a przynajmniej o czem ja myślałem od wyjazdu Hożyckiego, mówić nie mieliśmy odwagi, a może ochoty. Ona czuła me bawcowe spojrzenia, które paraliżowały jej swobodę w obejściu, a ja sam nie wiem, co mi się stało, ale mi całkiem nie dopisywał mój zwykły dar prowadzenia błyskotliwej konwersacji, mogącej zainteresować kobietę. Zdarzały się chwile, w których po prostu nie znajdowałem lepszego tematu, jak pogoda i literatura! O, rozpaczy!

Rzecz szczególna: jestem kontent, że jej męża niema w Biarritz, a jednak, gdy on był tutaj, i pani Helena i ja czuliśmy więcej śmiałości względem siebie. Dzisiaj przynajmniej, przez cały czas tego pierwszego widzenia się po wyjeździe Hożyckiego, byliśmy jacyś nie swoi, onieśmieleni czegoś, jak dwoje ludzi, którzy się boją siebie wzajemnie, którzy nie mają czystego sumienia, którzy, rozmawiając z sobą, myślą o czem innem.

Zwłaszcza pani Helena była jakaś spłoszona, a przytem nieszczerą, nieskłoną do potrącania o nasze wspomnienia z dawnych czasów.

Dopiero pod sam koniec ożywiła się nieco, gdy ją zapytałem o jej panieńskie album, w którym ja swego czasu tyle wpisałem sentymentalnych sonetów. Odpowiedziała mi — ku mojemu niemałemu

zdziwieniu — że nietylko ma ten sztambuch, który jej doskonale służy i jako mężatce, ale go nawet przywiozła do Biarritz, jakby w przeczuciu, że tutaj spotkamy się znowu, co oczywiście i w tym albumie musi znaleźć swe odbicie w postaci nowego sonetu.

— Tego pani obiecać nie mogę.

— Czemu?

— Bo jestem już w wieku, w którym dusza nie wypowiada się w wierszach, lecz w prozie. Wtedy, gdym pisał owe sonety, tworzone z myślą o... albumie pani, byłem młody, pełen młodocianego zapału, marzyłem o szczęściu, o ideałach, żyłem złudzeniami, bujałem po obłokach, karmiłem się poezją. Dziś zmieniłem się zasadniczo: zesta-
rzałem się, sprozaiczyłem, myśli zaś, w których się wypowiada moja psyche, już się nie wiążą w rymy, a tembardziej w kunsztowną formę sonetów, ale się składają w chłodną akademicką prozę, w sam raz dla *Revue des deux mondes*, miarkowaną tym autokrytycyzmem, który Renan *la froideur d'artiste* słusznie nazywa. Wtedy, gdym dla pani pisał moje wierszyki, byłem młodym poetą, »mussecikiem«, jak mnie pani sama łaskawie nazywała, dziś jestem tylko powieściopisarzem. Dlatego, choć z przyjemnością wpiszę się do albumu pani, to jednak, nie obiecuję, bym obecnie zdobył się na sonet,

3 września. Wtorek.
Godzina 3-cia po południu.

Gdym dziś o 11-tej, pomimo wzburzonego morza przy chłodnym wichrze, spytał panią Helenę, czy myśli o kąpeli, odrzekła, że o ile się podejmę roli *baigneur'a*, bez którego bałaby się kąpać przy tak silnej fali, to na ochocie nie zbywa jej bynajmniej. Wobec tego, nie chcąc tracić czasu, zaraz rozeszliśmy się do kabin, by po upływie kilkunastu minut razem wejść do wody.

Od pierwszej chwili, gdyśmy wkraczali w obręb większych bałwanów, których szumiącemu i spienionemu naporowi wypadało stawić silny odpór plecami, by nie być powalonym w zmaconą wodę z piaskiem, odrazu miałem jakieś miłe poczucie swobody i zadowolenia, które jeszcze potęgował widok pani Heleny, trochę dygocącej pod wpływem zimnej wody, a przytem cokolwiek wylęknionej rozmiarami nadciągających fal. Te rzeczywiście przedstawiały się groźnie: gdy spiętrzone i obrębieczone białą frendzlą piany, niby zjeżonemi grzywami, załamywały się nad tem mrowiem ludzkim, które im nadstawiało swe karki, witając je wesołemi okrzykami, a często i piskiem przestraszonych kobiet, zawsze była chwila, że wszystkim bardziej wysuniętym naprzód, fala przelatywała ponad głową. Nietylko panie, ale i ostrożniejsi mężczyźni kąpali się z *baigneur'ami*, a stary strażnik, po kolana

brodzący w wodzie, ciągle dął w swą żalosną trąbkę, ostrzegając śmiałków, by się nie zapuszczali zbyt daleko.

W miarę, jakśmy się zbliżali ku większym fałom, pani Helena, trzymając mię za rękę, ścisnęła ją coraz nerwowiej. Ale nareszcie przyszedł moment, że woda nieopodal zaczęła pęcznieć w długi wysoki wał, tak szybko toczący się ku nam, że ledwo zdążyłem krzyknąć: »Niech się pani rzuci całą siłą w tył!«, a już olbrzymi bałwan, niby jakaś potworna muszla, czy paszcza, spiętrzył się ponad naszymi głowami. Z obawy, by pani Helena nie upadła pod nawałą ciężkiej masy wodnej, która na nas, jak wodospad, miała runąć z góry, instynktownie chwyciłem ją wpół... W tejże chwili znaleźliśmy się w szumnym odmęcie, który nas zalał w mgnieniu oka, gwałtownie uderzając w plecy. Uderzenie było tak silne, że nawet ja ledwo się zdołałem utrzymać na nogach, zwłaszcza, że moja przestraszona towarzyszka raptem chwyciła mię za szyję, na co nie byłem przygotowany. Gdy bałwan rozbił się u naszych stóp, nim się ocknęliśmy, by przetrzeć zalane oczy, upłynęło parę sekund, w czasie których czułem toczzone ramię pani Heleny, okalające mój kark, a jednocześnie, ile że jeszcze ciągle obejmowałem jej kibić, miałem ją w swoich objęciach, bezwiednie przytuloną do mnie...

Jakich uczuć ona doznawała w takich chwilach, nie wiem, ale zato wiem napewno, żeśmy w ten

sposób kąpali się z pół godziny, żeśmy ochoczo szli na spotkanie każdej silniejszej fali, że przy każdym nadciągającym bałwanie powtarzało się z różnemi odmianami, ale zawsze mniej więcej to samo, co przy owym pierwszym. Cóż dziwnego tedy, że nam się nie chciało wychodzić z wody...

Gdy wreszcie z zaczerwienioną skórą, wychłostań przez fale, wyszliśmy na piasek, by wdziąć płaszcze, zapytałem:

- Czy kąpiemy się jutro?
- Ależ naturalnie.

Godzina 11-ta wieczorem.

W hotelu zastałem pierwszy wrześnieowy zeszyt *Revue des deux mondes* z początkiem mojej nowej powieści, której pani Helena wyglądała niecierpliwie. Mając tak doskonały pretekst, zaraz po czarnej kawie udałem się do willi *Mon bonheur*. Zastałem panią Helenę w ogródku, pod cienistemi tamarisami, leżącą w hamaku. Czytała *Kurjera Warszawskiego*. Dzieci nieopodal grały w krokieta. Spostrzegłszy mnie wchodzącego, uniosła się w hamaku, ale ją poprosiłem zaraz, by wróciła do poprzedniej pozy, a ja usiądę obok.

— Zresztą uciekam niebawem, bo jestem tylko w roli mojego posłańca, któremu kazałem zanieść najświeższy zeszyt *Revue*.

Pani Helena stosownie do mej prośby, na nowo się położyła w hamaku, gdyż czuła się bardzo znużoną po dzisiejszej, trochę za długiej kąpeli; a po wtóre, choć nie miała lustra przed sobą, wiedziała aż nadto dobrze, iż w tej pozycji, z głową na miękkiej poduszce, w różowym dekolowanym szlafroczku z szerokimi rozprutymi rękawami, pozwalającymi widzieć całe ramiona, wyglądała wprost jak marzenie, tembardziej ziemskie, że śliczny szlafrok, choć z długim trenem, nie był dostatecznem nakryciem dla czarnych lakierowanych pantofelków, a tem samem i dla ślicznej, iście hiszpańskiej nóżki w jedwabnych ażurach.

Gdym, po jakimś kwadransie, niby chciał się oddalić, zatrzymała mnie, mówiąc:

— Niech pan zostanie jeszcze. Żle tu panu ze mną?

— Mnie jest bardzo dobrze, ale boję się, że pani możeby wołała być sama.

— Skoro się zacznę nudzić w pańskim towarzystwie, to powiem panu bez ceremonji, żeby sobie pan poszedł i zostawił mnie samą. Ale dopóki mam ochotę, żeby pan mi dotrzymywał towarzyswa, widocznie pana jeszcze nie mam dosyć.

A widząc, że oczu nie odrywam od jej cudnych ramion, niby od niechcenia zaczęła obciągać rękawy. Te jednak okazały się pocziwuszemi od niej, bo po niejakej chwili znów się ściągnęły do góry.

Gawędząc mile, jak dwoje zażyłych przyjaciół, którzy przecież są na najlepszej drodze, by ta ich przyjaźń zmieniała się w gorętsze uczucie, nie spostrzeegliśmy się nawet, jak wybiła 4-ta. Gdy dzieci zawołano na podwieczorek, po którym miały iść na plażę, umówiliśmy się, że ja pójdę naprzód, zajmę stolik w cukierni Miremont, a ona przyjdzie za pół godziny. Tymczasem, gdy miałem odchodzić, a pani Helena uniosła się w hamaku, zamiast ją pocałować w rękę jak zwykle, ośmieliłem się skorzystać z szeroko rozwartych rękawów szlafroka... Spostrzegłszy zaś, że moja zuchwałość nie jest źle widzianą, dość długo syciłem się słodyczą tej kradzionej pieszczoty.

— No, może by pan już poszedł! rzekła wkońcu, wydzierając mi rękę, a w głosie jej, gdy wymawiała ten strofujący rozkaz, drgał taki matowy odcień podniety, która zresztą i w jej oczach znalazła swój powłóczysty wyraz, że na nowo ustami przylgnąłem do jej białego ramienia, składając na niem, w tem samem miejscu, co przed chwilą, powtórne ucałowanie, jeszcze przeciąglejsze o wiele, aniżeli pierwsze. Co uczyniwszy, milcząco skarcony paluszkiem od ucałowanej ręki, którym mi pogrożono kokieteryjnie, zabrałem się do wyjścia.

W cukierni siedziałem przeszło godzinę sam. Już zaczynałem się niecierpliwić, trochę niespokojny nawet, gdy w parę minut po 5-tej pani He-

lena przyszła wreszcie, a raczej przyjechała do rożką, żeby mi nie dać czekać za długo.

— Pewno już pan zaczął złorzeczyć pod moim adresem?

— W każdym razie już zaczynałem być nerwowym.

— Niech się pan pocieszy jednak, że ja w nadzieję czekałam na pana dłużej znacznie, i to na próżno! A cokolwiek pan robił wtedy, nie ja byłam przyczyną, że wzgardzono mym podwieczorkiem; tymczasem moje obecne spóźnienie zostało spowodowane przez pana wyłącznie: bo pan jest jedynym sprawcą, żem nie stawiała się wcześniej.

— A to jakim sposobem?

Zaciekawiona obiecującym tytułem mojej powieści — *On revient toujours* — pani Helena, jak mi to opowiedziała szczegółowo, zaraz po mem odejściu wzięła się do czytania, no, i nie odłożyła zeszytu, aż nie przeczytała wszystkiego. Musiałem opowiedzieć jej pokrótce, co będzie w dalszym ciągu, a jeśli nie opowiedział i reszty, to na jej wyraźne życzenie, którem mi przerwała moją narrację, bo nie chce tracić interesu dla rozwoju fabuły. Wprawdzie domyśla się z brzmienia tytułu, że bohater powróci *à ses premiers amours*, ale niemniej jest ciekawa tej powrotnej drogi.

— Tyle mogę pani powiedzieć już dzisiaj, że w każdym razie będzie to droga ciernista.

I wszczęliśmy rozmowę o takich nawrotach do

pierwszych miłości, co mi naturalnie umożliwiło kontrabandę niejednej przejrystej aluzji co do naszej sytuacji w Biarritz. A że byłem nieco podniecony całym przebiegiem dnia, więc mówiłem z zapalem, z dużą swadą, w sposób suggestywny, co oczywiście musiało podziałać na również wyuczuloną wrażliwość pani Heleny. Kto jak kto, ale ona rozumiała doskonale, jakie osobiste przejęcia dyktowały mi moje twierdzenia i teorie, i że nie kogo innego tylko siebie miałem na myśli, gdym pawił o tragizmie podobnych recydyw uczuciowych, o takich zmartwychwstających miłościach, pozornie umarłych i pogrzebionych, a właściwie nie wygasłych i żywych.

Takeśmy się zagadali, że dopiero widok opustoszałych stolików, wraz ze względną ciszą po niedawnym gwarze, opamiętały nas wreszcie.

Gdyśmy, wyszedłszy na ulicę, przez chwilę szli okok siebie, milcząc zamyśleni, spytałem pierwszy:

- Co pani robi dziś wieczór?
- Siedzę w domu.
- Sama?
- O tyle nie sama, że z boną.
- Nie wybrałaś się pani do kasyna?
- Nie wypada, żebym tam chodziła bez męża.
- A z przyjacielem?
- Z panem?
- Przypuśćmy, że ze mną.
- Z każdym innym prędzej, niż z panem.

— Dlaczego?

— Nie chcę pochlebiać panu zbyt, ale gdyby taka kobieta, jak ja, często zaczęła się afiszować z takim przyjacielem, jak pan, tak młodym, tak sławnym, no, i tak przystojnym, niktby nie pomyślał z pewnością, że pan jest moim przyjacielem jedynie, a natomiast wszyscy zaczęliby rozpowiadać na prawo i na lewo, że muszę być dla pana czemś więcej...

— Cóż z tego, kiedy byliby w błędzie.

— A więc wolałby pan, żeby to było prawdą?

— Jakżebym mógł nie pragnąć takiego szczęścia?

— Śliczny z pana przyjaciel! Wszyscyście jednakowi, wszystkim chodzi o to samo: każdy, przywdziewszy obłudny płaszcz przyjaciela męża, chciałby być przyjacielem domu.

— Przepraszam, bo co do mnie, to nigdy nie pretendowałem do tytułu przyjaciela pana Hożyckiego, którego poznałem dopiero przed paru tygodniami. Jestem mu bardzo życzliwym, ale chyba on sam jeszcze mnie nie uważa za swego przyjaciela: co najwyżej za znajomego. Inaczej rzecz się ma z panią: pani chyba mnie uważa za swego przyjaciela, i to prawdziwego, oddanego.

— Pozwoli pan, żebym była otwartą?

— Proszę panią o to.

— Kiedy tak, to powiem panu bez ogródek,

że wierzę w pańską przyjaźń dla mnie, ale do niej nie mam zaufania.

— Dlaczego?

— Bo nie jest pan lepszy od innych, a może i gorszy. Gdyby pan tylko mógł porzucić tę szlachetną rolę przyjaciela, a zamienić ją na inną...

— Na jaką?

— Tego panu nie powiem, bo się i tak rozumiemy doskonale, ale jestem pewna, że uczyniłby pan to bez skrupułu. Tylko, że się to panu nie uda.

— Jest pani pewną siebie?

— Najzupełniej.

— Wiem, dlaczego.

— Dlaczego?

— Bo jeszcze pani, jeśli się tak wyrazić wolno, nie natrafiła na swojego mężczyznę.

— Kiedy pan tak stawia kwestję, to zapewniam pana, że choćby pan właśnie był tym mężczyzną, to jednak...

— Proszę mi powiedzieć, że nim jestem, a resztę biorę na siebie.

— Czyli, że nie jest pan moim prawdziwym przyjacielem, skoro do wyprowadzenia mnie na bezdroże okazuje pan tyle gotowości.

Poczem, nie dopuszczając mnie do słowa, a chcąc widocznie położyć koniec tej niebezpiecznej dyskusji, dodała już w zwykłym konwersacyjnym tonie:

— Ponieważ nie pójdę do kasyna, więc panu

zrobię taką propozycję. Żeby nie wyzywać opinii, a jednak wieczór spędzić razem, nie widzę innego sposobu, tylko żeby pan przyszedł do mnie. Najlepiej proszę przyjść o 7-ej na obiad *à la fortune du pot*. Po obiedzie możemy zrobić mały spacer, a potem się rozstaniemy spokojnie, jak przystało na prawdziwych... przyjaciół.

— *C'est entendu!*

Gdy następnie pani Helena wsiadła do dorożki, a ja poszedłem ku hotelowi, nie mogłem się oprzeć refleksji, że wtedy, kiedy ja jeszcze nie zdążyłem pomyśleć o tem, by naszą dotychczasową przyjaźń zmienić w romans, jej już to przyszło na myśl! Pozostając pod jej urokiem, ale wiedząc, że choć płocha, jest uczciwą i bez zarzutu, jeszcze na serjo nie zastanawiał się nad tem, czy godzi się kwestjonować jej nieprzystępność, czy wogóle można knuć jakieś uwodzicielskie zamachy na jej małżeńską wierność. Tymczasem ona już mię podejrzewa o takie niegodne zamiary, a choć się odgraża bezwzględny oporem, to jednak przyjmuje wyzwanie, a nawet pierwsza rzuca mi rękawicę, której trudno żebym nie podniósł skwapliwie.

Wobec tego zmieniam taktykę. Zobaczymy, kto wyjdzie zwycięzcą. Na razie wiem tylko tyle, że sytuacja uległa zasadniczej metamorfozie. Aż do tej chwili byłem przekonany, co prawda przez Hożyckiego wyłącznie, że jego żona jest twierdzą nie do zdobycia; tymczasem ona sama, jakkolwiek

wychodzi z tegoż założenia, zachęca mię w sposób wyzywający, bym próbował oblęgać tę niezdobytą fortecę. Tak przynajmniej rozumiałem jej dzisiejszą rozmowę ze mną. A może ta twierdza pragnie być zdobywaną przezemnie, ażeby mi się mogła poddać?

Nastrojony na tak odmienny kamerton, przebrałem się po wieczorowemu, (ażeby na wszelki wypadek móc pójść do kasyna), i, kupiwszy kilka wspaniałych róż, kazałem się wieść do willi *Mon Bonheur*.

Niestety, pani Helena, choć była bardzo miła, pełna zalotności, zwłaszcza po obiedzie, gdyśmy przeszli do saloniku, wcale nie chciała uwzględnić mojego swawolniejszego nastroju. Gdym przeglądał jej sztambuch, gdy w nim odczytywałem moje sonety warszawskie i zakopiańskie, była tak *correcte*, jako uprzejma i gościnna pani domu, żem ani razu nie dopatrzył stosownej chwili, by powtórzyć dzisiejszą popołudniową scenę, umożliwiającą przez szerokie rękawy szlafroka. A nie było to fizycznie niemożliwem, zważywszy śliczną tiulową bluzkę z krótkimi rękawkami.

Wogóle po tej scenie z albumem, budzącym tyle wspomnień z lat ubiegłych, spodziewałem się czegoś więcej. Myślałem, że pani Helena okaże się powolniejszą, bardziej nieobronną, ulegnie pewnemu rozmarzeniu, ale rzeczywistość nie sprostала mym przypuszczeniom. Ja sobie ten epizod wyobraziłem

w sposób romansowy, jak powieściopisarz, który w nim widział *une scene à faire*, podczas gdy życie sprawia niespodzianki, ono bowiem takie sceny improwizuje, a nie układa ich po literacku. Gdyśmy usiedli na wygodnej otomanie pod lampą z czerwonym abażurem, pani Helena wyglądała jak Szereza, ale była chłodna, panująca nad sytuacją, a przede wszystkim dbała o to, bym do niej nie przysiadł się zbyt blisko. Ile razy przysunąłem się do niej, ona się odsuwała odemnie. W ten sposób przewędrowaliśmy z jednego końca kanapy na drugi.

Dopiero przy pożegnaniu, gdy mnie wyprowadziła na taras, tak mi podała rękę, żem ją mógł pocałować w rozwartą dłoń, przyczem uczułem jej aksamitne końce palców, pieszczotliwie mię głaszczące po twarzy. Oczywiście, że to znacznie podwyższyło temperaturę mojego całowania, a że je i przedłużyło znacznie, więc skończyło się na tem, że mnie pani Helena przywołała do porządku, mówiąc zciszonego głosem:

— No, dosyć już, dosyć! Co zanadto, to nie zdrowo! Dobranoc! Niech pan śpi dobrze.

— Chciałbym śnić o pani.

— No, no, lepiej nie... Ale już niech pan idzie. Jeszcze nas kto tak zobaczy. Do widzenia.

— Do jutra.

I drugi raz dała mi dłoń do pocałowania. A gdym ja, ośmielony tą jej dobrocią, ujął jej obnażone ra-

mię, całując w cudny dołeczek przy łokciu, i temu nie była przeciwną...

4 września. Środa.

Dzisiejsza kąpiel wypadła całkiem inaczej, aniżeli wczoraj. Przedewszystkiem morze było nierównie spokojniejsze, tak, że pani Helena mogła się obywać bez mojej pomocy. Powtórę kąpała się przeważnie z dziećmi, mało się troszcząc o mnie, tak, że bywały momenty, w których kąpałem się osobno, dalej od brzegu, gdzie z powodu silniejszych fal kąpało się najwięcej osób.

Dopiero po jakichś dziesięciu minutach, gdy dzieci razem z miss Bell wyszły z kąpieli, pani Helena, która jeszcze została w wodzie, wyraziła życzenie, bym z nią popłynął aż do strażników. Dopłynąwszy tam, gdyśmy odpoczywali w łodzi, rzekła do mnie:

— Moje dzieci robiły mi dziś wyrzuty z powodu pana.

— Jakto?

— Powiedziały mi, że je zaniedbuję dla pana, że »mamusia ciągle jest z panem Popielem«, a swoje dzieci zostawia z miss Bell, z którą im nudno, a zwłaszcza tęskno za mamusią, bez której czują się nieszczęśliwe i smutne.

— Widzę, że nawet własne dzieci są zakochane w pani.

— Nie wiem, czy są zakochane, ale wiem, że bardzo kochają swoją mamusię, że są najszcześliwsze, gdy jestem z nimi, gdy się mogą popieścić ze mną.

— Okazuje się, że i dzieci i dorośli żywią te same uczucia względem pani.

— Nie wiem, czy pan ma słuszość, ale w każdym razie Henio mi dziś rano zrobił najformalniejszą scenę zazdrości, a Zosia jej zawtórowała łzami. Mało tego: powiedziały mi nadto... Choć nie, wolę o tem zamilczeć przed panem, bo jeszcze by pan popadł w nadmierną zarozumiałość.

— Przyrzekam, że nie zgrzeszę zarozumiałością.

— Ale czem innem może?... A zresztą powiem panu. Otóż, niech pan sobie wyobrazi, powiedziały mi, że mamusia to teraz kocha tylko pana Popiela, a nie troszczy się o swoje pociechy. I cóż pan na to?

— A jakaż była odpowiedź pani?

— Powiedziałam im naturalnie, że pana nie kocham, wcale, ale to wcale, bo kocham tylko tatusia. Ale pan jest przyjacielem tatusia, więc go lubię jako takiego, a zresztą tatuś, gdy wyjeżdżał, prosił pana, aby się opiekował mamusią, co też pan czyni z prawdziwym poświęceniem.

— No, i cóż? Czy uspokoiły się potem, uwierzyły?

— Niby to uwierzyły i uspokoiły się, ale co to jest instynkt dziecięcy: one czują poprostu, że

w panu mają niebezpiecznego współzawodnika, że mi jest dobrze z panem. Dlatego dziś po południu, zaraz po śniadaniu, jadę z nimi automobilem do Bayonny.

— To może tam się spotkamy?

— Nie, pan zostanie w Biarritz, żeby troszeczkę potęsknić za mną. Nie chcę, żeby pan pojechał do Bayonny, boby to znów wzbudziło podejrzenie, i w dzieciach, i w miss Bell, i w szoferze, żem się umówiła z panem. A zresztą znudziłby się pan z naszą gromadą, bo najprzód będę chodziła za sprawunkami, a potem obiecałam dziatwie, że pójdziemy na czekoladę do Daranatza.

— Jakto, więc dziś nie mam zobaczyć się z panią wcale?

— Niech pan będzie spokojny: pomyślałam i o tem. Ponieważ mam dobre serce, a wiem, że czułby się pan bardzo nieszczęśliwym, będąc przez całe pół dnia pozbawionym mojego widoku...

— Wcale się pani nie myli w tym względzie.

— Więc o 6-tej proszę spacerować sobie po didze. My w tym czasie wrócimy z Bayonny i zajedziemy na promenadę, gdzie będziemy stali między innymi automobilami, nie wysiadając z naszego. Wtedy niech pan podejdzie do nas, to porozmawiamy.

Stało się według życzenia pani Heleny. Całe popołudnie, bardzo upalne, przesiedziałem u siebie, przy biurku, przy otwartem oknie, z morzem przed

oczyrna. Najprzód przepisałem trzy czwarte mego odczytu, a następnie porobiłem szereg notatek do dziennika, z którego niechcący tworzy mi się materjał do powieści.

O 6-tej byłem na didze. Jest to godzina, gdy cały świat automobilowy, wróciwszy z popołudniowych wycieczek — podczas których nałykał się kurzu — zjeżdża ku promenadzie, ażeby tu, patrząc na zachód słońca, odetchnąć orzeźwiającem powietrzem morskiem, pełnem ozonu. Jakoż nic oryginalniejszego, jak widok digi o tej porze! Istne corso! Na całej przestrzeni od kasyna aż do żelaznych sztachet *Hotelu du Palais*, na powozowej drodze, ciągnącej się tuż obok digi, stoi długi rząd automobilów, ustawionych jeden obok drugiego, tak, że omal nie stykają się kołami, a przed samochodami, na niskim murku, który jest jakby schodkiem z drogi na digę, siedzi, jak na przyzbie, nieprzebrany poczet najwytworniejszych dam i panów, tworzących oddzielne grupy. To właściciele automobilów, stojących za ich plecami. Inni pozostają w swych wozach, gdzie panie przyjmują wizyty znajomych mężczyzn. Jednocześnie na didze tworzy się formalna procesja spacerowiczów, już nieco demokratyczniejsza.

Dostrzegłszy automobil Hożyckich, stojący prawie na końcu digi, zaraz zbliżyłem się ku niemu. Gdym się przywitał z panią Heleną i dziećmi, przyczem nie omieszkalem podkreślić przypadkowości

tego spotkania, zaproszono mnie do samochodu, poczęstowano czekoladkami z Bayonny, a po upływie pół godziny, gdy coraz więcej automobilów zaczęło wysuwać się z szeregu i rozjeżdżać w różne strony, spytała mnie pani Helena, co robię wieczorem, bo ona siedzi w domu, ażeby napisać list do męża. Zrozumiałem, co to znaczy, a że przy dzieciach nie chciałem mówić wyraźnie, więc powiedziałem tylko, że i ja wieczorem nie wychodzę nigdzie, bo chcę się uporać z mym odczytem.

5 września. Czwartek.

Odczyt mój, specjalnie obliczony na audytorjum kobiece i wielkoświatowe, ma jedną niezaprzeczoną zaletę: jest krótki, nie potrwa dłużej, niż pół godziny. Prócz tej głównej posiada jeszcze i drugą zaletę: jest jednym nieprzerwanym komplementem dla kobiet francuskich. Wychodzę z założenia — które zresztą nie sprzeciwia się memu najgłębszemu przekonaniu — że Francuzka jest pracowitą i cnotliwą z natury, z instynktu. Kobiety występne, wiarołomne, rozpustne, należą do wyjątków, wcale nie tak licznych, jak się może wydawać pozornie. Nawet te, które żyją w niecnocie, a które ogromnej większości kobiet bez zarzutu tak psują reputację w Europie, jeszcze mają swoje specjalne cnoty, nieocenione dla mężczyzn: są

wierne, przywiązane, bezinteresowne, zdolne do poświęceń. Ani pani Bovary, ani Małgorzata Gautier, nie są wyjątkami. Scharakteryzowałem kobiety wszystkich stanów: kobiety z rodowej arystokracji, kobiety z burżuazji, małej i wielkiej, kobiety z ludu, aktorki, gryzетки, nawet i damy kameljowe. Wszystkie, cokolwiek im zarzucić można, są żarliwemi patriotkami, czego w roku 1870 tyle dały wspierać dowodów. W tym razie można wierzyć beletrystyce francuskiej, począwszy od *Mademoiselle Fifi* Maupassanta, a skończywszy na *Debâcle* Zoli i nowelach Daudeta z dziejów oblężenia Paryża. Jednem słowem, Francja może być spokojna o swoją przyszłość, naród bowiem, który ma takie kobiety, nie zginie.

Pani Helena, gdym jej dziś po południu o 4-tej, na tarasie u niej, przeczytał tę prelekcję, okazała się bardzo łaskawym krytykiem. Zachwycąła się wykwintnym stylem, nie szczędziła pochwał dla kompozycji, dla artystycznego ujęcia przedmiotu, ale nie cofnęła się i przed zarzutami. Przedewszystkiem była zdania — któremu musiałem przyznać słuszość — że ani słówkiem nie zaznaczyłem egoizmu, w wyższym stopniu cechującego kobiety francuskie, aniżeli inne, nie mówiąc już o Polkach, a powtórnie nie mogła się wydziwić memu optymizmowi w odniesieniu do Francuzek, którymi są przecież i Paryżanki, a które chyba poznałem i z mniej

nieposzlakowanej strony, zwłaszcza, gdy chodzi o ich cnoty małżeńskie...

Wogóle dyskusja, jaka się wywiązała z powodu wyrażonych przeze mnie poglądów, była nadzwyczaj interesującą.

Cóż z tego, kiedy pod innym względem bardzo się zawiodłem na tym odczycie! Możeby lepiej nie przyznawać się do tak niemiłej porażki, ale za bardzo jestem literatem i psychologiem=analitykiem, by tu nie zapisać tej autoobserwacji, trochę humorystycznej, niestety!

Otóż raz jeszcze zostałem ukarany za to, i srode, że na życie zawsze się patrzę przez pryzmat literatury. Ale nie poradzę na to, że takie już jest moje usposobienie, ba, mój temperament!

Jestem przekonany, że pani Helena, gdy słuchała mego odczytu, nie myślała o niczym innym, tylko o jego treści. Tymczasem ja, już w drodze do willi *Mon Bonheur*, jeszcze nim przystąpiliśmy do czytania, już się widziałem w innej roli, o wiele romantyczniejszej, niż zwykła, dość zresztą wdzięczna rola autora, czytającego swój utwór... pięknej kobiecie! W pierwszym rzędzie nie mogłem zapomnieć o scenie dantejskiego *Inferno*, gdy płomienny Paolo, rozkochany w Francesce, czyta jej pod niebytność męża miłosne przygody Lancelota... *Quel giorno piu non vi legemmo avante*. Ten wiersz z *Boskiej komedji*, niby naprzykrzona mucha, ciągle mi brzmiał w uszach. Przytem zdawało mi się chwi-

lami, gdym spoglądał na uważnie słuchającą panią Helenę (bom często wzrok odrywał od skryptu), że jestem na najlepszej drodze, by mój *Raj utracony* zmienić się w *Raj odzyskany*... Tym sposobem, czytając rzecz o przymiotach kobiet francuskich, o ich przykładnej stateczności, wyobrażałem sobie panią Helenę w roli Franceski da Rimini, gdy wzruszona czytany przez Paola romansem, »upada pod władzą miłości«, tracąc wszelką odporność na pokusy.

Niestety, warunki, wśród których odbywała się ta lektura, wobec domu pełnego służby, bynajmniej się nie nadawały do podobnej sceny, do takiego nastroju »westchnień uroczych«, w jakim dantejscy kochankowie zaniechali czytania powieści.

To też, choć

W ciągu czytania nieraz oczy nasze
Zbiegły się z sobą,

tak samo, jak w poemacie Dantego, to jednak twarze nam nie pobladły ni razu, a takiego »czułego ustępu«, jak ten, który zgubił namiętą żonę Lianciotta, mój odczyt nie zawierał z natury rzeczy.

Skończyło się na tem, że ostatecznie pani Helena zadzwoniła na podwieczorek, a po chwili wjechał angielski stolik na kółkach, zastawiony ślicznym serwisem, z delikatnem pieczywem, z brzoskwinią i winogronami. Gdy lokaj oddalił się do pokojów, pani Helena zaczęła nalewać herbatę,

a jej pełne wdzięku, dystyngowane zachowanie się, jako gościnnej pani domu, niczem nie przypominało dantejskiej Franceski, »kiedy niejasne żądze swe poznała«.

A co już najmniej było pokrewnem słynnej scenie z *Świętego poematu*, to czytanie listu Hożyckiego, z którym pani Helena, ulegając mej prośbie, zapoznała mnie po podwieczorku. Zrazu nie chciała popełnić tej niedyskrecji, ale gdym nalegał coraz błagalniej, ustąpiła wreszcie, pod warunkiem jednak, że list przeczyta sama, że mi go nie da wziąć do ręki. Czemu? Bo zawiera ustępy, które są przeznaczone dla niej wyłącznie, których nie godzi się czytać nikomu. Choć najwięcej byłem ciekawy tych ustępów właśnie, musiałem się zgodzić i na taką cenzurę.

W tych warunkach powtórzyła się scena poprzednia, z tą różnicą, że pani Helena była lektorką, a mnie przypadła rola uważnego słuchacza. Wszystko razem złożyło się na rodzaj humorystycznej trawestacji słynnego opowiadania Franceski. Cóż zabawniejszego bowiem, jak scena, w której piękna żona czyta zakochanemu w niej przyjacielowi bardzo чуły i poufny list swego męża! Na domiar złego, pani Helena, jakby chcąc podnieść jeszcze i tak już wysoki komizm sytuacji, okazała się bardzo łagodnym i nieostrożnym cenzorem, tak, że mi nawet w zapędzie przeczytała kilka ustępów, których wolałbym nie usłyszeć...

Cóż dopiero muszą zawierać te, z którymi mnie nie chciała zapoznać! Odczytując je po cichu, przy niektórych uśmiechała się rozbawiona, a przy końcowym dopisku aż się zarumieniła ze wstydu.

— Tego, co następuje teraz, znów panu przeczytać nie mogę. Co też ten mój mąż wypisuje za koncepty! Ale widzę z tego, że choć mu tak markotno bezemnie, jednak jest w dobrym humorze.

Dowiedziałem się nadto, że Hożycki jest bardzo zajęty, że pierwszego wieczora już o 10-tej był w łóżku, że drugi wieczór spędził na koncercie w Dolinie Szwajcarskiej, gdzie spotkał kilku partnerów od bridge'a. W ich liczbie jest także i jakiś pan Antoni, który ogromnie się ucieszył na widok Hożyckiego, sądził bowiem, że i jego żona już jest z powrotem w Warszawie.

— Ten pan Antoni, wyjaśniła mi pani Helena, to mój ostatni wielbiciel. Strasznie się we mnie kocha. Cóż, kiedy bez wzajemności. Mimo to przysyła mi cudowne kwiaty, na które się rujnuje poprostu.

— A cóż na to inni pani wielbiciele?

— Inni? A no, śmieją się z niego, zwłaszcza, że jest łysy.

— A pani z nimi?

— Taka już ze mnie niegodziwa istota, że gdy jestem z nimi, trochę sobie żartuję z niego.

— Z nim zaś śmieje się pani z tamtych.

— Nie może pan wymagać, żebym się kochała we wszystkich.

— We wszystkich, toby było za wiele, ale jeden toby się mógł cieszyć wyjątkową sympatją pani.

— Nic bym może w zasadzie nie miała przeciwko temu, ale takiemu jeszcze nie spotkała do tej pory, przynajmniej w Warszawie.

— A w Biarritz?

Nie wiedząc na razie, co odpowiedzieć na tak podstępne zapytanie, pani Helena zamyśliła się na chwilę, oczyma błędząc po ziemi, jakby szukała czegoś, aż wkońcu odzyskawszy potrzebną przytomność umysłu, odrzekła, podnosząc wzrok na mnie:

— Skoro się nadarzy sposobność, dam panu może wyjaśnienie w tej kwestji, i to szczere zupełnie.

— Czemu nie teraz?

— Bo teraz musimy iść do dzieci, po które mam przyjść o 6-tej.

Zapomniałem nadmienić, że Hożycki w swym liście do żony, w ustępie, gdzie mi przesyła serdeczne pozdrowienia, wyraża radość, że ją zostawił pod tak dobrą i miłą opieką. Widocznie, że mnie zalicza do tej samej bezpiecznej kategorii, co i jej warszawskich przyjaciół z panem Antonim na czele. Żebym mu tylko nie zrobił zawodu.

6 września. Piątek.

Po herbacie pod arkadami kasyna, gdy dzieci z miss Bell poszły do kinematografu, oświadczyła mi pani Helena, że czuje potrzebę większej przechadzki, bo źle sypia od paru dni, a dziś usnęła dopiero nad ranem. Rzeczywiście zwróciło moją uwagę, że wyglądała dosyć mizernie, a pod nieco wpadniętymi oczami miała brązowe obwódki. Gdy wyraziła przypuszczenie, że to prawdopodobnie wpływ długich kąpeli morskich, zbyt ekscytujących na nią, perswadowałem jej, że to raczej ujemny wpływ długich wieczorów w domu, spędzanych samotnie, co przy jej światowym usposobieniu stanowczo nie jest wskazanem, zwłaszcza w rozbawionem Biarritz. Cóż dopiero, gdy się ma takiego starego przyjaciela, jak ja, który jej wszędzie towarzyszyć gotów.

— Zbyt niebezpiecznym jest ten opiekun.

— A jednak mąż pani jest innego zdania.

— Gdyby mój mąż znał pana tak, jak ja, z pewnością by mnie nie zostawił samej z panem.

— Chciałbym wiedzieć, skąd mnie pani odrazu, ni stąd ni zowąd, zaczyna uważać za niebezpiecznego dla siebie, skoro aż do tej pory, o ile wiem, nie było strachu przedemną.

— Skąd pan może wiedzieć, czy się pana boję lub nie, czy się pana nie bałam od samego początku?

To powiedziawszy, zacięła się nagle, nie chcąc mi dać najmniejszego wytłómaczenia w tej kwestji. Na nic się zdały moje nalegania i prośby, a że jednocześnie straciła na humorze, na swobodzie w obejściu, więc ostatecznie przestałem ją »nudzić« tą sprawą, choć sprawa to dla mnie wielkiej wagi.

Tymczasem mineliśmy wielki Hotel Regina, wznoszący się na samym krańcu Biarritz, i skręciliśmy na skalisty półwysep z latarnią morską.

Trudno o poetyczniejsze ustronie. Gdy się przejdzie na ławkę poza latarnią, na sam cypel stromo ściętej skały, u której stóp w dole słyszać szum i huk rozbijających się bałwanów, staje się wobec panoramy, która niczem chyba nie ustępuje neapolitańskiej zatoce Bajów. Jako krajobraz morski, jest to prawdziwe cudo. Nic piękniejszego bowiem, niż ten szafir oceanu, nabijany światłem słonecznem, rzucającem na taflę morską, od widnokręgu aż po ląd, szeroką smugę wprost oślepiającego blasku. Na lewo, za białą frendzlą fal, obrębiających całe półkole zatoki z długą piaszczystą plażą na przodzie, roztacza się Biarritz w postaci przestronnego amfiteatru domów, pałaców, hoteli i willi, wśród zieleni drzew i trawników. Dalej widać rozległe szmaty lasów, pól i łąk, poczem równina garbi się coraz bardziej, stopniowo przeobrażając się w faliste wzgórza, za którymi już majaczeją Pireneje.

Oczarowani tym widokiem, zaczęliśmy schodzić

po kamiennych stopniach, prowadzących zygza-
kiem po dość stromem urwisku aż do samego
morza, do tak zwanej *Chambre d'amour*. Jest to
obszerna grotta w skale, na wysokości jednego piętra
nad wodą, ogrodzona żelazną balustradą na skraju,
z ławką pod jedną z nisko sklepionych ścian, z tym
samym wspaniałym widokiem, co z góry, tylko że
ujętym w dzikie granitowe ramy wylotu pieczary.
Gdy morze jest wzburzone, bałwany wdzierają się
aż do jej wnętrza. Stąd miejscowe romantyczne
podanie o parze kochanków porwanych przez roz-
hukany żywioł, gdy ich tu burza zaskoczyła w cza-
sie schadzki miłosnej.

Dzisiaj, przy wymarzonej pogodzie, morze było
zupełnie spokojne, że jednak przyływało właśnie,
więc przybrzeżne fale, obmywające podnóże pół-
wyspu, pieniały się i rozbryzgiwały nader efektownie.

Ponieważ szczęśliwym przypadkiem znaleźliśmy
się tu sami zupełnie, więc postawszy przy balu-
stradzie, a potem siedząc na ławce, byliśmy tro-
chę, jako tych dwoje z legendy, tylko że nam sza-
firowy ocean nie zagrażał żadnem niebezpieczeń-
stwem. Przez cały czas z cudnym widokiem przed
oczyma, coraz piękniejszym przy zniżającym się
słońcu, które powoli całą pieczarę zalało swemi
złotemi promieniami, wcaleśmy się nie spieszyli
z powrotem.

Dobrze nam było w tej odludnej *Chambre
d'amour*. A że tu mimowoli myśli się i mówi

o miłości, więc i my jakoś nie mogliśmy wyczerpać tego najwdzięczniejszego tematu. Oczywiście, że powiedzieliśmy sobie przy tej sposobności niejedno...

Pani Helena, wogóle przez cały czas tego spaceru usposobiona melancholijnie, nie przerywała mi ani zaprzeczając, gdym jej różnemi delikatnemi aluzjami i niedomówieniami dawał do zrozumienia, że zaczynam kochać, że pierwszy raz, odkąd wyjechałem z kraju, doświadczam tego błogiego uczucia, o jakie nas zwykła przyprawiać miłość niekłamana...

Jak dwoje ludzi, którzy się mają ku sobie, ale się z tem kryją przed sobą, ciągleśmy mówili o uczuciach, których tu dzięki naszemu spotkaniu doznajemy w Biarritz, aż wkońcu, pomny naszej wczorajszej niedokończonej rozmowy, zapytałem: jak mam rozumieć to, co mi powiedziała wczoraj, że nicby może nie miała przeciwko temu, gdyby się mogła zakochać, i co mi powiedziała dzisiaj, gdyśmy po herbacie wyszli na dęgę, że się mnie boi, w co mi uwierzyć trudno.

— A jednak jest tak w istocie: boję się pana.

— Czemu?

— Dużoby o tem mówić! Dlatego dajmy temu spokój, bo jeszcze bym mogła powiedzieć panu za wiele.

— Błagam więc, niech mi pani powie choć trochę.

— Otóż, skoro tak panu zależy na tem, powiem otwarcie, że wcale nie podzielam zdania męża mojego, który w tem widzi szczęśliwe zrządzenie, żeśmy w Biarritz spotkali się z panem. Mój mąż nie wie, ani się domyśla nawet, co nas łączyło w Warszawie, nie wie tem samem, jakimi moralnemi węzłami jesteśmy złączeni ze sobą...

— Ależ te węzły zostały zerwane!

— Przez pana w każdym razie, nie przeze mnie! przerwała, jakby urażona, z dziwnem wzruszeniem w głosie. Ale to do rzeczy nie należy, dodała zaraz potem, jakby się mitygując. I nie dając mi przyjść do słowa, ciągnęła dalej: Ja przecież, od pierwszej chwili, gdy tu pana ujrzała po latach, wcale w tem nie widziałam szczęśliwego zrządzenia opatrności: przeciwnie, zlekłam się tego spotkania. Mój mąż bardzo polubił pana, żałuje, że pan nie mieszka w Warszawie, a gdy wyjeżdżał, jeszcze ostatniego wieczora wyrażał zadowolenie, że dzięki panu nie będę się czuła osamotnioną, bo kobieta, mówił, zawsze musi mieć jakiegoś mężczyznę przy sobie, żeby się czuła bezpieczną i nieopuszczoną wśród obcych. Otóż mnie się wydaje całkiem przeciwnie, bo pan jest wogóle człowiekiem niebezpiecznym dla kobiety, a dopiero w roli opiekuna pod niebytność męża.

— Zaczynam być dumnym z siebie, nadmieliem nie na serjo.

— Może pan być nim słusznie, bo w każdym

razie jest pan pierwszym i jedynym mężczyzną, który mnie przejmuję niepokojem. Takiegom jeszcze, od chwili wyjścia za mąż, nie napotkała na mej drodze. Mój mąż wie o tem, że żaden mężczyzna, choć tylu mam wielbicieli, nigdy na mnie nie robił najmniejszego wrażenia, i dlatego jest taki spokojny o mnie, dlatego nigdy nie przyszło mu na myśl, by stać się zazdrosnym, choć teraz powinien być nim cokolwiek.

— Proszę, niech pani tak mówi jaknajdłużej.
»Jak kwiatem, każdym słowem twem się pieścę...«

— Powiem panu wszystko nawet, skorom już powiedziała tyle.

Poczem, bez wahania, z całym spokojem, z całą rozważą, dodała głosem stanowczym:

— Nigdy nie kochała mego męża!

— Co pani mówi! Czyż to możliwe?

— To jest fakt.

— I mąż pani wie o tem?

— Mój mąż jest bardzo zacny i poczciwy człowiek, bardzo zakochany we mnie, a że i ja mam dobre serce, więc mu za jego miłość odpłacam dobrocią, czyniąc wszystko z mej strony, by wierzył w moje przywiązanie. Zresztą przywiązana jestem do niego naprawdę, ale przywiązanie to jeszcze, niestety, nie miłość. Owszem, powiem więcej nawet: kocham mego męża, ale w nim nie jestem zakochana. I nie byłam nią nigdy!... Co innego kochać szlachetnego człowieka, z którym

się jest związaną sakramentem małżeńskim, z którym wiążą dzieci i kilkanaście lat wspólnego pożycia, a co innego kochać się w wybranym mężczyźnie.

— Zaczynam współczuć mężowi pani.

— Mąż mój, na szczęście, nie zdaje sobie sprawy z niczego: jako rozmówany we mnie, świata nie widzący poza mną, jest też i zaślepiony w wysokim stopniu. Jednocześnie wie aż nadto dobrze, że z natury jestem wesoła, płocha, zalotna, ba, nawet zaczepna, ale prócz tego ma również i świadomość moich zalet: wie, że odznaczam się wrodzoną prawością i uczciwością, któreby mi nigdy nie pozwoliły zrobić coś karygodnego, coś, coby nie licowało z moim charakterem, z moją, że tak powiem, czystością uczuć. Powtóre, zdatniem mego męża, jestem jak każda kokietka, zimna i niewrażliwa, bez zapachu. W jego przekonaniu jestem poprostu niezdolną do zakochania się w kimkolwiek.

A po chwili namysłu, z pewną nieśmiałością, zapatrzona w szpiczaste końce swych zakurzonych pantofelków, w które stukała skówką czerwonej parasolki, rzekła spokojnie:

— Istotnie pan pierwszy dopiero, odkąd jestem zamężną, zdołał mnie tu w Biarritz wytrącić z równowagi.

Usłyszawszy to, wprost odruchowo ująłem ją za rękę, chciałem coś powiedzieć, ale jej wyzna-

nie wprost oniemiało mię na razie. Ona tymczasem, pozostawiając rękę w mej dłoni, tak mówiła dalej, jakby sama do siebie:

— Rzucił pan jakiś zły urok na mnie, któremu nawet nie próbuję się bronić. Nie wiem chwilami, co się stało ze mną. Straciłam dawną niezamąconą pogodę ducha, a natomiast doznaję jakichś dziwnych tęsknot i smutków. Nie śpię, nie jem, a wciąż myślę o panu... Wstyd mi się przyznać, ale pierwszy raz w życiu cieszyłam się z powodu wyjazdu mego męża. Nie poznaję siebie. Ja, która do każdego mężczyzny zawsze przystępowałam z takim poczuciem swej przewagi, wobec pana mam chwile nieśmiałości, pomieszania... A przytem mam takie chwile szczerości, jak obecna, gdzie panu mówię rzeczy, których mówić nie wypada kobiecie pierwszej. Choć jest pan bardzo dobrym dla mnie, bardzo troskliwym i uprzedzającym moje życzenia, choć z pańskich powiedzeń i przemilczeń, z całego pańskiego zachowania się mogę wnioskować, że nie jestem panu obojętną, to przecież nie powiedział mi pan jeszcze, że się pan kocha we mnie. A tymczasem ja, nieproszona, pierwsza daję panu do zrozumienia, a nawet mówię wyraźnie, że jeszcze dla żadnego z mężczyzn, odkąd wyszłam za mąż, choć tylu traciło głowy dla mnie, nie czułam tego, co dla pana, żaden nie robił na mnie tego wrażenia... Oto dla czego powiedziałam dziś, że się pana boję. To jest prawda; boję się

pana. Boję się, a chociażem rada, gdy jesteśmy razem, żałuję nieraz, żeśmy się spotkali wogóle. Lepiejby może było dla nas obojga, gdyby pan w tym roku pojechał gdzieindziej, nie do Biarritz właśnie.

Byłem oszołomiony poprostu, słuchając tych wynurzeń. Gdy zamilkła wreszcie, wyczerpana tą mimowolną spowiedzią, przyczem mnie obrzuciła smutnem spojrzeniem jakby przez łyzy, ja jeszcze nie mogłem zapanować nad szeregiem nieskoordynowanych myśli, które mi jedna przez drugą cisnęły się do głowy. Ale nim zdołałem wyrzec słowo, podniosłem obie jej ręce, całując je naprzemiennie, ogrzewając je memi gorącymi ustami, bo były chłodne, jakby bez krwi. Z początku nie wzbraiała mi tej czułości, ale że kobieta zawsze w takich wypadkach łatwiej odzyskuje potrzebny spokój, aniżeli mężczyzna, więc i ona po niejakej chwili wstała nagle, a przetańszy oczy, rzekła już innym tonem:

— No, chodźmy już do domu. Komu w drogę, temu czas. Ślicznie się pan sprawuje jako mój opiekun. Żeby to mąż mój wiedział...

Przy tych słowach, nie oglądając się za mną, szybko pomknęła na schody, któremi znów wypadało wracać na górę.

Nie wiem, jaki obrót przybrałaby nasza dalsza rozmowa w powrotnej drodze do domu, ale jej przeszkodziły dzieci i miss Bell, które po skończo-

nem przedstawieniu w Cinema-Pathé, wiedząc, gdzie szukać mamusi (bo je powiadomiła o celu swego spaceru ze mną), poszły na nasze spotkanie. Jakoż, ledwośmy minęli latarnię morską, rzekła pani Helena:

— Widzi pan, kto idzie ku nam?

— Szkoda, bo myślałem właśnie, że teraz na mnie kolej, by się odwzajemnić szczerością.

— Co się odwlecze, to nie uciecze. A tymczasem zacznijmy rozmawiać o tem zachodzącem słońcu...

I na tem się skończyła nasza dzisiejsza rozmowa. Myślałem, że wieczór spędzimy razem, ale pani Helena, »pomimo najszczerzych chęci«, nie chciała przystać na to. Trzeba zachować pozory. Ach, te pozory!... Spotkamy się dopiero jutro na plaży, a wieczorem pójdziemy do teatru, bo artyści z *Komedji francuskiej* grają *On ne badine pas avec l'amour*, i pani Helena prosiła mnie (przy dzieciach), bym na to przedstawienie kupił bilety.

7 września. Sobota.

Godzina 2-ga w nocy. Mimo to zasiadam do pisania. Jestem tak wzburzony i podniecony, że o spaniu niema mowy.

Przed chwilą wróciłem z kasyna, gdzie cały wieczór, aż do wpół do 2-giej spędziłem z panią

Helena. Ona wróciła do siebie, a ja nie przesadzę wcale, gdy powiem, że biłbym głową o mur, gdybym wiedział tylko, że mi to przyniesie jakąś ulgę. Nie chcę być patetycznym, więc nie będę wyzywał losu, że niemiłosiernie mści się nademną, ale będę szczerzy zupełnie, gdy powiem poprostu, że się czuję bardzo, bardzo nieszczęśliwym!

Powiada Dante, że

nic tak nie boli,

Jak o dniach szczęścia wspominać w niedoli.

Ja w tej chwili znam boleść większą: to myśleć o szczęściu, które samo garnęło się do ciebie, a któreś ty, głupi, odepchnął dobrowolnie, by je utracić na zawsze. Mieć świadomość, że się mogło być szczęśliwym w tem życiu, a nie jest się nim jedynie z własnej winy, że mogąc wybierać pomiędzy dołą a niedołą, w dziwnem zaślepieniu wybrało się niedolę: czyż może być coś smutniejszego nad takie przeświadczenie?

A ja właśnie po dzisiejszym wieczorze nabrałem tego przekonania o sobie!

Stosownie do naszej umowy oczekiwałem na panią Helenę o wpół do 8-ej przed wejściem do kasyna. Stawiła się punktualnie co do minuty, a gdy odprawiła automobil, rozkazawszy szoferowi, by po nią przyjechał po 12-tej, zaraz przeszliśmy na taras, bo jeszcze mieliśmy pół godziny do rozpoczęcia przedstawienia.

Bez kapelusza na głowie, prześlicznie uczesana, choć bez żadnych ozdób we włosach, w długiej pelerynie z czarnych soboli, w czarnej koronkowej sukni, lekko wyciętej, z perłami na szyi i w uszach, zupełnie bez żadnych brylantów ani kwiatów, pani Helena wyglądała cudnie, ale jakby żałobnie, bo tylko jedne perły trochę się odcinały od ogólnej czerni stroju, ale cóż z tego, kiedy patrząc na perły, choćby najpiękniejsze, mimowoli się myśli o zakrzepłych łzach! Nawet na ręku nie miała ani jednego pierścionka z brylantem: tylko ślubną obrączkę i pierścionek z dwiema dużymi perłami: ciemną i jasną.

Naturalnie, że mię to wszystko uderzyło zaraz na samym wstępie, i natychmiast przyszło mi na myśl, czy pani Helena, ubierając się w ten sposób, nie chciała mi symbolicznie dać do poznania, że ten czarny strój najlepiej odpowiada jej smutnemu usposobieniu. Zauważyłem jednocześnie, zaraz po pierwszej wymianie zdań, że robiła wrażenie przygnębionej moralnie, jakby jej coś ciążyło na sercu, że była jakby pod wpływem jakichś złych przeczuć, lub obawy przed czemś, co ją czekało niechybnie.

— Co pani jest? Jakaś pani dziwna! zapytałem wreszcie, gdyśmy doszli do końca tarasu, gdzie już nie było nikogo.

— Smutno mi jakoś: sama nie wiem czemu.

— Może jakie niedobre nowiny?

— Owszem, miałam list od męża. Wszystko dobrze.

— Czy bardzo czuły?

— Bardzo: jak zwykle. Już zaczyna tęsknić za mną. Cały dzień, gdy jest zajęty interesami, jeszcze sobie daje rady, ale wieczorem, to ledwo się nie skreśli, tak mu brak mnie i dzieci. Pisze, że zupełnie ma wrażenie, jakby był starym kawalerem, który wieczorem boi się wracać do pustych ścian...

— Cóż ja mam powiedzieć, który jestem takim starym kawalerem?

— Pańska wina, że się pan nie ożenił, kiedy był czas po temu.

Chciałem odeprzeć ten dotkliwy zarzut, ale w tejże chwili rozległ się głośny dzwonek elektryczny, na znak, że przedstawienie rozpocznie się za parę minut.

Mieliśmy dwa doskonałe fotele w drugim rzędzie, pierwsze z brzegu przy środkowym przejściu, a spektakl był świetny pod każdym względem. Pani Helena zachwyciała się niezrównaną grą artystów, zwłaszcza podobała jej się pełna poezji Bartet. Na antrakty przechodziliśmy do salonów gry, co nam znowu najniespodziewaniej przyniosło kilkaset franków zysku.

— Byłem pewien, mówiłem, gdyśmy wracali do sali teatralnej, że pani dziś nie będzie miała szczęścia w grze.

— A to czemu?

— Bo kto jest tak kochany, jak pani... przezemnie...

Ostatnie oświadczenie wymówiłem z naciskiem, przyczem taki wyraz nadałem memu wzrokowi, żeby oczy mówiły więcej jeszcze, niż powiedziały usta. Lecz słowa te, choć na nie w danej chwili całkiem nie była przygotowaną, choć na nią spadały niespodzianie, bez żadnych wstępów, nie uczyły na niej, dziwna rzecz, oczekiwanego wrażenia. Uśmiechnęła się tylko, jakby sama do siebie, ale był jakiś bolesny smutek w tym uśmiechu, i zapytała ze spokojem nie pozbawionym lekkiego odcienia ironji i... niedowierzania:

— Przez pana?

— Tak, przezemnie.

— Nie musi pan być tak bardzo zakochany, skoro Fortuna jeszcze się nie odwróciła odemnie. Wiadomo zaś, że ta bogini jest w złej komitywie z matką Amora i nie lubi się z nią spotykać.

— Widocznie jednak pani jest w łaskach u obu bogiń.

— Zaraz panu wytłómaczę: dlaczego?

— Ciekawym.

— Bo pańska miłość, wyznana obecnie, bądź co bądź przyszła nie w porę.

Tu spojrzała na mnie szeroko rozwartemi oczyma, wymownie, ale jakby z wyrzutem.

— Jak mam to rozumieć?

— Dosłownie: tak, jak powiedziałam. Nie ulega

wątpliwości, że miłość pańska, o ile zrodziła się dopiero teraz, spóźniła się przynajmniej o całych lat dwanaście, bo przysłała w chwili, gdy z niej już nic nie przyjdzie ani mnie, ani panu. Oto, dla czego Fortuna sprzyja mi przy hazardzie: ona wie z góry, że mnie Wenus musi opuścić wkońcu.

— Niech mi to pani jaśniej wytłómaczy, rzekłem trochę urażony.

— Pomówimy o tem obszerniej... po teatrze.

Naturalnie, że wobec takiej obietnicy przez cały ostatni akt, choć oczyma niby patrzyłem na scenę, myślą byłem nieobecny i nieprzytomny, tak, że właściwie nie widziałem, ani słyszałem grających aktorów. Czułem tylko, że przy mnie siedzi pani Helena, która również zdawała się być roztargnioną, i nie mogłem się doczekać spuszczenia kurtyny.

Gdy wreszcie skończył się spektakl, gdy publiczność opuszczała salę (w której natychmiast zaczęto rozsuwać krzesła, bo za kwadrans miał się rozpocząć bal tańczący), zaproponowała mi pani Helena, byśmy trochę wyszli na taras, bo po tropikalnej temperaturze, tak dojmującej przez cały czas przedstawienia, przedewszystkiem pragnęła zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na tarasie rzeczywiście był raj pod tym względem, chłodzony rozkosznym powiewem od morza. Gdyśmy siedli na jednej z najbardziej oddalonych ławek, pani Helena, otulając się swą futrzaną peleryną, rzekła pierwsza:

— Śliczny był teatr, ale tu mi lepiej. A panu dobrze?

— Jakże mi może być źle, skoro jestem z panią, przy pani.

To mówiąc, przysunąłem się do niej, tak, że przez rękaw poczułem miękkość sobolowej sierści.

— Czy rzeczywiście tak panu dobrze ze mną? zapytała, nie odsuwając się odemnie.

— Jakże pani nawet może pytać się o to, odrzekłem, zdejmując kapelusz, który, choć słomkowy i lekki, ciążył mi na głowie. Gdy jesteśmy razem, czuję się szczęśliwym, gdy jesteśmy rozdzieleni...

— Niech pan nie kończy tego pustego frazesu, bo mógłby pan powiedzieć za wiele i nieprawdę w dodatku.

— Jakto?

— Niech pan nie zapomina o tem, że rozdzieleni jesteśmy zawsze, stale, a tylko przypadkowi mamy do zawdzięczenia, że chwilowo znaleźliśmy się razem, t. j. w jednej miejscowości. Niech więc pan nie mówi — bo to chciał pan powiedzieć — że się pan czuje nieszczęśliwym w rozłące ze mną, gdyż musiałabym uwierzyć, że będzie nim pan i po powrocie do Paryża, a temu, proszę mi wybaczyć, nie mogę dać wiary.

— Chwyta mnie pani za słowa, którym tendencyjnie nadaje pani rozleglejsze znaczenie, niż to, które ja miałem na myśli. Kto wie jednak, czy pani w tej chwili nie przepowiedziała mi mojej naj-

bliższej przyszłości, bo choć jeszcze nie zastanawiałem się nad tem, to jednak wiem z góry, jaki będzie mój powrót do Paryża... bez pani.

— Zapomni pan o mnie równie prędko, jak pan zapomniał przed dwunastu laty, gdy mnie pan zostawił w Warszawie na łasce losu.

W głosie jej, gdy wymawiała dobitnie ostatnie słowa, drgał taki odcień urazy, ba, niedarowanej krzywdy, że nie wiedział na razie, jak zaprzeczyć jej oskarżeniu, jak złamać jego zatrute ostrze.

— Co pani rozumie przez takie bolesne dla mnie nad wyraz powiedzenie?

— Chce pan, żebym była szczerą? żebym panu powiedziała całą prawdę, bez żadnych ogródek i obłónek?

— Nietylko chcę, ale proszę panią o to.

To rzekłszy, ujął ją za rękę.

— Kiedy tak, odparła z przeciągłym westchnieniem, to powiem panu wszystko odrazu, w dwóch słowach. Oto mam żal do pana, żal na całe życie, że się pan nie ożenił ze mną!

— Co pani mówi? krzyknąłem prawie, jakby z bólu, bom nagle doznał takiego wrażenia, jakby mi ktoś sztylet wbił w serce. Jakto? więc pani była gotową zostać moją żoną?!

— Pragnęłam tego całą duszą. Co tu ukrywać: kochałam pana, a pan tymczasem, nie wiem dlaczego, wzgardził mojem uczuciem.

Tu nastąpiła dłuższa chwila milczenia, bo obojgu

nam głos zamarł w piersiach. Przed oczyma zamigotało mi tysiące gwiazd, a na rozpalone czoło wystąpiły krople potu, którem machinalnie ocierał zimną dłonią. Pani Helena też siedziała, jakby obezwładniona, z oczyma zapatrzonemi w ziemię, jakby coś czytała na asfalcie tarasu. Trudno zdać sprawę z uczuć, które mną wstrząsały kolejno, a które i teraz spędzają mi sen z powiek... Na razie byłem jak otumaniony, jak uderzony obuchem. Dopiero uspokoiwszy się nieco, gdym już zdołał zapanować nad wzruszeniem, rzekłem, zbierając rozprószone myśli:

— Jak pani może przypuszczać nawet, żem ja wzgardził miłością pani! Cała moja winą polega na tem, żem nie przypuszczał w przystępie rozgoryczenia i żalu, by mię pani kochała naprawdę. Owszem, gdy opuszczałem Warszawę, przekonany zresztą, że nie wyjeżdżam na stałe, byłem pewien, że pani nie kochała mnie nigdy, że mię pani kochetowała jedynie, tak samo zresztą, jak innych. Nie wierzyłem, nie mogłem uwierzyć w miłość pani dla mnie, widząc, jak pani postępowała ze mną, jak się pani naigrawała z mojego uczucia.

— Niech mnie pan nie oskarża w ten sposób, bo mię pan tem krzywdzi niegodnie. Przyznaję, że moje postępowanie czasami nie było nienagannem, żem nieraz zawiniła zbytkiem kokieterji względem innych... Ale gdyby pan był wyrozumialszym...

— Jak miałem być wyrozumiałym, kiedy mnie

pożerała zazdrość, kiedy mię pani drażniła swem wyzywającym postępowaniem.

— Nie trzeba było wszystkiego brać tak tragicznie. Byłam młoda, płocha, upojona powodzeniem, a wreszcie zepsuta tym darem kokieteryj, której skuteczność aż wprowadzała mię w zdumienie. Należało uwzględnić te pierwsze porywy dziewczęce... Znał mnie pan od dziecka, a więc wiedział pan, że mam pocziwy charakter, że nie jestem złą i przewrotną. Wiedział pan zresztą, że zawsze cieszył się pan moją wyjątkową sympatją. Wiedział pan nawet, że pana kocham, bom o tem panu sama raz powiedziała w Zakopanem, przy fortepianie, po czwartej balladzie Chopina.

— Wszystko to brałem za objawy kokieteryj.

— I słusznie całkiem, bo kobieta nie jest zalotną wobec mężczyzny, który nie zasługuje na to wyróżnienie, na ten zaszczyt. Powtóre kobieta kokietuje często w celu wypróbowania swego wybranego, by się przekonać, czy ją kocha istotnie. Niech mi pan wierzy, że ja nieraz, gdy chodziło o pana, właśnie dlatego uciekałam się do kokieteryj! Choć zdawało mi się, że znam pańskie serce, to jednak nie byłam bezwzględnie pewną miłości pana dla mnie. Czasem odnosiłam wrażenie, że mnie pan uważa tylko za swój literacki ideał, że mię pan kocha więcej głową, niż sercem. Wobec podobnych niedowierzań, gdy się nadarzyła sposobność, z całą pasją kokietowałam innych, na przekór

panu, a gdym widziała, że pan jest podrażniony, smutny, że chodzi pan jak struty, cieszyłam się serdecznie, bo miałam dowód, że mnie pan kocha nie po literacku, nie dla romantycznej pozy, ale rzetelnie, po ludzku, po męsku. A że pan cierpiał z mojego powodu, to mi nie napędzało wyrzutów sumienia, bo nic tak nie pochlebia kobiecie, nic tak nie łechce jej próżności, jej ambicji, gdy sama jest zakochaną, jak to, że mężczyzna cierpi z miłości dla niej.

— Dziwna ambicja!

— Niech pan nie zapomina zresztą, że i pan ze mną nieraz postępował tak samo.

— Nie przypominam sobie nic podobnego.

— Jakto? Nie pamięta pan, jak panu robiłam wymówki z powodu pańskiej przyjaźni z Lüdową i innemi aktorkami?

— Lüdowa grała główną rolę w mojej bluetce dramatycznej, która w znacznej części, jej koncertowej grze z Rapackim, zawdzięczała swe powodzenie w *Rozmaitościach*; więc nie mogłem być nieuprzejmym względem niej, gdy mię wyróżniała wśród innych. A zresztą każdy autor, mający do czynienia z teatrem, jest dobrze z artystkami, grającemi role w jego sztukach.

— Szczególniej, gdy są przystojne i łatwe. W każdym razie i ja miałam powody, by o pana być niespokojną i zazdrosną, zwłaszcza, że i z innemi warszawskimi pięknościami był pan w wiel-

kiej zażyłości, com nieraz obserwowала podczas antraktów w Filharmonji lub w operze. Jakże wobec tego nie miałam znajdować pewnej satysfakcji w drażnieniu pańskiej zazdrości? To był mój rewanż, rewanż za te niestałości, o które posądzałam pana...

— Niesłusznie!

— Wszystko jedno, słusznie czy nie. Dość, że byłam zazdrosną o pana, i ja również, że pana nie chciałam stracić, że nie chciała dzielić się panem z innemi. Musiałam mieć i miałam pretensję do tego, że jest pan *mój*: szczyciłam się panem, gdy pan święcił swe pierwsze literackie triumfy...

— I dlatego z zapalem, godnym lepszej sprawy, nie hamowała się pani w zapędach swej wrodzonej kokieteryj.

— Proszę mi wierzyć jednak, że kokietując innych, właściwie kokietowałam pana, by w panu podniecić miłość ku mnie. Czułam, że mnie pan kocha, ale chciałam, żeby pan szalał za mną, żeby pan nic nie widział poza moją osobą.

— Złą pani obrała drogę. Bo ja poza panią przedewszystkiem widziałem tych, których pani wyróżniała moim kosztem, w moich oczach, w mojej obecności! Patrząc na te flirty, poprostu oskarżałam panią o brak serca, a nawet o złe serce!

— Nie trzeba być tak surowym w sądzeniu ludzi, zwłaszcza kobiet, a zwłaszcza tej, którą się

kocha. Prawdziwa miłość jest zawsze pobłażliwą i przebaczącą,

— Łatwo to mówić, ale trudno wymagać od 25-letniego zapaleńca, jakim ja byłem wówczas, bym z takim filozoficznym spokojem patrzył na swą ubóstwianą, jak się przymiła do innych, jak ich zdawała się przekładać nad tego, który za nią tymczasem wodził smutnym wzrokiem, nieszczerliwy i trawiony zazdrością.

— Nietyle zazdrością, która jest poczuciem, jeżeli nie swej słabości, to w każdym razie przewagi rywala, ile miłością samolubną...

— Każda prawdziwa miłość jest egoistyczną.

— Ale nie wolno być pospolitym samolubem, gdy się jest człowiekiem niepospolitym. Pan zawsze nim był w moich oczach, nawet wtedy, gdy jeszcze nie stał się pan sławnym. Zawsze mi pan imponował jako indywidualność wybitna, *hors ligne*...

— Lecz wobec tego należało mi się więcej względów, a tymczasem pani nie jeden raz po prostu znęcała się nademną.

— Tak źle nie było nigdy. Tylko pan zbyt dramatyzował wszystko: miał pan za bujną wyobraźnię, chorobliwie wyolbrzymiającą moje rzekome winy. To, co pan brał za zimne znęcanie się nad sobą, za okrucieństwo z mej strony, za złe serce, było prostą chęcią zabawy, trochę dziecinne, a w każdym razie czysto kobiecym rwaniem się do życia, zrywaniem się do lotu, do którego pró-

bowalam swych ledwo upierzonych skrzydeł. Każda młoda i ładna panna przechodzi taką fazę, gdy z podlotka staje się kobietą. Byłam szczęśliwą, że mi tak nadskakiwali wszyscy, a pan okazał się złym psychologiem, nie zauważywszy tego, że wtedy nawet, gdy mię otaczali inni, całkiem inaczej, niż wobec nich, zachowywałam się względem pana. Przedewszystkiem tych innych, niech pan sobie przypomni, zawsze musiało być kilku, nigdy jeden!

— To rzeczywiście uszło mej obserwacji.

— Niedość, że pan zawsze miał wyjątkowe przywileje u mnie, ale prostu czekała tylko na to, by mi się pan oświadczył nareszcie. Planowałam sobie, że skoro już będziemy po słowie, gdy zacznę występować w roli pańskiej narzeczonej — czego i rodzice moi i bracia bardzo sobie życzyli — wtedy zmienię się odrazu, nie będę już kokietowała nikogo, żeby panu tem nie sprawiać przykrości. Ale pan nie oświadczał się jakoś. Więc szukałam sposobu, żeby doprowadzić pana do wybuchu, nie do wybuchu zazdrości, do której, nie będąc zaręczonym ze mną, nie miał pan prawa, ale do wybuchu udręczonej miłości! Kochał mię pan, wiedziałam o tem; ale trzeba mi to było powiedzieć wyraźnie, oficjalnie.

— Nie mogłem się na to zdobyć: bałem się prostu. Była pani za piękna, za bogata, za świetna. Nie należy zapominać, że jako młody literat i dziennikarz, nie byłem partją dla pani. Pani była panną

z pałacu, ja z matką i siostrą mieszkałem w oficy. Pani była jedną z najbogatszych panien w Warszawie, a ja, choć od szkół zaprzyjaźniony z braćmi pani, byłem tylko nauczycielem literatury. Kochałem panią, alem się bał, że prosząc panią o rękę, mogę sięgnąć za wysoko.

— Czy nie zauważył pan jednak, żem nieraz z mej strony czyniła bardzo wiele, by panu ułatwić oświadczyzny? Żem tak starała się kierować rozmową, by zrobić miejsce na deklarację? Lecz pan, dziwna rzecz, nie rozumiał tego, czy też nie chciał się domyślać. Widocznie pan nie chciał ponosić nawet najmniejszego ryzyka, nie chcąc narażać swej miłości własnej, lękając się odmowy. Proszę się przyznać szczerze: jednak pan siebie kochał więcej, niż mnie.

— Skłamałbym, gdybym potwierdził to przypuszczenie pani. Ale przyznaję, że nie będąc pewnym przychylności ze strony pani, nie chciałem się wystawiać na porażkę. Nie przeżyłbym tego!

— Tylu przeżyło podobne niepowodzenia, przeżyłby je i pan. A zresztą był pan bliski zwycięstwa, nie groziła panu żadna klęska. Ale pan wołał być Hamletem i Otellem w jednej osobie, niż zdobyć się na czyn, na jedno słowo, któreby odrazu wyjaśniło i rozjaśniło całą sytuację.

— Nie przeczuwałem tego, niestety!

— Ale natomiast potrafił pan zdobyć się na nagły wyjazd z Warszawy, na wyjazd bez poze-

gnania ze mną, bez wytłómaczenia mi powodów takiego brutalnego postępuku, bez chęci dowiedzenia się odemnie, jak ja się mogę zapatrywać na taką... ucieczkę! Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak straszny cios ugodził w me serce, przez to, żem tak została porzucona bez pardonu. Możem nie była bez winy względem pana, ale nigdy nie zasłużyła na taką karę, na takie zlekceważenie moich najdroższych uczuć. Niech pan uderzy się w piersi, a przyzna pan, że nie godziło się tak postąpić ze mną, która chciałam być żoną pana, z panem przejść przez życie!

— Przepraszam, że pani przerwę na chwilę, ale skoro jest niby podsądny, niechże mi będzie wolno przemówić i na swoją obronę.

— Słucham.

— Zapomina pani, w jakich okolicznościach nastąpił mój nagły wyjazd. Proszę sobie przypomnieć ostatnie wakacje w Zakopanem, które nas tak zbliżyły do siebie, a mnie napoiły taką otuchą, taką wiarą w szczęście, które z miłości pani miało spłynąć na moje życie! Choć nie oświadczyłem się wtedy, to jednak i bez tego uważałem się po-
niekąd za narzeczonego pani, tak, jak nas zresztą wszyscy uważali za narzeczonych. Nie oświadczyłem się formalnie, ale proszę sobie przypomnieć choćby te moje sonety, którem tego lata pisał pod wpływem mej miłości ku pani, a które pani ma wpisane w swym albumie, i proszę powiedzieć

czy te erotyki nie mogły starczyć za oświadczyzny?... Bądź co bądź, gdyśmy po Zakopanem znaleźli się z powrotem w Warszawie, zacząłem nabierać błogiej pewności, że wszystko jest na najlepszej drodze, że maluczko, a dojrzeje owoc moich marzeń. Lecz przyszedł karnawał, a pani nie tylko dała się porwać wirowi balów, ale w tym wirze z wolna oddalała się pani odemnie...

— Nieprawda, zdawało się panu tylko.

— W każdym razie miałem wrażenie, że pani przestaje zależeć na mnie: przestała się pani liczyć ze mną...

— Niech mi pan wierzy, że nigdy nic podobnego nie powstało mi w głowie.

— Inaczej kazały mi sądzić te bale, prywatne i publiczne, na których ja czułem się tak nieszczerśliwym przeważnie, a na których pani bawiła się tak świetnie... z innymi!

— Alem się tylko bawiła wesoło, nic więcej. Tańczyłam, podobałam się, byłam rozrywana, komplementowana, pasowana na królowę balów, a że pan stał ponury we drzwiach salonu, i zamiast hasać ze mną, na równi z innymi, trzymał się pan zdaleka, nie prosił mnie ani do kadryla, ani do kotyjlona, i ledwo na początku raczył powalcować ze mną, to jeszcze nie powód, żebym ja miała rezygnować z sukcesów, tembardziej, że był to naprawdę mój pierwszy karnawał.

— Wszystko to prawda, lecz wkońcu, nacier-

piawszy się dosyć, zdobyłem się na chwilę rozpaczliwej odwagi: powziąłem niezłomne postanowienie, że się oświadczę pani.

— Kiedyż to było?

— Na tym balu, na którym widzieliśmy się po raz ostatni.

— Na tym wieczorze nie przetańczył pan ze mną ani razu.

— Tak, ale kiedym po skończonym walcu poprosił panią do kadryla, a potem do kolacji...

— Powiedziałam panu, że do kadryla i do kolacji jestem już proszoną, ale mogę ofiarować panu przy stole miejsce po drugiej stronie obok mnie. Nie mogłam uczynić nic więcej, skoro mię pan prosił tak późno.

— Może pani istotnie nie mogła postąpić inaczej, ale tę propozycję, bym przy kolacji usiadł obok pani po lewej stronie, gdy kto inny miał siedzieć po prawej, wziąłem za osobistą obrazę, za zlekceważenie mnie, za naigrawanie się z mojej miłości.

— Wszystko pan widział fałszywie: układał pan dramat, ba, tragedję, tam, gdzie była zwykła zabawa, którą, nawiasem mówiąc, popsuł mi pan zupełnie; bo skoro pan przy kolacji nie zajął miejsca obok mnie, lecz na drugim końcu stołu, gdzie pan siedział, jak skazaniec, to mi pan tem zwarzył moją wesołość, nie tylko na czas wieczery, ale i na resztę nocy.

— Tegom nie zauważył przy kolacji, owszem, widziałem, że się pani doskonale bawiła ze swym towarzyszem, a że ten towarzysz był pierwszorzędną partją, jako epuzer, i to ze wsi, co wtedy miało specjalny walor na rynku małżeńskim, więc jeszcze nie zdążyłem wstać od stołu, a jużem nabrał pewności, że mam do czynienia z rywalem, i to z rywalem na serjo.

— Tymczasem nie był to żaden rywal dla pana, lecz zwykły tancerz, niezrównany w oberku, zresztą miły i elegancki młodzieniec, z którym jednak przy owej kolacji nie wiele miałam sobie do powiedzenia. Ciągłe mię gnębiła troska o pana: nie mogłam myśleć o czem innem, tylko o tem, że pan nie usiadł przy mnie, lecz gdzieindziej, że pan siedział błady, jak potępieniec, słowa nie mówiąc do nikogo! Obserwując pana przez cały czas, zrozumiałam, że jest pan zagniewany na mnie, więc zaraz po kolacji chciałam podejść do pana, wziąć pana na stronę, rozmówić się i udobruchać mego zazdrośnika, a wreszcie na przeprosiny zaproponować panu kotyljona, do którego umyślnie nie dałam się już zaprosić nikomu. Ale pan uciekł zaraz po skończonej kolacji. Napróżno szukałam pana po wszystkich pokojach, aż wkońcu dowiedziałam się od służby, że pan... wyszedł. Gdym wracała do sali, odrazu mnie ogarnęło jakieś złowrogie przeczucie, że to pańskie nagłe wyjście z balu, bez pożegnania się ze mną, bez powiedzenia mi słowa,

jest zapowiedzią czegoś złego, jakiegoś nieszczęścia, jakiejś katastrofy! Zaczęłam żałować, że ostatecznie z panem nie poszła do tej nieszczęsnej kolacji, bo temu mojemu wiejskiemu adoratorowi, który mię nudził swemi banalnymi komplementami, mogłam być dać jakąś wymówkę. Ale stało się już, więc tylko nie traciłam nadziei, że wszystko naprawię przy najbliższem spotkaniu. Tymczasem tak straciłam humor, tak mię odleciała ochota do dalszej zabawy, iż gdy zagrano przygrywkę do kotyjlona, do którego nie miałam tancerza, prosiłam matkę, byśmy pojechały do domu, tłumacząc jej, że jestem bardzo zmęczona, że mi niedobrze. Jakóż wyniosłyśmy się po angielsku, ale do rana nie zmrużyłam oka, wciąż myśląc o panu, o tem, że się pan rozgniewał na mnie i wyszedł rozżalony z mojego powodu. Ale że jeszcze w tym samym tygodniu był w rezursie kupieckiej »bał niezapominajek«, na którym, wiedziałam, że się spotkamy, bo figurował pan na liście gospodarzy, więc po-wzięłam zamiar, by dla pana zarezerwować kadryla i kolację, które byłam zdecydowana ofiarować panu sama, a podczas kolacji tak poprowadzić rozmowę, żeby mię pan prosił o rękę. Z góry byłam pewna, że mi się uda mój projekt, że mi się pan oświadczy bezwarunkowo, choćbym to miała osiągnąć przez uczynienie pierwszego kroku w tym kierunku. A tymczasem byłam ciekawa, jak się pan zachowa względem mnie, gdy się spotkamy na tym balu?

Czy będzie pan udawał zagniewanego, czy też przywita się pan ze mną, jakby nigdy nic? Wrazie, gdyby pan był chmurny, chciałam przeprosić pana pierwsza, słowem, dać panu wszelką satysfakcję, choćby nawet kosztem pewnego upokorzenia. Albowiem był to mój ostatni bal w tym karnawale, więc chciałam, byśmy z tego balu wyszli jako narzeczeni. Swoją drogą byłam pewna, że jeszcze przed balem zjawi się pan u nas, by mię prosić do niektórych tańców, do kolacji. Lecz nie przyszedł pan ani w przeddzień, ani w sam dzień balu, co mnie już przyprawiło o niepokój. Gdym szła na bal, gdym już była ubrana w śliczną bladoniebieską suknię koloru niezapominajki, rzekł mi ojciec, zachwycony moim wyglądem: »No, jeżeli dzisiaj ci się ten twój literat nie oświadczy, to już chyba nigdy!« Może więc pan sobie wyobrazić, co się działo ze mną, gdym pana nie zastała na tym balu... Płakałam w karecie, gdyśmy wracali do domu, a nazajutrz dowiedziałam się z *Kurjera*, że pan wyjechał na czas dłuższy do Paryża... Bez pożegnania ze mną!...

Słuchając tego opowiadania, którego każde słowo uświadamiało mi tragizm mojej życiowej omyłki, nie widziałem nic, co się działo dookoła nas, dopiero, gdy pani Helena umilkła na chwilę, spostrzegłem, że na tarasie było pusto, i usłyszałem odgłosy muzyki cygańskiej, dochodzące przez otwarte drzwi sali restauracyjnej.

— Nie myślałam jednak, ciągnęła dalej pani Helena, by pan wyjechał na zawsze. Łudziłam się nadzieją, że pan wróci po kilku tygodniach, po kilku miesiącach ostatecznie. Ale mijały tygodnie, miesiące, a od pana nie było żadnych wiadomości. Co pan sobie myślał, milcząc tak uporczywie, i tak zatarłszy wszelki ślad za sobą, że nikt nie wiedział nawet o adresie pańskim w Paryżu?

— Com myślał? com robił? Dużoby o tem mówić!

— Proszę, niech mi pan powie. Po wszyskiem, czego się pan przed chwilą dowiedział odemnie, należy mi się chyba, bym i ja czegoś dowiedziała się od pana.

— Wstyd mi się przyznać do moich myśli i uczuć, które musiały być krzywdzące dla pani, skoro nie powróciłem do Warszawy. Ale się zaciął w mem niesłusznem — jak teraz widzę do piero — oburzeniu, a raz będąc w takim nastroju, nie czyniłem nic, by odzyskać utraconą wiarę w panią. Raczej czyniłem wszystko, by zapomnieć o pani, by tę fatalną miłość, którą płonąłem ku pani, wypłenić ze szczętem, jak pasożytny chwast!... Gdym przyjechał do Paryża, którego nie znałem był przedtem, przedewszystkiem uległem jego powierzchniowemu urokowi. Porwany życiem tej stolicy świata, w krótkim czasie odzyskałem równowagę i spokój, a nawet — bo czemu bym pani nie miał powiedzieć i tego — poczułem się jak ptak,

który uciekł z klatki. Miałem uczucie jakby odzyskanej wolności: jakby mi niesłychany ciężar, pod którym uginałem się przygnieciony, nagle zdjęto z ramion. Byłem zadowolony z siebie, że się potrafił zdobyć na tyle siły woli i charakteru. Wyobrażałem sobie, że jestem jak Tannhäuser, który się wyrwał z upajających objęć Wenery. Jak Ulyses, gdy mu się udało oprzeć kuszącemu śpiewowi syren, doznawałem uczucia wyzwolenia, wydostania się z jakiegoś zaczarowanego koła, w którym mi groziła zagłada, mnie i mojemu talentowi. Jak niewolnik, gdy zdołał potargać krępujące go pęta, tak i ja poprostu cieszyłem się z mojego postępu, winszowałem sobie, że zdołał przezwyciężyć rzecz najtrudniejszą do zwalczenia, bo nieprzeparty urok kobiety. Wmawiałem w siebie, że odniósł świetne zwycięstwo nad... sobą samym, nad swą własną słabością i namiętnością. W Warszawie zdawało mi się zawsze, że nie mógłbym żyć bez pani, a tymczasem w Paryżu przekonywałem się codziennie, że to jest całkiem możliwem. Wmawiałem w siebie, że w najlepszym razie, gdyby pani wkońcu została moją żoną, byłoby to ze szkodą moich upodobań i zamiłowań literackich, lecz jednocześnie byłem przekonany, iż nie doszłoby do tego, na szczęście: bo, jako zbyt świetną pannę, nie danoby mi pani za żonę, co najwyżej danoby mi... kosza! Tymczasem zacząłem stawiać me pierwsze kroki na niwie literatury francuskiej, uwieńczone niespodzie-

wanem powodzeniem. Nie upłynął rok, a już miałem przedsmak sławy i jej przywilejów na gruncie paryskim. Zacząłem mieć powodzenie w świecie salonów...

— U kobiet.

— Skłamałbym, gdybym się zapierał powodzenia i na tem polu, ale były to zawsze krótsze lub dłuższe miłostki, w które nie kładłem serca. Serce moje, choć pozornie uleczone z pierwszej miłości, nie sprzeniewierzyło się pani ani razu. Nie kochałem już pani, a przynajmniej byłem przekonany, iż wkońcu stała mi się pani obojętną, ale też nie pokochałem żadnej innej... W podobnych warunkach, polubiwszy życie paryskie, przestałem myśleć o powrocie do Warszawy, gdzie zresztą, jak wiadomo, z powodu skandalów z *Obłudą* nie tęskniono za mną. Tem samem przestałem myśleć i o pani. Kiedy po dwóch latach otrzymałem zawiadomienie o ślubie pani, przyznaję, iż to nie zrobiło na mnie silniejszego wrażenia. Zdziwiłem się tylko, że na kopercie poznałem charakter pisma pani. Przypadek zdarzył, że w kilka dni potem, jak wysłałem depeszę gratulacyjną, gdym w *Café de la Regence* przeglądał polskie dzienniki, trafiłem w *Słowie* na opis ślubu pani w katedrze św. Jana, ślubu, który jakby przez ironję dawał arcybiskup Popieł, mój • daleki krewny. Uśmiechnąłem się na myśl, że ten arcybiskup mimowoli musiał pani przypomnieć tego, który nosił to samo nazwisko, a który jeszcze nie-

dawno marzył o szczęściu, by panią poprowadzić do ołtarza. Z tego opisu w *Słowie* dowiedziałem się, że wyszła pani za mąż świetnie, że małżonek pani nie tylko jest milionerem, ale i wybitnym obywatelom kraju, a czytając o tem wszystkiem, jeszcze raz utwierdziłem się w przeświadczeniu, że postąpiłem mądrze i roztropnie, usuwając się pani w porę z drogi, bo w przeciwnym razie byłbym się spotkał z wielkiem upokorzeniem mojej miłości własnej.

— Gdyby nie ta nieszczęsna miłość własna, która zawsze jest najniebezpieczniejszym wrogiem miłości, a której, niestety, zbyt pan był uległy, wszystkoby wzięło inny obrót. A tak, wtedy, gdy pan swobodnie używał w Paryżu, w mojem życiu rozegrała się tragedia! Nie mogłam uwierzyć, gdy pan wyjechał nagle, żeby pan mógł nie wrócić nigdy. Tą wiarą żyłam przez dwa lata, aż do samego dnia ślubu! Tak, gdyby nie ta pańska wygórowana miłość własna, która li tylko pod wpływem podrażnionej wyobraźni zmieniała się w obrażoną dumę, obrażoną niesłusznie, bez dostatecznego powodu, byłby pan postąpił inaczej, rozumiej, powiem nawet — proszę mi darować to wyrażenie — pocziwiej i uczciwiej! Nie przekonawszy się dowodnie, czy istotnie jestem tak przewrotną, jak mię pan posądzał o to, rzucił mnie pan, jak się nie rzuca kobiety kochanej, bez nabrania pewności, że te krzywdzące pańskie posądzania były uzasadnione i słuszne. Nie będąc pewnym mej

przychylności, wołał pan przykrą niepewność, niż zdecydowaną pewność, że kocham tylko pana, choć się bawię z innymi, choć mi zależy na podobaniu się i innym także, do czego zresztą, jako kobieta, mam najzupełniejsze prawo. Wystarczyło panu niepochlebne pańskie mniemanie o mnie, i to chwilowe, wywołane przystępem zwątpienia, a raczej zdenerwowania, by na tej kruchej podstawie, bez należytego zbadania obwinionej, i ją i siebie, a w każdym razie naszą miłość, skazać na śmierć, i to bez żadnej apelacji, bez możliwości skasowania wyroku, bez możliwości ułaskawienia niewinnej!... Tak, panie, okazał się pan okrutnym, nieludzkim sędzią, a nawet sędzią zaślepionym, bezmyślnym, albowiem nie spostrzegł się pan w zbytym ferworze, iż straszna kara, na jaką pan skazał mnie, miała dosięgnąć i pana, pana przedewszystkiem! Powiada pan, że się pan nie chciał narażać na odmowę, na *kosza*! Bał się pan, bym nie powiedziała panu, jak Maryla w *Dziadach* Gustawowi, że cię wiecznie będę... wspominać, ale twoją być nie mogę! Pewno, że nie musi to być przyjemnem, gdy się ma perspektywę takiej sceny, ale w życiu, a zwłaszcza w miłości, trzeba czasami z dumy swej zrobić ofiarę. Bo inaczej można popełnić taki fałszywy krok, jaki popełnił pan, wyjeżdżając bez widzenia się ze mną, bez żadnych wyjaśnień z mojej strony, bez dania mi okazji do usprawiedliwienia się przed panem! Nie dopuścił pan do tego, bym pana wy-

prowadziła z błędu, bym pana wtajemniczyła w faktyczny stan rzeczy, słowem, bym powiedziała panu pierwsza — na co już byłam zdecydowana — że kocham pana, że chcę być pańską żoną! A pan nietylko wyjechał bez uprzedzenia mnie o tym swoim szalonym zamiarze, ale nadto zawziął się pan na mnie... W przeciwnym razie alboby pan wrócił po pewnym czasie, alboby pan dał znak życia, pisząc, jeżeli nie do mnie, to do mych braci, którzy wkońcu zaczęli się natrząsać ze mnie, gdym ich zapytywała przy łada sposobności, czy nie mieli listu od pana, czy nie słyszeli czego o panu? Owszem, słyszeli, że się pan doskonale czuje w Paryżu!... Tak upłynął rok przeszło. Już chciałam napisać do pana, ażeby pan przyjechał do Warszawy w celu rozmówienia się ze mną; już miałam pański adres paryski, gdy nagle dowiedziałam się z listu od krewnych w Nizzy, że pana widzieli na *bataille des fleurs* z jakąś słynną z piękności Holenderką, uchodzącą za awanturnicę, za którą pan podobno przyjechał z Paryża... Zrozumie pan chyba, iż wobec takich wieści poniechałam mojego zamiaru, by wystąpić z inicjatywą do wyjaśnienia dzielących nas nieporozumień.

— Wcale się pani nie dziwię.

— Właśnie w tym czasie, gdym się nosiła z myślą napisania do pana, zaczął się o mnie starać mój mąż. Wszystko przemawiało za nim, wszystko... oprócz mojego serca, które wciąż biło

dla kogo innego. To był główny powód, żem chciała, aby pan przyjechał do Warszawy, bo zbliżała się stanowcza chwila, po której miała się za mną zamknąć jakby furta klasztorna. Niestety, z pańskiej winy musiałam zrezygnować z napisania wspomnianego listu. Mimo to nie mogłam się zdecydować na oddanie ręki innemu, co miało ten skutek, że mąż mój prawie przez cały rok starał się o mnie napróżno, oświadczał się parokrotnie, ale zawsze spotykał się z odmową. Tylko, że on nie zrażał się moją oziębłością, a jego duma tem się różniła od pańskiej, że mimo wszelkie przeszkody i trudności postanowił dopiąć swego celu.

— Z pewnością rodzice pani bardzo byli za nim.

— Rodzice moi, przed którymi nie miałam tajemnic, bo znałam ich życzliwość dla pana, nie krępowali mnie w niczem, choć im Hożycki odpowiadał pod wszystkimi względami. Wiedzieli jednak, że w panu się kocham oddawna, więc mi pozostawili zupełną swobodę decyzji i wyboru. Chociaż pan nie był tak znakomitą partją, jak mój mąż, to jednak nic nie mieli przeciwko panu, jako swemu przyszłemu zięciowi, bo kochając mnie, jako jedynaczkę, jako ich oczko w głowie, życzyli sobie przede wszystkim, ażebym za mąż, tak samo, jak moja matka, wyszła jedynie z prawdziwego uczucia, żebym, szczerze kochając mojego męża, mogła być tak szczęśliwą w małżeństwie, jak ona.

Rodzice moi, jako że sami pobrali się z miłości, choć bardzo polubili Hożyckiego, jednak godzili się z losem, gdym mu dawała odprawę po odprawie, gdym mu nawet powiedziała otwarcie, że jestem zajęta kim innym...

— Czy mąż pani wie, że to ja właśnie byłem tym wybranym?

— Nigdy nie pytał mnie o to, więc też mu nie mówiłam o panu, jako o tym, który wzgardził mną i moją miłością.

— Niech pani tak nie mówi, bo to nieprawda!

— Może być, ale wtedy musiałam być tego mniemania. Jakoż po długich wahaniach, przeciężona stałością Hożyckiego, który mi bądź co bądź imponował swą prawdziwie męską miłością, wytrwałą i pełną godności, zdecydowałam się wyjść za niego, co nie znaczyło przecież, bym go pokochała wkońcu. Lubiłam go, ceniłam, szanowałam, miałam respekt przed nim, nawet mogłam być dumną z niego, na co zasługiwał całkowicie, ale duszą nie rwałam się do niego. Ciągle myślałam o panu, nawet wtedy jeszcze, gdy już byłam zaręczoną, nawet wtedy, gdy zbliżał się dzień ślubu. Gdyby pan był przyjechał wówczas, natychmiast zerwałabym z moim narzeczoną, by wyjść za pana! Ale pan zapomniał o mnie! Proszę mi wierzyć, że gdym do pana adresowała zaproszenie na mój ślub, jeszcze miałam chwilę nadziei, że to zaproszenie sprowadzi pana do Warszawy, choćby na parę

godzin przed ślubem... A w takim wypadku byłam gotowa iść do ślubu... z panem! Nie przyjechał pan jednak, więc gdym szła do ołtarza, myśląc, że tak w welonie w białej ślubnej sukni mogłabym iść, jako pańska oblubienica, miałam łzy w oczach, które przy ołtarzu, gdym przysięgała miłość i wierność... nie panu, buchnęły niepowstrzymanym płaczem. Ale choć zostałam żoną innego, nie zapomniałam o panu. Gdy tylko wyszła jaka pańska praca, ja byłam pierwsza, która ją czytałam w Warszawie. Gdy mi się urodził syn, na pańską intencję dałam mu imię Henryka (choć żadnego Henryka nie było w naszej rodzinie). Gdy bywam na koncertach, zawsze mię rozmarzają te kompozycje Chopina i Beethovena, które pan z takim uczuciem grywał dla mnie. Jeszcze dziś nie mogę słuchać obojętnie *Apassionaty* Beethovena, ani tych jego sonat, które słyszałam grane przez pana. Jeszcze dziś, gdy słucham niektórych *Preludjów* i *Nocturnów* Chopina, albo drugiej i czwartej *Ballady*, łzami zachodzą mi oczy... na wspomnienie pana!... Do męża mojego, który jest bez zarzutu, przyzwyczaiłam się powoli, nawet się przywiązałam. Bo trudno o zacniejszego człowieka, z większą delikatnością uczuć. Kocha mnie, ręce mi i nogi całuje, a myśli tylko o tem, czem mi sprawić przyjemność, jak mi osłodzić i umilić życie. Wszyscy też uważają nas za bardzo dobrane i szczęśliwe małżeństwo, czemu ja nie przeczę naturalnie...

Zresztą jestem, jak to mówią, szczęśliwa. Nic mi nie brak, chyba ptasiego mleka. Opływam we wszystko. Zdaje się ludziom, żem jako Hożycka wygrała wielki los na życiowej loterii. Może go wygrałam nawet: tylko, że to jest życie prozaiczne, dosyć poziome, nie takie, o jakim marzyłam, myśląc, że wyjdę za pana. Ponieważ nie jestem złą z natury, ale bardzo pocziwą, choć zalotną, więc dla mojego męża mam szczerą wdzięczność za wszystko, co robi dla mnie, czem mnie aż psuje poprostu, a przedewszystkiem za to, że mnie kocha, a nie męczy zazdrością.

— Jabyś nie umiał nie być zazdrosnym o taką żonę, jak pani.

— Nauczyłabym pana tego, bo z panem postępowałabym inaczej. Jako pańska żona, zakochana w mężu, z pewnością nie byłabym tak, jak teraz, zalotną wobec innych, boby mnie to nie bawiło, jako rozrywka, a bałabym się, żeby mi pan nie zechciał odpłacić tą samą monetą. Bo że ja, będąc pańską żoną, byłabym o pana zazdrosną, i to w najwyższym stopniu, o tem nie wątpię.

.

Bardzo niedokładnie, bo tylko w ogólnych zarysach, spisałem tę naszą, przeszło godzinną rozmowę, tak wzruszającą dla nas obojga.

Gdyśmy wreszcie wyczerpalі ten bolesny tę-

mat, pani Helena, otarłszy swe wilgotne oczy, powstała pierwsza, a gdym i ja poszedł za jej przykładem, rzekła już w zwykłym konwersacyjnym tonie, poprawiając suknię:

— A teraz chodźmy napić się herbaty. O tem, cośmy sobie powiedzieli na tym tarasie, niech już więcej nie będzie mowy, przynajmniej dziś. Wróćmy do rzeczywistości, na którą już niema rady. Wiadocznie taka nam była przeznaczona.

I nie dopuszczając, bym jej coś na to odparł z mojego punktu widzenia, spytała tak zdawkowo, jakbyśmy przedtem mówili o pogodzie:

— Nie chłodno panu?

— Nie.

— Bo ja parę razy pomimo futrzanej peleryny poczułam dreszcze. Z przyjemnością napiję się gorącej herbaty.

W sali restauracyjnej, gdzie jeszcze było prawie pełno, rozmawialiśmy, siadłszy przy stoliku, o rzeczach potocznych. Spostrzegłszy, iż jesteśmy obserwowani, zarówno przez różnych panów i pannie, jak przez służbę i grających cyganów, pani Helena, czując tyle spojrzeń na sobie, rzekła:

— Ciekawam, za co nas biorą tutaj: za przykładne małżeństwo, czy też za kochanków?

— Przypuszczam, że za kochanków...

— Bo mamy sobie ciągle coś do powiedzenia.

— A tymczasem jesteśmy tylko przyjaciółmi, a raczej znajomymi.

— Niestety.

— A wszystko przez pana. Gdyby nie pańska nadezłość, kto wie, możebyśmy tu dziś siedzieli jako przykładne małżeństwo. Po herbacie pojechalibyśmy razem do domu... a tak, pan pójdzie do siebie, ja pojedę do siebie, i nic...

A rzekłszy to, zalotnie zmrużyła oczy, którym taki nadała wyraz, jakby się śmiała ze mnie.

— Jest pani okrutną w swej ironji.

— Muszę nią być wbrew własnej woli. Bo, widzi pan, są rzeczy, których kobieta nigdy nie przebaczy mężczyźnie, a ja jestem kobietą w każdym calu, ze wszystkimi kobiecemi zaletami i przywarami. Po tem, co zaszło między nami, nie mogę nie dokuczyć panu czasem. Teraz jednak, proszę zapłacić i chodźmy, bo już późno. Co sobie pomyśli służba w domu?

W garderobie, gdym odbierał moje palto, zaproponowałem jej, że ją odwiozę, lecz nie przystała na to.

— Wolę wracać sama.

— Nie boi się pani, o tak spóźnionej porze?

— Proszę nie troszczyć się o mnie. Nic mi się nie stanie, a sama z pewnością będę się czuła bezpieczniejszą, niż pod pańską przyjacielską opieką... Wszyscyście nie wiele warci: a już pan to najmniej we mnie wzbudza zaufania, jako opiekun w automobilu o pierwszej w nocy...

— Ten brak zaufania do mnie dowodzi w każ-

dym razie, że w danym wypadku nie ufa pani dostatecznie i sobie także.

— Wszystko zależy od opiekuna. Z takim, jak pan, nie ręczę i za siebie. *Occasion fait le laron*, zwłaszcza przy naszym dzisiejszym nastroju. A że mi bardzo zależy na tem, by pan nie stracił swej dobrej opinii w moich oczach, więc wolę nie wywoływać wilka z lasu. Automobil to nie taras...

— Wobec tego zaczynam żałować, że na tarasie...

— Niech pan żałuje stanowczo: druga taka sposobność nie nadarzy się tak łatwo. Trzeba było korzystać...

— Żałuję tembardziej, ponieważ na tarasie dziś była pani tylko kobietą, a w tej chwili igra już ze mną tylko... kokietka!

— Taka moja natura. Jestem już raz taka.

To mówiąc, wysunęła obnażoną rękę z pod peleryny, i sama mi ją odwróconą dłonią podała do ust, nie wyrywając jej. Wcale, gdy nawet zaczął przekraczać wskazane granice.

— No, no, może już będzie dosyć! — rzekła w żartobliwie strofujący sposób, a cofnąwszy ramię, które momentalnie wtuliła pod futro, dodała przeznacznie, z myślą o zachowaniu pozorów, wobec szofer:

— Niech to pan uważa za pożegnanie, a gdy będę wsiadała do automobilu, proszę już nie całować mnie w rękę.

7 września. Niedziela.

Śpałem w najlepsze (bo była już 4-ta rano, gdym skończył pisanie dziennika), gdy nagle zbudzono mnie głośnem pukaniem do drzwi. Spojrzałem na zegarek: dziesiąta. Żły, że mi przerwano smaczny, a dobrze zasłużony sen, zniecierpliwionym głosem zawołałem: *Qui est là ?* Na co usłyszałem w odpowiedzi: *Le valet de la villa Mon bonheur*. Zdziwiony tą wczesną wizytą lokaja Hożyckich, wyskoczyłem z łóżka, by przekręcić klucz w zamku, poczem dopiero powiedziałem: *Entrez!* Nieoczekiwany posłaniec przynosił mi ustne zlecenie od pani Heleny, że jeśli mam ochotę wybrać się samochodem do Fontarabji na sławną procesję i do San Sebastian na ostatnią w sezonie walkę byków, to ona z dziećmi i z boną punktualnie o 11-tej zajedzie automobilem przed mój hotel. Odpowiedziałem, rozumie się, że nie omieszkam skorzystać z tak miłego zaproszenia.

Choć miałem tylko godzinę czasu na wszystko, na umycie się, ogolenie, ubranie i śniadanie, to jednak nie wybiła jeszcze 11-ta, a już stałem — z cukierkami i kwiatami — przed hotelem, czekając na przyjazd pani Heleny.

Spóźniła się o dziesięć minut załedwie, a gdym zajął miejsce obok niej, natychmiast pomknęliśmy w kierunku Bois de Boulogne. Henio siedział na przodzie obok szofera, Zosia i Angielka na małych

strapontenach przed nami. Pogoda była wymarzona. Pani Helena wyglądała trochę mizernie, miała wpadnięte i podsiniałe oczy, a gdym z nią podzielił się tem wrażeniem, zaraz mi się odwzajemniła podobną uwagą, twierdząc, że mam taką cerę, jakbym poszedł spać dopiero nad ranem. Gdym się przyznał, że już było widno, kiedym skończył pisanie, bardzo ją zaciekałem tą wiadomością: chciała wiedzieć koniecznie, nad czem tak pracowałem do białego dnia? Ale naturalnie nie dowiedziała się prawdy. Dziwiła się tylko, że nie poszedłem spać odrazu, nie dziwiła się jednak, gdym jej odparł na to, że byłem pod bardzo silnem wrażeniem wczorajszego... teatru, że wróciwszy do domu, ciągle jeszcze myślałem o tem niezapomnia-
nem... przedstawieniu, wiedząc zaś, że nie usnę i tak, mając głowę nabitą myślami o... pannie Bartet, wolałem pisać i czekać na senność. Przy tej sposobności dowiedziałem się z kolei, że i ona usnęła dopiero nad ranem, że właśnie w czasie swej bezsenności wpadła na pomysł, by dziś zrobić tę wycieczkę do Hiszpanji. Rozmowa nasza, ciągle cenzurowana ze względu na obecność dzieci, przeważnie obracała się w podobnych ogólnikach. A jednak i w tak okrojonej formie powiedzieliśmy sobie wiele rzeczy, które, rozumiane dosłownie, brzmiały niewinnie, a których ukryte znaczenie było jasnem tylko dla nas, wtajemniczonych w te symbole i metafory.

Tak dojechaliśmy do Fontarabji, gdzie właśnie trafiliśmy na samą procesję. Trudno opisywać ten średniowieczny pochód na malowniczym tle starożytnych uliczek, trudno malować słowami, na co patrzyły oczy, a co tak często widzi się na obrazach malarzy hiszpańskich, lubujących się w odtwarzaniu podobnych uroczystości kościelnych. Ale bo też trudno sobie wyobrazić większą różnorodność barwnych kostiumów narodowych i ludowych, większy dobór złożonych feretronów, krzyżów z rozpiętym Chrystusem, srebrnych dymiących kadzielnic, chorągwi, obrazów, grubych świec woskowych, ornatów, czerwonych komż, a wszystko to w efektownym zestawieniu z białymi, czarnymi, szarymi i brązowymi habitami mnichów o wygolonych tonsurach, z zakapturzonemi figurami różnych bractw pobożnych, z dziewicami w bieli, sypiącemi kwiaty, z czarnymi koronkowemi chusteczkami na głowach mężatek w mantylach, etc. etc. Widowisko to, bardzo efektowne, bardzo katolickie, choć w gruncie rzeczy trochę pogańskie, trochę karnawałowe, pozbawione jest głębszego nastroju religijnego, pomimo śpiewów, niebardzo zgodnych, pomimo głośno odmawianych modlitw, pomimo bijących dzwonów z wieży katedry. Na wszystkich balkonach, we wszystkich oknach, pełno widzów. Na wszystkich rogach ulic, oblepionych plakatami, najbardziej jaskrawiły się wielkie afisze z zapowiedzią *corridy* wkrótce po skończonej procesji. Naj-

większe zainteresowanie, większe niż wszyscy księża i zakonnicy, budziła strojna grupa banderillerosów i kapadorów z matadorami pośrodku, którzy za parę godzin mieli wystąpić w miejscowej arenie. Na nich skupiała się główna uwaga tłumu, zalegającego chodniki, oni byli tematem wszystkich rozmów. Nie biskup z monstrancją, idący pod baldachimem, ale ci barczyści pogromcy byków, uśmiechający się do przystojniejszych dziewcząt, stali się bohaterami chwili.

Z uderzeniem godziny z-ej byliśmy już w San Sebastian. Zajechaliśmy przed kasyno, gdzie przy muzyce »prawdziwych cyganów« spożyliśmy śniadanie. Po krótkim spacerze na promenadzie nad zatoką, trochę przypominającej nicejską *Promenade des Anglais*, zadecydowała pani Helena, że najprzód odprowadzimy dzieci z miss Bell do kasyna na *Bal d'enfants*, skąd nie wyjdą aż do naszego powrotu, a my we dwoje pojedziemy do areny.

Projekt był doskonale pomyślany, zwłaszcza w swej części drugiej, od chwili, gdym z panią Heleną znalazł się w automobilu. *Enfin seuls!* Lubię Zosię i Henia, sympatyczną mi jest miss Bell, ale czasami mam ich wyżej uszu! Pani Helena również zdaje się odetchnęła swobodniej, gdy nareszcie mogła być sama ze mną. To też gdy wyjechaliśmy na okazały bulwar *Alameda*, odrazu na wszystko zaczęliśmy patrzeć przez inny pryzmat.

W pierwszym rzędzie podziwialiśmy piękną, ogromnie szeroką ulicę, z aleją pośrodku, wysadzaną dwoma rzędami wielkich platanów, z mnóstwem kawiarni wzdłuż obu trotoarów, a tak ludną w tej chwili, że niczem nie ustępowała paryskim bulwarom w pobliżu Opery. Chodnikami i środkiem ciągnęły olbrzymie tłumy piesze, a ulicą, z obu stron alei, ciągnął się nieskończony korowód powozów, dorożek i automobilów, tak, że i nasz samochód musiał jechać wolniutko. W otwartych landach, niekiedy zaprzężonych w muły, z woźnicami w czerwonych czapkach włóczkowych, widziało się wiele pań bez kapeluszy, tylko w białych lub czarnych koronkach, upiętych na wysokich grzebieniach, a choć, mojem zdaniem, pani Helena była najpiękniejszą i najbardziej typową z pośród tych rodowitych Hiszpanek, to jednak wszystko razem, w silnem słońcu, na tle tej ludnej ulicy, pełnej nie tylko ożywionego gwaru, ale i jakiegoś gorączkowego podniecenia, czyniło bardzo południowe, bardzo hiszpańskie wrażenie. A wszystko to ciągnęło w jedną stronę, ku rzece Urumei, za którą na prawym brzegu, na krańcu miasta, znajduje się słynna arena, jedna z największych w Hiszpanji, bo mogąca pomieścić 12.000 osób. Gdyśmy nareszcie minęli żelazny most na szerokim korycie rzeki, wąskim prążkiem płynącej wśród ławic piasku i żwiru, już tłum pieszych i jezdnych, tworzący jedno wielkie mrowie, był tak gęsty, że automobil,

niby łódka wśród powodzi przechodniów, musiały przystawać co chwila. To samo musiały czynić i przepełnione tramwaje elektryczne, dzwoniące zapamiętale. Konni żandarmi, starający się utrzymać jaki taki porządek w tym roju, zrywali gardła, ale wesoła gawiedź tylko sobie pokpiwała z ich trudnej roli. W ten sposób dojechaliśmy do stóp płaskowzgórza, na którem, niby na olbrzymim tarasie ponad dachami domów podmiejskich, u podnóża jednej z kopulastych gór, a nad samem morzem, wznosi się *Nueva Plaza de Toros*. Dojechawszy do końca ulicy, gdzie jest stacja tramwajów, a gdzie jadący na *corridę* muszą skrócić na lewo, ma się wielce ciekawy widok na wielotysięczny tłum, który szerokimi, jak szosa, schodami, niby po ateńskich propyleach, idzie pod górę, zdążając ku dwóm miedzianym kopułkom cyrku. Równoległe do tych schodów, ale niżej o kilkanaście metrów, ciągnie się droga jezdną, o tej porze zatłoczona pojazdami i automobilami, z wolna posuwającymi się naprzód.

Tą drogą zajechaliśmy na obszerny plac przed wielką maurytańską bramę czerwonej areny z nieotynkowanej cegły, gdzie też wysiedliśmy z samochodu. Zatrzymawszy się cokolwiek, raz dlatego, by się przyjrzeć wrzaskliwemu i podnieconemu ruchowi na placu, a powtórę, by przez chwilę popatrzyć na czarodziejską panoramę, jaka z tej platformy rozciąga się na morze, na góry, na całe San Sebastian w dole, stopniowo zaczęliśmy i my

ulegać temu powszechnemu rozgorączkowaniu, w jakim tu wszyscy, z biletami w ręku, cisną się do głównego wejścia, aż wkońcu, potłoczywszy się trochę, szczęśliwie różnemi kamiennemi schodami dostaliśmy się do środka.

Odnalazłszy nasze miejsca, które się okazały bardzo dobrymi, bo tuż pod łozami pierwszego piętra, zaczęliśmy się rozglądać po całym cyrku. Jak zwykle o tej porze — na kwadrans przed rozpoczęciem krwawego widowiska — słońce oświeślało wschodnią połowę areny, tę z najtańszymi miejscami, gdzie siedzi niższa klasa, podczas gdy zachodnia połowa, zajęta przez wykwintniejszą publiczność, już była pogrążona w cieniu. Na arenie, gdzie niedługo miała się przelewać krew, gdzie śmierć będzie zmiatała konie i byki, a może i ludzi, teraz jeszcze przechadzały się setki osób, przekupnie sprzedawali cukierki, ciastka, pomarańcze, wachlarze i poduszki dla uwygodnienia betonowych siedzeń, a w amfiteatrze na całej przestrzeni od najniższych miejsc aż do łóz drugiego piętra, panował hałaśliwy rozgwar, jaki zawsze wytwarza wielotysięczny tłum, zanim się nie uciszy w jakimś skupieniu. Wszystkie łóże były zajęte, a szybko poruszające się wachlarze przypominały trzepot motyli.

Pani Helena była podekscytowana tą atmosferą, ale i pełna niepokoju oczekiwania.

— Nie wiem — mówiła — czy dziś przy panu

okażę większą zatwardziałość serca, niż wtedy, gdy tu była z mężem, ale w każdym razie wątpię, bym wytrzymała do końca. Wówczas nie brakło wiele, a byłabym zemdląca...

— Bądź co bądź, patrząc na te zapasy, musi pani wychodzić z założenia, że każdy byk, czy hiszpański, czy jakikolwiek inny, już gdy się rodzi, jest przeznaczony na to, by zostać zabity, a czy go śmierć spotka w szlachtuzie, czy w arenie, to już mu jest wszystko jedno, tak samo, jak owemu Japończykowi z operetki, który, skazany na ugotowanie żywcem, niewątpliwie słabą pociechę znajdował w tem, że go się pytano przedtem, czy woli być ugotowanym w mleku czy w rosole?

— Najbardziej mi żal tych biednych koni.

— I na ich dolę należy się zapatrywać filozoficznie. Te konie bowiem, których dosiadają pikadorzy, rekrutują się z tej kategorii rosynantów, których jedyną pozytywną wartością jest skóra i konina. To też są to mizeraki, tak czy tak skazane na śmierć najbliższą, które jeśli dziś nie zginą od rogów byka, jutro pójdą pod obuch rzeźnika. W arenie giną przynajmniej, jak gladiatorzy, na polu chwały, i tyle tylko, że przedtem mają *un mauvais quart d'heure*. W każdym razie zapewniam panią, że stokroć gorszym i bardziej politowania godnym jest los wielu koni u nas, głodzonych i batożonych niemiłosiernie, nim zostaną dobite w szlachtuzie.

Lecz mimo tej mojej argumentacji, gdy punktualnie o godzinie wpół do 5-ej, arena już opróżniła się zupełnie, gdy na niej zostało tylko kilku nastu pacholków w czerwonych czapkach i kurtkach, i gdy orkiestra zagrała triumfalnego marsza, na znak, że za chwilę rozpocznie się widowisko, pani Helena nie mogła ukryć swojego zdenerwowania i wcale też nie ukrywała przedemną, że jej serce bije gwałtownie, że ręce ma zimne i spotniałe, o czem zresztą pozwoliła mi przekonać się dowodnie, gdym ją ujął za rękę, rzeczywiście lodowatą. Choć dokoła wachlowano się z powodu nadmiernego gorąca nawet w cieniu, ona drżała jak w febrze.

Ażeby jej skrócić czas oczekiwania, zwróciłem jej uwagę na łożę bezpośrednio nad nami. W łoży tej, przy samej rampie, w towarzystwie trzech eleganckich mężczyzn w głębi, siedziały dwie wybitnie piękne Hiszpanki w białych koronkach na głowie, brunetka i blondynka, z których zwłaszcza pierwsza była niezwyklej urody. Zauważyłem ją od samego początku, a że i ona kilka razy bardzo łaskawie spoglądała na mnie, więc od czasu do czasu odwracałem się ku niej... Nie uszło to baczności pani Heleny.

— Teraz żałuje pan z pewnością, że jest pan nie sam, lecz ze mną, rzekła uszczypliwie, gdy mnie raz przyłapała na spojrzeniu, ukradkiem rzuconem

w stronę tych, wcale zalotnością nie gardzących Hiszpanek z łoży.

Zaprotestowałem przeciw temu posądzeniu, za co jednak zostałem skarcony raz jeszcze, niby pół żartem, ale i pół serjo:

— Proszę pana o jedno: gdy jest pan sam, wolno się panu rozglądać za kobietami, ale gdy pan jest ze mną, proszę patrzeć się na mnie.

Dalszą rozmowę przerwało ukazanie się całej *quadrilli*, pod przewodem dwóch konnych heroldów wkraczającej na arenę. Szli, jak zwykle, dwoma rzędami: najprzód *capadores* w czerwonych i fioletowych płaszczach, potem strojni *banderilleros* z pociskami w różnobarwnych wstęgach, potem kilku *pikadorów* z lancami, na chudych szkapach z prawem okiem przewiązanem szmatą, potem dwie trójki mułów w sutych czerwono-żółtych chomontach, poganiane przez kilku parobków w czerwieni. Środkiem, na przedzie, zaraz za końmi heroldów, szło czterech *matadorów* w cudnych kostjumach kapiących od złotych naszyć. Przeszedłszy całą arenę, podeszli do łoży królewskiej (od której nas dzieliło kilka metrów zaledwie), oddali ceremonjalny pokłon reprezentantowi króla (dziś nieobecnego), a gdy ten im rzucił symboliczny klucz na długiej wstędze, wnet jedni ustąpili z widowni, a pozostali rozmieścili się pod drewnianem ogrodzeniem, czekając na ukazanie się byka. Z trzech *matadorów*, którzy dziś mieli wystąpić, oddalili się Pastor

i Lagartjo: na arenie pozostał słynny Bombita, śliczny, najwyżej 30-letni, do lorda Byrona podobny mężczyzna, smukły, rasowy, wytworny, w cudnym zielonym kostjumie. Pani Helena zachwyciła się jego postawą i urodą, czem nawet byłem trochę podrażniony...

Nareszcie rozległy się fanfary na trąbach, a gdy jednocześnie rozwarło wrzeczadze naprzeciw łoża królewskiej, na arenę wyskoczył czarny byk. Oślepiiony słońcem, świecącym mu prosto w oczy, przystanął na chwilę, zaczął się rozglądać dokoła. Pani Helena odruchowo chwyciła mię za rękę.

— Śliczne zwierzę, ale straszne. Boję się go.

Ale jeszcze nie zdążyła dopowiedzieć swej całkowitej myśli, gdy byk, dostrzegłszy nieopodał pikadora na białym koniu, momentalnie rzucił się ku niemu, i nie zrażony ukłuciem piki, której ostrze wraziło mu się w kark, podsadził się rogami pod brzuch koński, a uderzył z takim impetem, że koń w tejże chwili przewalił się wraz z jeźdźcem. Pani Helena zasłoniła oczy wachlarzem, tak, że nie widziała już, jak dwóch kapadorów z czerwonymi płaszczami podbiegło do rozjuszzonej bestji, której ponsowe już od krwi rogi z zaciekłością i na oślep bodły wierzgającego nogami konia, osłaniającego swym rozprutym kadłubem przygniecione do ziemi pikadora. Rozdrażniony widokiem czerwonych i fioletowych płaszców, furkoczących mu przed ślepiami, byk poniechał prędko dalszego znę-

cania się nad poturbowanym śmiertelnie siwkim i rzucił się wściekły na jednego z kapadorów; ten jednak, machnąwszy fioletowym płaszczem, zręcznie odskoczył na bok, tak, iż zwierz przebił tylko powietrze, przyczem o mało co nie przewrócił się z nadmiernego rozmachu.

Gdy pani Helena znów spojrzała na arenę, dwóch czerwonych pachółków wydobywało z pod konia nie mogącego wstać o własnych siłach opancerzonego pod łosiowem ubraniem pikadora, a gdy ten nareszcie, wyszedłszy szczęśliwie bez żadnego szwanku z potyczki, znalazł się w bezpiecznem miejscu za ogrodzeniem, trzeci pachółek wystrząśniętym z krucicy w ucho skrócił przedśmiertne mężczyźnie koniowi, tarzającemu się w wielkiej kałuży własnej krwi.

— I pan może na to patrzeć spokojnie, rzekła pani Helena, błada ze wzruszenia, z oczyma odwróconemi od areny.

— Niech się pani przewycięży cokolwiek, a zresztą proszę brać przykład z tych Hiszpanek nad nami; niech pani spojrzy na nie, z jakim zainteresowaniem śledzą przebieg walki.

— Widzę, że pan, korzystając z tego, iż ja przysmykam oczy, patrzy nietylko na arenę, ale i w stronę tej łoży.

— W każdym razie niech pani teraz popatrzy przed siebie, bo jest co widzieć.

Istotnie byk dokazywał cudów wściekłości.

W ciągu tej naszej krótkiej rozmowy, przez czas, gdy jeszcze drgał pierwszy przebity koń, z którego właśnie zdejmowano siodło i uprząż, już dwa inne konie miały rozharatane brzuchy: jednemu wypadły wszystkie jelita, które za każdym krokiem przydeptywał zadniemi nogami, a drugiemu, ranionemu z przodu, wyciekała krew, jak z kranu. Pani Helena znów spuściła powieki.

Tymczasem zaczęła się druga część widowiska. Ustąpili pikadorzy, po których byk miał cały kark zaczerwieniony ściekającą posoką, a gdy pachol-kowie trocinami zasypywali krwawe kałuże w różnych miejscach areny, przyszła kolej na banderil-lerosów.

Tym jakoś pani Helena przypatrywała się spokojniej, choć i teraz nie mogła patrzeć w to miejsce pod oparkaniem, gdzie leżał nagi spłaszczony trup pierwszej ofiary. Całe szczęście, że dwa inne konie, choć już przeznaczone na dobicie, wyprawadzono do stajni. Bardzo przejęta zapasami pikadorów, którzy zresztą dziś popisali się nieświeżnie (tak, że z pośród publiczności zaczęły się rozlegać gwizdania pod ich adresem, idące w parze z wykrzyknikami: *Bravo toro!*), pani Helena z chwilą wystąpienia pierwszego banderillera, który, machając dwiema owiniętymi w biało-niebieskie wstążki włóczniami, wyszedł na spotkanie już trochę zapanego byka, zaczęła okazywać zainteresowanie dla tego momentu walki, jakkolwiek litość w niej

budziło to piękne choć okrutne stworzenie z okrwawionymi bokami, ciągle podjudzane przez kapadorów, za którymi wciąż uganiało się bez żadnego skutku.

Gdy wreszcie pierwszy banderillero, zabiegłszy z przodu bykowi, wbił mu oburącz dwie swoje włócznie w okrwawiony kark, gdy oszalałe z bólu zwierzę zaczęło podrzucać się na wszystkie strony, w chęci pozbycia się tych tkwiących mu w żywym mięsie pocisków, co mu jednak nie zdało się na nic, a za każdym podskokiem jeszcze zwiększało okropność męczarni, rzeczywiście nieludzkiej, pani Helena znów się skryła z oczyma za wachlarz, tak, że nie widziała, gdy nowa para, tym razem czerwono-białych strzał, ugodziła w biedne zwierzę, zwisając mu po bokach obok poprzednich.

Dopiero, gdy na środku areny ustawiono krzesło, na którem siadł Lagartjo z biało-zielonemi banderillami w ręku, a trzech kapadorzy tak manewrowali swemi płaszcami, że byk musiał się natknąć na siedzącego, pani Helena znów się zdecydowała patrzeć. To zaś, co zobaczyła niebawem, nawet w niej wzbudziło podziw dla ludzkiej zręczności i odwagi. Oto zwierzę, przystanąwszy naprzeciw zuchwałego śmiałka, który niedość, że nie ruszał się ze stołka, ale nadomiar jeszcze wymachiwał swemi włóczniami, jakby czynił przywołujące gesty, wkońcu pochyliło się łbem ku ziemi, poczem odsadziwszy się zadniemi nogami, gwałtownym susem

rzuciło się na przeciwnika, który je tak czelnie wyzywał do napadu, w chwili jednakże, gdy byk już miał uderzyć rogami, dwa złowrogie pociski wraziły mu się w grzbiet, puste krzesło, trącone ze straszną siłą, wyleciało na kilka metrów w powietrze, a triumfujący matador, niewiadomo kiedy odskoczywszy na bok, kłaniał się prawicą, podczas gdy rozentuzjasmowany cyrk trząsał się od oklasków i okrzyków zapалу. Tymczasem rozwścieczony i zdumiony byk, dopadłszy krzesła, bódł je krwawymi rogami, tratował racicami, przygniatał spienionym pyskiem.

Tym rzeczywiście imponującym epizodem pani Helena była zachwycona bez zastrzeżeń, tak, że i ona wraz z całym tłumem rześście klaskała w dłonie, zapominając o bólu, jakiego otumanionemu zwierzęciu, porykującemu żałością, przyczyniało tych sześć kolorowych strzał, obwieszonych dokoła karku, a już także w połowie obłuzganych krwią.

Porwana ogólnem podnieceniem, z wypiekami na twarzy, które teraz wystąpiły na miejsce poprzedniej błądki, pani Helena okazała się bardzo podatną do dzielenia tego skupionego nastroju, gdy na arenę, powitany gromkimi oklaskami, wystąpił urodziwy Bombita (który dotychczas, paląc papierosa, beczynn timer przypatrywał się walce). Nasze dwie piękne Hiszpanki nad nami, widocznie zapalone wielbicielki dorodnego toreadora, tak głośno

biły brawo, że aż na siebie zwróciły jego uwagę, czemu dał wyraz w postaci specjalnego ukłonu i uśmiechu w stronę ich łoży.

Przy tej sposobności, gdy uśmiechnięty Bombita mimowolnie pozbierał i ku nam również, pani Helena, baczenie mu się przyglądając, jego smukłej postawie, godnej dłuta greckiego rzeźbiarza, zauważyła głosem znawczyni, zachwyconej tak klasycznie pięknym okazem młodego i dzielnego mężczyzny:

— Dawnom nie widziała tak ładnego chłopca. Co za rysy! Co za oko! A jakie ma cudne zęby!

— Szkodaby było takiego dziarskiego młodziana, gdyby się dostał pod rogi byka.

— Niechże pan ma litość! Jak można przypuszczać coś podobnego! Jeszcze pan gotów wymówić w złą godzinę!

Tymczasem Bombita, w lewym ręku trzymając długą szpadę, okrytą czerwoną chustą, obszedł ocienioną część cyrku, gdzie wśród hiszpańskiej publiczności musiał dostrzegać wiele osób znajomych, bo na wszystkie strony kłaniał się prawą ręką, aż wreszcie stanąwszy pod łożą królewską, złożył głęboki ukłon kapeluszem, zapytując umówionem spojrzeniem, czy mu wolno uśmiercić byka? Jednocześnie byk, wyczerpany i zziębnięty, zobojeźniał na ból, stał nieruchomy na środku areny, robiąc bokami.

— Biedne stworzenie, ani przeczuwa nawet, że

dłań w tej chwili zapadł wyrok śmierci, rzekła pani Helena w chwili, gdy Bombita, rzuciwszy z brawurą kapelusz na ziemię i ujawnszy zakrytą szpadę w prawą rękę, zaczął spokojnym krokiem, wśród uroczystej ciszy w całym cyrku, zbliżać się ku bykowi. Wszystkich oczy szły za pięknym *espadą*, a wśród nich nie brakło i szeroko rozwartych oczu pani Heleny, która, zaciekawiona w najwyższym stopniu, co znajdowało swój przeczulony wyraz na jej wrażliwej twarzy, była i zalekniona w niemałym stopniu, i pełna obawy o młodego bohatera.

— Żeby mu tylko nie zrobił jakiej krzywdy! mówiła jakby sama do siebie.

— O kogo pani chodzi tak bardzo, zapytałem tonem przekory, o Bombitę, czy o byka? Bo że Bombita zrobi krzywdę bykowi, to jest pewne; a czy byk nie robi krzywdy Bombicie, za to nie można ręczyć. Wszak zdarzało się najznakomitszym matadorom, że ginęli pod rogami byka, że ich w śmiertelnej agonji wynoszono z areny, i to wśród oklasków dla zwycięskiego zwierzęcia, a wśród niemiłosiernego gwizdania dla umierającego.

— Widzę, że pan jest zazdrosnym z powodu Bombity.

— Odwzajemniam się za uczucie, które w pani chwilowo zbudziła piękność z łoży. Pani ma swoją Hiszpankę, z której powodu ja muszę słuchać wy-

mówek, to i mnie chyba wolno mieć swojego Hiszpana, którymbyś mógł dokuczać pani.

Ale tu musieliśmy zaniechać dalszych żartów, bo właśnie na arenie zaczynał się ostatni akt dramatu: Bombita stanął naprzeciw byka, o trzy kroki od rogów, a gdy zwierzę, podniecone czerwoną chustką, pochyliło łeb, by rzucić się do skoku, w tejże chwili błyszcząca szpada, silnie pchnięta w podskoku, utkwiała w okrwawionym karku, między banderillami. Ale pchnięcie okazało się za słabym: szpada zagłębiła się ledwo do połowy, tak, że górna część klingi, wraz z czerwoną rękojeścią, została widoczną. Ukłuty byk zaryczał boleśnie, zaczął szamotać się i wierzgać zadniemi nogami, tak, że ostatecznie szpada Bombity, wbita nie dość głęboko, wysliznęła się z rany i spadła na piasek. W tymże momencie rozległy się przeraźliwe gwizdania pod adresem niefortunnego pogromcy, idące w parze z ubliżającymi wyzwiskami i drwinami, złośliwie raniącemi godność słynnego toreadora i ulubieńca kobiet. On tymczasem stał blady przez kilka sekund, nie śmiąc podnieść wzroku na widzów, ale gdy szpada znalazła się na ziemi, podniósł ją z zimną krwią, wcale się nie oglądając na rozjuszonego byka obok, i to w chwili właśnie, gdy zwierz już biegł ku niemu. Ale Bombita jednym susem uskoczył na stronę, tak, że byk znowu spotkał się z próżnią. Znowu rozległy się huczne oklaski, bo oceniono nietylko wyjątkową zręczność,

ale i nieustraszoną odwagę matadora, który, schylając się po swoją szpadę, tuż przed rogami byka, ryzykował życie, a w każdym razie zuchwale śmierci zajrzał w oczy.

Śledząc cały przebieg tego śmiertelnego pojedynku ludzkiej zręczności, opanowanej inteligencją, i brutalnej siły zwierzęcia, napadającej odruchowo i na oślep, pani Helena całą swoją nerwową istotą reagowała na doznawane wrażenia i wzruszenia; gdy Bombita wymierzał swój cios zabójczy, stała, jak wryta; gdy go wygwizdano nielitościwie, nie miała słów oburzenia dla tego dzikiego tłumu, a zapamiętała klaskała w ręce, gdy sobie nagle tę rozwydrzoną ciżbę potrafił ująć szaloną odwagą z narażeniem życia, gdy ponownie, otarłszy zakrwawioną szpadę, nakrył ją chustą, by oszołomione zwierzę powtórnie zmusić do ataku.

I jeszcze raz nastąpiła chwila ciszy; jedynym szelestem, dochodzącym do uszu, był furkot wachlarzy. Pani Helena również wachlowała się nerwowo, zapatrzona w każdy ruch, w każdy gest Bombity, który teraz musiał nie tylko zabić byka, ale i uratować swoją reputację najślawniejszego matadora.

Jakoż ocalił ją świetnie. Gdy byk, już coraz ociążalej reagujący na podrażnienia, kilka razy doskakiwał do swego przeciwnika, ten zawsze mu się umykał z pod rogów, przyczem aż dwa razy uczynił to w formie wdzięcznego piruetu, a raz

chwyciwszy go lewą ręką za jeden z rogów, odbił mu się ode łba, jak piłka, czem go ostatecznie zbił z tropu. Korzystając z tego, szybko z obnażoną a wysuniętą szpadą stanął w pozycji, wyprężył się jak struna, a gdy byk pochylił się do skoku, w tejże chwili szpada błyskawicznie znikła w ciele zwierzęcia, tak, że tylko czerwona rękkojeść pozostała na wierzchu w samym środku karku. Jednocześnie ze wszystkich piersi zagrzmiwały okrzyki zadowolonia, wszystkie ręce zatrzepotały się oklaskami.

Tymczasem triumfujący Bombita stał naprzeciw śmiertelnie ugodzonego zwierzęcia, a choć byk jeszcze się mógł zdobyć na skok, on, ocierając spocone czoło, nie ruszał się z miejsca, jak zwycięzki gladiator nad pokonanym przeciwnikiem, mającym wydać ostatnie tchnienie. Wreszcie byk zaczął chwiać się na nogach, krew buchnęła mu z pyska, poczem zwalił się na ziemię, ciągle żygając krwią. Jeszcze raz usiłował się podnieść, ale już nie starczyło mu sił, więc tylko drgającymi racicami rozkopywał krwawą kałużę pod sobą, aż wkońcu, wyprężywszy się kilkakrotnie, znieruchomiał zupełnie.

Publiczność była rozentuzjasmowana, a gdy Bombita, uśmiechnięty i zadowolony, zaczął obchodzić arenę, dziękując za owację, z amfiteatru posypały się widome oznaki hołdu dla triumfatora, w postaci lasek, papierośnic, wachlarzy, słomko-

wych kapeluszy (które on zaraz odrzucał ich uradowanym właścicielom).

Pani Helena zrazu też dała się porwać ogólnemu uniesieniu: uszczęśliwiona sukcesem Bombity, całkiem zdawała się nie widzieć przedśmiertnych skurczów byka: zapatrzona w pięknego bohatera, nie szczędziła oklasków, a gdy przechodził popod nami, rzuciła mu swój wachlarzyk, za co jej podziękował ostentacyjnym pocałunkiem pod symboliczną postacią dwóch palców przyciśniętych do ust, czemu towarzyszyło stosownie czułe spojrzenie. To ją otrzeźwiło cokolwiek, bo zażenowało w wysokim stopniu: nie była przygotowana na taką poufałość. Cóż dopiero, gdy ja trochę jej zaczęłam dokuczać z tego powodu.

Jednocześnie na arenie miał się rozegrać wesoły epilog tragedji: ukazały się dwie trójki mułów w czerwono-żółtych chomontach z dzwonkami, zaprzężone do długiego orczyka z hakiem pośrodku. Do tego haku przytroczone za tylne nogi już nieżywego byka, by go następnie, niczem trupa Hektora przy rydwanie Achillesa, przy radosnych trzaskaniach z biczów, triumfalnie wywlec z cyrku.

Gdy w podobny sposób załatwiono się i z trupem białego konia, a na arenę wybiegło kilkunastu pacholków z grabiami, z workami piasku i trocin, by zasypać i zagrabieć liczne kałuże krwi, w różnych miejscach płamiące ziemisty grunt, pani Helena wyraziła życzenie, by już wrócić do miasta.

Nie oponowałem przeciwko tej propozycji, której z góry byłem pewny, tylko, gdyśmy zaczęli zdążać ku wyjściu, rzekłem, posyłając ostatnie spojrzenie w kierunku wiadomej łoży:

— Zaczynam podejrzывать panią, że nietylko ze względu na nieszczęśliwe konie, których jeszcze kilka padnie dziś z pewnością, ile raczej ze względu na te piękne Hiszpanki, które na mnie rzucały tak łaskawe spojrzenia, nie chce pani, byśmy pozostali do końca widowiska.

— Proszę mi wierzyć, że gdyby nie te biedne konie, na nic tu nie zwracałabym uwagi, lecz chętniebym została na walce z następnymi bykami, choćby dla tego samego, by jeszcze popatrzeć na Bombitę, co jest niemniejszą przyjemnością dla mnie, niż dla pana widok tej pięknej Hiszpanki.

— Wobec tego wychodzę z tem mniejszą przykrością, bo mogę lubić Bombitę, jako dzielnego pogromcę byków, ale mógłbym nabrać niechęci do niego, gdybym w nim miał widzieć współzawodnika.

— A co, więc boi się pan jego konkurencji! Widzi pan, a ja, gdy chodzi o pana, wcale się nie lękam rywalizacji z tą piękną Hiszpanką, pomimo, że jest prześliczna, co jej przyznaję bezstronnie. A jednak jestem pewna, iż mnie pan nie opuści dla niej.

— Naturalnie, choćby dla tej prostej przyczyny, że pani jest o wiele piękniejszą od niej.

Tak przekomarzając się żartobliwie, wyszliśmy na plac przed cyrkiem, gdzie niebawem odnalazłem nasz automobil.

W dobry kwadrans później byliśmy już w kasynie, na prześlicznym balu dziecięcym, w bogatej sali balowej, pośród paruset strojnie ubranych dzieci, tańczących w takt muzyki, bawiących się w kotka i myszkę, a wkońcu obdarowanych ładnymi upominkami. Co za kontrast po walce byków!... Podczas balu, gdy jeszcze w najlepsze trwała zabawa, namówiłem panią Helenę, byśmy przeszli do wielkiej sali gry na pierwszym piętrze, spróbować szczęścia w *trente et quarante*. Niestety, szczęście nie dopisało nam dzisiaj... To nas źle usposobiło dla całego otoczenia, począwszy od samej sali, nie wytrzymującej porównania z przepysznymi salonami w Monte Carlo, a skończywszy na grających i półświatku. Najbardziej podobał się nam mały tarasik, przylegający do sali gry, z którego ma się niezrównany widok na całą zatokę (robiącą wrażenie okrągłego jeziora między górami, bo tylko przez wąski przesmyk widać pełny ocean), na śliczne plantacje przed kasynem, z trawnikami i kwietnikami, z grupami pięknych palm, z piękną fontanną pośrodku. Niemniej interesująco przedstawiał się wielki taras pod nami, ciągnący się na całej przestrzeni kasyna, a w tej chwili rojący się wykwinnym tłumem, który przy dźwiękach orkie-

stry, grającej w altanie pośrodku, spacerował tam i z powrotem, lub pił herbatę przy stolikach.

Zachęceni tym widokiem, zeszliśmy po dzieci, z którymi razem przeszliśmy na *five o'clock tea* na tarasie. O godzinie wpół do 7-ej, po skończonej corridzie, taras zapełnił się jeszcze gęściejszym tłumem najelegantszej publiczności, najwytworniejszych płaszców i kapeluszy damskich, a gdy się zaczęło ściemniać, gdy na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy, wszystkie latarnie zajaśniały światłem elektrycznym, a fontanna na esplanadzie, jako *fontaine lumineuse*, zaczęła się mienić wszystkimi barwami tęczy.

Ażeby wyczerpać cały program przyjemności, których dostarcza pobyt w San Sebastian, poszliśmy do teatrzyku *Parisiana*, gdzie można widzieć różne tańce hiszpańskie, a więc i urodziwe tancerki. Nie będę opisywał tych tańców z kastanietami, przy dźwiękach gitar i mandolin, przy podniecającem tupaniu i klaskaniu, co chwilami wytwarza atmosferę zapamiętania i szału, ale nie mogę nie zapisać szczegółu, który mię ubawił istotnie: że dwiema najpiękniejszymi tancerkami, których taniec naprawdę porywał i budził entuzjizm wśród widzów, były owe dwie Hiszpanki z łoży, które teraz, w pysznych strojach andaluzyjskich, w cudnych szalach z frendzlami, wydawały się jeszcze piękniejszymi o wiele, niż w cyrku. A żeśmy siedzieli w pierwszym rzędzie nawprost

scenki, więc nas dostrzegły odrazu, przyczem nie obeszło się bez sympatycznych uśmiechów i spojrzeń, posyłanych pod *naszym* adresem, a zdaniem pani Heleny pod *moim*. Wyraziła nawet podejrzenie, że dlatego ją namówilem na te tańce hiszpańskie — którei zresztą była zachwycona — ponieważ wiedziałem o tych tancerkach, czemu zaprzeczyłem z czystym sumieniem.

Po obiedzie w *Hôtel du Palais*, przy którym już ja byłem gospodarzem, o 9-tej wyjechaliśmy z powrotem do Biarritz. Dzieci usiadły razem z nami, a miss Bell musiała zająć miejsce przy szoferze. Jazda z zapalonemi latarniami, ziejącemi światłem dwóch tysięcy świec, była nader miła, bo cichy pogodny wieczór, rozjaśniony połową księżyca na niebie, usposabiał romantycznie, a gdy dzieci, odurzone pędem powietrza, usnęły po niespełna kwadransie, mieliśmy dostateczną swobodę, by siedząc obok siebie, dać się rozmarzać tej upajającej jeździe...

9 września. Poniedziałek.

Gdym wczoraj już po 11-tej wieczorem wrócił do domu, oświadczył mi portjer, że kamerdyner od księżnej de la Valière przyniósł dla mnie jakiś pakiet wraz z listem. Było to album księżnej, która, prosząc o autograf, prosiła mię jednocześnie, bym

do niej przyszedł dziś o 1-szej na śniadanie *en petit comité*. Ponieważ na śniadaniu tem, oprócz pani domu, była tylko hrabina Desportes, więc do 4-tej nie nudziłem się ani przez chwilę. Przy tej sposobności dowiedziałem się od księżnej, że mój jutrzejszy odczyt zapowiada się świetnie, że od tygodnia niema już ani jednego biletu, że jeszcze wczoraj, wobec ciągłych zgłoszeń, kazała dostawić kilkadziesiąt krzeseł na scenie dokoła katedry.

O wpół do 5-tej byłem już u pani Heleny, która mię zaprosiła na podwieczorek. Stosownie do jej życzenia przyszedłem z albumem księżnej, którego była ciekawa. Naturalnie, że przeglądając ten wspaniały zbiór autografów największych znakomitości świata całego, pani Helena zaczęła snuć przykre porównania ze swoim skromnym sztambuchem, w którym jedynemi zaszczytnemi autografami są... moje warszawskie i zakopiańskie sonety. Pocieszałem ją jednak, że o ile album księżnej (w którym już wpisałem końcowy ustęp z mego jutrzejszego odczytu) jest mi obojętnem zupełnie, o tyle jej panieński sztambuch jest dla mnie wzruszającą pamiątką młodości i młodocianych porywów.

Po herbacie na tarasie, którą piliśmy we dwoje tylko, bo dzieci były na plaży, poszliśmy na przechadzkę w stronę *Côte des Basques*, ale że pani Helena czuła się jakaś zmęczona, więc wsiedliśmy do pierwszej spotkanej dorożki, każąc się wieźć do *Bois de Boulogne*.

Śliczny to las, jakby stworzony dla zakocha-
nych, tembardziej, że mało uczęszczany przez
gości z Biaritz, a malownicze jezioro Mouriscot,
zwane także *Lac bleu*, czem jest istotnie, dosko-
nale usposabia do poufnych rozmów. Na jeziorze
są łódki, zupełnie takie same, jak na jeziorze w pa-
ryskim Lasku bułońskim, w których widać same
gruchające parki. Gdyśmy trochę wysiedli z po-
woziku, namawiałem panią Helenę, żebyśmy i my
poszli za przykładem tych, co sobie pływali w czół-
nach, ale ona wołała usiąść na jednej z ławek nad
wodą w cienistej alei.

Gdym nie mógł zrozumieć, dlaczego się opie-
rała mym zachętom, co mi, jako zapalonemu wio-
ślarzowi, uśmiechało się podwójnie, odrzekła jakby
smutnie:

— Wogóle nie opieram się panu dosyć i za
bardzo ulegam pańskim namowom różnego rodzaju.

— Przecież nie namawiam pani do niczego
złego.

— Ale mię pan namawia do wielu dobrych
rzeczy, a to jest najniebezpieczniejsze dla kobiety.
Właśnie to demoralizuje mnie najbardziej, że mię
pan ciągle namawia do przyjemności, do których
ja sama mam niekłamaną ochotę, a że sobie zdaję
z tego sprawę, więc później zaczynam mieć wy-
rzuty sumienia, tak, iż nieraz się karcę za moją
słabość wobec pana, za moją zbytnią uległość pań-
skiemu niepożądanemu wpływowi.

— Niepożądanemu?

— Trudno taki wpływ nazwać pożądanym dla kobiety, gdy ją odwodzi od męża, od dzieci, od domu, gdy to jej duszę zatruwa pragnieniami, których nie znała dawniej... Ot, niedalej, jak dziś, gdym przeczytała list od męża...

— Miała pani list od małżonka?

— Mąż mój pisuje do mnie codziennie, czasem nawet dwa razy w ciągu tego samego dnia.

— I nie nudzi go to?

— Panie, mój mąż jest zakochany we mnie, jak student, a że ślepo wierzy tym wszystkim kłamstwom i nieszczerościom, które ja — żeby w nim nie obudzić jakichś podejrzeń — wypisuję w mych listach, więc mu tylko przyjemność sprawia ta korespondencja ze mną. Gdym dziś rano czytała jego ostatni list, pełen takiej tęsknoty, i, co najgorsza, takiego absolutnego zaufania do mnie i... do pana, proszę mi wierzyć, sama przed sobą zarumieniałam się ze wstydu.

— Przesadza pani...

— Bądź co bądź, nie jestem w porządku, bo nie postępuję tak, jak tego mój mąż spodziewa się po mnie, a niewątpliwie i po panu także. Gdyby on wiedział, tak, jak nie przypuszcza nawet, co pan zrobił ze mną, jak pan opanował moją duszę, jak mnie pan potrafił odciągnąć od niego, nie pozwoliłby z pewnością, bym tak grzeszyła dalej, jak grzeszę.

— Pani to nazywa grzechem? Ja tu jeszcze nie widzę cienia grzechu.

— Jeśli nas uczono w katechizmie, że grzeszy się myślą, mową i, uczynkiem, to ja w każdym razie, dzięki panu, za pańskim wpływem, grzeszę przynajmniej myślą i mową, a nawet i uczynkiem poniekąd...

— Chyba we śnie, bo nie na jawie!

— Więc nie uważa pan, że nadużywam nie tylko zaufania, jakim mię darzy mój mąż, ale i tej swobody, której moralnym stróżem i opiekunem uczynił pana? Pod tym względem, niema co mówić, ślicznie się pan wywiązuje ze swego zadania!

— Dowodzi to tylko, że nie jestem stworzony do tak wzniosłej misji, jak ta, którą mi małżonek pani, nie znający mnie dostatecznie, przeznaczył wspaniałomyślnie i... lekkomyślnie. Dowodzi to również, że ja znam panią lepiej, niż jej czcigodny małżonek.

— A to jakim sposobem?

— Bo ja, gdybym był mężem pani, nigdybym pani nie zostawił samej, a tembardziej pod ryzykowną opieką mężczyzny, jeszcze nie zgrzybiałego doszczętnie.

— Myli się pan: mój mąż zna mnie doskonale i wie, że mi się nic złego nie stanie, bo sama sobie jestem najlepszą opiekunką, nawet wtedy, gdy dziwnym zbiegiem okoliczności znalazłam się pod

tak niebezpiecznymi skrzydłami opiekuńczymi, jak pańskie.

— A jednak przyznała pani przed chwilą, że nie jest pani z siebie, jako swej opiekunki, całkiem zadowolona.

— To prawda. I ubolewam [nad tem. Czuje bowiem, że postępuję nieuczciwie, że moralnie zdradzam, a przynajmniej oszukuję mojego męża. Ja, która brzydzę się kłamstwem, znalazłam się w położeniu, że od pierwszej chwili, gdy z panem spotkała się w Biarritz, wciąż muszę kłamać przed mężem! Kłamałam całym moim postępowaniem, gdy tu był z nami, i kłamię teraz, gdy mu piszę w listach, o czem nie myślę wcale. Natomiast zatajam w nich, co czuję i myślę nieustannie, czem żyję, czem oddycham, z czem budzę się rano, z czem kładę się na spoczynek, nad czem nie tylko boleję i rozpaczam, ale i popłakuję niekiedy, gdy jestem sama z moimi myślami... bez nadziei... Bo doprowadził mię pan do tego, iż od pewnego czasu bardzo się czuję nieszczęśliwą.

— Przechodnie?

— A przez kogo, jeśli nie przez pana?!

Tu umilkła i zamyśliła się na chwilę, aż wreszcie, gdy i ja nie zdobywałam się na żadne słowo, ciągnęła dalej:

— Cóż dopiero, gdy pomyślę, że się rozstaniemy niebawem, że pan wróci do Paryża, a ja z mężem będę musiała pojechać do Warszawy.

Dziś, gdy pana nie widzę pół dnia, nie mogę sobie rady dać z tęsknoty. A co będzie wtedy, już za kilka tygodni najdalej, gdy się rozjedziemy w różne strony, gdy będę musiała pogodzić się z myślą, że może już nie zobaczymy się nigdy... co zresztą byłoby może najlepiej dla nas obojga, a dla mnie w każdym razie!

— Dziwna rzecz, że ja jeszcze nie pomyślałem o tem. Żyję chwilą, a co mnie czeka później, o to nie troszczę się na razie.

— Ale ja wiem, co nas czeka w przyszłości. I dlatego tak mi smutno na samą myśl o niej. Dla pana będzie to jeden zajmujący epizod więcej, dla mnie jednak, chwilowo wyrwanej z jałowej szarzyzny życia, znowu się zacznie ta świetna na pozór, a w gruncie rzeczy bezbarwna i jednostajna egzystencja...

Gdy ona tak skarżyła się na swoją dolę, odrazu przysłała mi genialna myśl, którą uważam za zbawienne *eureka* na naszą wspólną tragedję, myśl twórcza, która nas wyprowadzi na jaśnię, z którą jednak na razie wołałem się nie dzielić z panią Heleną.

Rozwód! Czy można znaleźć prostsze rozwiązanie dla naszego konfliktu? Kochamy się, więc musimy się połączyć nierozzerwalnymi węzły. A Hożycki? On musi ustąpić, bo nie ma prawa być mężem — a więc unieszczęśliwiać tem samem —

kobiety, która kocha innego, z którym jedynie może być szczęśliwa.

Powyższa myśl napełniła mię taką otuchą, że na wszystkie utyskiwania pani Heleny, pełne beznadziejnego pesymizmu i zwątpienia, odpowiadałem — ku niemałemu jej zdziwieniu — z pogodnym i niezachwianym optymizmem, tłómacząc jej, że jakoś to będzie, że jeszcze nie wszystko stracone, gdyż jak mówi poeta,

Nie trzeba nigdy tracić nadziei,
Bo bez nadziei nie można żyć!

10 września. Wtorek.

Na śniadaniu byłem u pani Heleny. O wpół do 4-ej, gdyśmy jej automobilem wyruszyli do kasyna, okazało się, że w tym kierunku zdążało tyle samochodów, powozów i dorożek, że już na *Place de la Liberté* utworzył się istny zator z wehikułów wszelkiego rodzaju. Wszystko to jechało na mój odczyt.

Niemniej efektowny widok przedstawiała wielka sala teatralna, do której tłoczono się we wszystkich drzwiach. Na przodzie sceny, zamienionej w świetny salon w stylu *Empire*, stała ukwiecona katedra z sakramentalnemi dwiema świecami i szklanką wody z winem. Zarówno w całej sali, jak i na scenie, panował ruch i gwar: jedni już

siedzieli na swych miejscach, inni ich szukali dopiero, a jeśli chodziło o toalety i kapelusze damskie, to była to poprostu wystawa modeli. Pani Heleny jednak, siedzącej w pierwszym rzędzie, a ubranej czarno w kapeluszu z wielką śnieżnobiłą *pfeureuse'*ą, nie zaćmiewała żadna, a wnosząc ze spojrzeń, jakimi ją darzyli mężczyźni, zdaje się, że nietylko ja byłem tego zdania.

Przywitawszy się z księżną, która mi powiedziała w przelocie, że jeszcze w ostatniej chwili musiano dostawić dwadzieścia krzeseł na scenie, przeszedłem do pokoju za kulisami, gdzie już oczekiwali na mnie ksiądz Bertier, doktor Landouzy i mer. Bardzo byli uradowani niesłychanym sukcesem odczytu, co przetłómaczone na język materja-listyczny, wynosiło przeszło dziesięć tysięcy franków czystego dochodu. Wręczyli mi też jakiś dyplom członka honorowego, przyczem oczywiście nie mogło się obejść bez — krótkiego na szczęście — przemówienia księdza. Odpowiedziałem jeszcze krócej, że lękam się tych zaszczytnych odznaczeń przed odczytem, bo nuż rzecz, którą wygłoszę przed tak świetnem audytorjum, sprowadzi rozczarowanie... Naturalnie były to frazesy nie na serjo, bo gdybym nie był pewien z góry, że mój wykład zrobi dobre wrażenie, nigdybym się nie podjął roli prelegenta.

Punktualnie kwadrans po 4-tej wstąpiłem na mównicę, powitany takimi owacyjnymi oklaskami,

że aż byłem trochę zażenowany niemi, bo przecież nie jestem ani tenorem, ani fortepianistą, ani aktorem, tylko pisarzem. Z drugiej strony jednak, ze względu na panią Helenę, która też klaskała z zapałem, byłem kontent z tego zbyt może hałaśliwego dowodu uznania i sympatji. Gdy się uci-
szono wreszcie, zacząłem czytać moją prelekcję, którą zresztą wygłosiłem prawie całą z pamięci, rzadko zaglądając do skryptu. Powodzenie było nadzwyczajne: przy każdej *pointe*'cie zrywał się grzmot oklasków, a że odczyt obfitował w liczne *pointe'y* (obliczone na taki retoryczny efekt), więc oklasków było prawie tyle, co tekstu. Mimo to, wszystko razem trwało trzy kwadranse zaledwie. W chwili, gdy wszyscy, zaciekawieni memi wywodami, jeszczeby posłuchali kilka lub kilkanaście minut, skończyłem. Odniosłem niebywały sukces, bo nikt przez cały czas ani razu nie spojrzął na zegarek, a gdym przeczytał ostatnią stylistyczną rakieta, równającą się patriotycznemu peanowi na cześć kobiety francuskiej, jako obywatelki, »która zawsze, gdy chodzi o dobro i obronę ojczyzny, umie być bohaterką«, zerwał się istny huragan oklasków, przyczem w uniesieniu, a w dowód hołdu dla mnie, wszyscy — za przykładem księżnej — powstałi z miejsc. Tylko na koncertach Paderewskiego bywałem świadkiem podobnego entuzjazmu.

Gdym w tej chwili spojrzął na panią Helenę,

w której cudnych oczach, wpatrzonych we mnie, dostrzegłem załzawiony wyraz wzruszenia, ucieszyłem się, że ona jest świadkiem tej owacji. Czułem, że jeszcze urósł w jej i tak już wygórowanem pojęciu o mnie, że po dzisiejszym dniu nabierze jeszcze większego respektu dla mej osoby.

Kiedym po zejściu z katedry znalazł się z powrotem w saloniku za kulisami, zastałem tam, prócz księdza, doktora i mera, jeszcze i księżnę, która tu przyszła specjalnie, by mi w imieniu komitetu podziękować za dobry uczynek dla biednych, a przede wszystkim pogratulować odczytu, jako dobrego i pokrzepiającego słowa o kobietach francuskich. Przy tej sposobności zapytała mnie, co robię po wyjściu z kasyna, bo chciałaby, żebym się przyłączył do jej towarzystwa, które się wybiera na *afternoon tea* do pani Miremont. Odpowiedziałem jej bez ceremonji, że już tam jestem zaproszony na herbatę przez kogo innego (co w tej chwili było jeszcze nieprawdą). Wobec tego poprosiła mnie, bym do niej jutro przyszedł na śniadanie, a gdy się zegnała ze mną, oświadczyła mi, że się domyśla, z kim pójdę na podwieczorek.

— *Elle est amoureuse de vous, cette belle Polonaise. Je vous félicite. Une beauté tout à fait exceptionnelle.*

Po niedługiej rozmowie z merem, z doktorem i księdzem (który pragnął wiedzieć zawczasu, czy i na przyszły rok zamierzam przyjechać do Biar-

ritz), pospieszyłem na taras, gdzie na mnie miała czekać pani Helena.

Czekała już parę minut. Gdy się wyłoniła kwestja podwieczorku, a powiedziałem jej, że księżna de la Valière z całym towarzystwem ma być w *Pâtisserie Miremont*, pani Helena wołała zjeść podwieczorek w Carltonie, co mnie dogadzało również. Pojechaliśmy automobilem.

Naturalnie, że przy herbacie najwięcej było mowy o mym odczycie.

— Szkoda, że nie jest pan żonaty. Cóżby to była za rozkosz dla żony widzieć, że to jej mąż odbiera takie oznaki hołdu i uwielbienia! że człowiek, którego ona nosi nazwisko, dla którego ona jest istotą wybraną i ukochaną, tak wysoko wznosi się ponad innych.

Po herbacie wstąpiliśmy po dzieci i miss Bell, siedzące przy namiocie na plaży, i pojechaliśmy do Bayonny, gdzie pani Helena miała coś do załatwienia. To też, gdy ona z Angielką poszła za sprawunkami, ja tymczasem zaprowadziłem jej dzieci na lody, kupiłem im cukierków, a gdy po godzinie znów zeszlśmy się wszyscy, wysłaliśmy do Warszawy, do Hożyckiego, pocztówkę z pozdrowieniami z Bayonny, którą i ja podpisałem również, jako troskliwy opiekun całej rodziny.

11 września. Środa.

Dzisiejsze popołudnie, na tle podwieczorku u pani Heleny w jej buduarku, obfitowało w sceny rzewne, o nastrojach lirycznych, graniczących z sentymentalizmem.

Siedząc nieopodal ślicznego biureczka w stylu Ludwika XVI, zauważyłem na niem, obok paru innych książek, dobrze mi znany z dawnych czasów sztambuch, oprawny w starą materję słucką, zamknięty na srebrną ażurową kłamrę weneckiej roboty.

Nie bez wzruszenia wziąłem do ręki tę księgę, a gdy w niej zaczął przeglądać liczne kartki, zapisane mem młodzieńczem pismem, nie mogłem się oprzeć pewnemu uczuciu melancholji. Ileż to wspomnień zbudziło się w mej duszy, ile obrazów odżyło w wyobraźni, gdy sobie po cichu odczytałem kilka z tych czułych sonetów, które już dziś, całkiem zatarte w mej pamięci, czytałem jak utwory cudze, nie swoje własne.

Obserwując to moje zamyślenie, które odczuła i zrozumiała należycie, zaproponowała mi pani Helena, bym jej głośno przeczytał niektóre z tych moich młodocianych wynurzeń, ale pomimo najszczerzej chęci musiałem odmówić tej prośbie, lękałem się bowiem, że możeby mi głos nieraz uwiązł w krtani.

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy, roz=

stając się ze sztambuchem, który położyłem na dawnym miejscu, spostrzegł na biurku, wśród paru innych, wykwintnie oprawnych książek, miniaturowy tomik z *Wyborem pism* Asnyka, ten sam, który przed 12=stu laty ofiarowałem jego dzisiejszej właścicielce, za naszego ostatniego pobytu w *Zakopanem*!

— A cóż ta książeczka robi tu w Biarritz? spytałem, otwierając ją na pierwszej stronie, gdzie znalazłem dedykację wypisaną przezemnie:

Pannie Helenie
na pamiątkę wycieczki do Doliny Białej wody
i w dowód przyjaźni

H. P.

Zakopane, w sierpniu 1900.

— Tych parę książek, które pan widzi na biurku, zawsze wożę z sobą.

— Jak Aleksander Macedoński *Iliadę* i *Odysseję*.

— Są to moje ulubione dziełka, do których chętnie wracam w chwilach samotności.

Rzuciłem na nie okiem, dostrzegając między innemi Rozmyślenia o naśladowaniu Chrystusa, *Pages choisies* Musseta, *Sagesse* Verlaine'a, *Pana Tadeusza*...

Lecz jednocześnie przeglądałem poezję Asnyka,

nie mogąc oderwać się od nich. Świadoma uczuć, które we mnie musiała obudzać ta niespodziewana lektura, rzekła pani Helena:

— Wie pan co? Przypomnijmy sobie dawne czasy, te nasze dobre czasy, i poczytajmy Asnyka, którego pan czyta tak subtelnie, a którego ja zawsze słuchałam z taką rozkoszą? Pamięta pan?

— Jakżebym nie miał pamiętać? Conajwyżej mogłem przypuszczać, że to pani raczej zapomniała o tych zakopiańskich wieczorach, gdyśmy razem czytawali tego mojego ulubionego poetę.

— Myli się pan: nie zapomniałam o nich wcale, a nawet, niestety, może pamiętam za dobrze. Ale czytajmy.

To mówiąc, siadła na miękkiej kanapce, mnie wskazując miejsce naprzeciw, na starym francuskim fotelu z czasów Henryka IV.

No, i zacząłem czytać, wybierając te wiersze, któreśmy czytawali dawniej, a które w tej chwili były jakgdyby poetycznym odbiciem mych dzisiejszych uczuć.

Na początek wybrałem dwie następujące zwrotki:

Ja ciebie kocham! ach, te słowa
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!
Miałaby wrócić wiosna nowa,
I zbudzić kwiaty, co w niem śpią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć,
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzieńczy dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

Ja ciebie kocham! czyż być może?
 Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?
 Ach, nie, bo jasną widzę zorzę
 I pierzchającą widzę noc!
 I wszystko we mnie inne, świeże,
 Zwątpienia w sercu stopniał lód,
 I znowu pragnę, kocham, wierzę,
 Wierzę w miłości wieczny cud!

Głos mi trochę drżał ze wzruszenia, gdym czytał
 te przejmujące strofy, a kiedym spojrzał na panią
 Helenę, wsłuchaną i zamyśloną, dostrzegłem dwie
 wielkie łzy, ociekające z jej tęsknych oczu.

Przypadek zdarzył, żem właśnie natknął się na
 śliczny wiersz, zwrócony do *Płaczącej*.

Ty płaczesz, dziewczę? Łez twoich szkoda:
 Na te łzy gorzkie jeszcześ za młoda.

Otrzyj swe oczy:
 Świat tak uroczy,
 Na niebie jasna pogoda...

.....
 Choćby cię większa dotknęła strata.
 Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata...

Prędko się zgoi
 Ból w piersi twojej:
 Łzy schowaj na dalsze lata!

Pani Helena przetarła oczy, ale nie rzekła ani
 słowa, czekając tylko, jaki wiersz przeczytam z kolei.
 Wybrałem *Uwielbienie*.

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!
 I nie zapomnę pod ziemią czy w niebie
 O twej jasności...

Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,
 Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,
 Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem
 Wiecznej miłości!

Nie otoczyłaś mnie pieśzczotą senną,
 Ani też falą spłynęłaś płomienną
 Na pierś stęsknioną.
 Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,
 Gdzie tylko ciała w upojeniu toną...

Ostatnich dwóch wierszy, kończących ten płomienny erotyk, nie przeczytałem umyślnie, albowiem nie odpowiadały moim uczuciom dla pani Heleny, czego domyśliła się widocznie, bo kiedyś urwał nagle, ona, rozmarzona zmysłowością tej strofy, którą też przeczytałem odpowiednio, zauważyła tonem strofującym, ale z uśmiechem i nie bez zalotności w zmrużonych oczach:

— Mam wrażenie, że to, co poeta starał się zatrzeć w swym utworze, mianowicie, tę »bańkę zmysłów tęczowej nicości«, to pan intonacją tendencyjnie wydobył na pierwszy plan.

Zarzut ten, słuszny całkiem, a również podkreślony tendencyjnie, zostawiłem bez odpowiedzi, za którą musiał starczyć następujący wiersz, przeczytany z ogniem i uniesieniem:

Ach, powiedz, powiedz! jaki Bóg
 W nadziemskie ubrał cię szaty,
 Abyś w piękności zbrojna łuk
 Zburzyła promienne światy.

Ach, wobec ciebie niema nic!
 Ty łamiesz prawa odwieczne,
 I przed jasnością twoich lic
 Promienie gasną słoneczne!

Niebiosa, ziemia, błękit wód,
 Wszystko przepada i ginie,
 Gdy ty w piękności zbrojna cud
 Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy
 Białością swojego łona,
 Rozkoszy dreszczem ziemia drży,
 Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż
 Z pragnienia umrzeć by trzeba,
 Jak ogień wstrząsa światem dusz
 I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
 Twą piękność w całym rozkwicie?
 Kto może oddać tobie cześć
 I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
 Twych włosów bawić się splotem?
 Kto pić namiętną może woń
 I jeszcze nie umrzeć potem?

— Kto? Mój mąż! przerwała, śmiejąc się, pani Helena.

Uwaga ta, będąca bolesnym dysonansem, nagle wtrąconym do tej płomiennej pieśni miłosnej, mentalnie zmroziła mój lektorski zapach. Nie bra-

kowało wiele, a książka by mi wypadła z rąk, tak byłem stropiony tym okrutnym dowcipem.

A ona tymczasem, rozparłszy się na kozetce, tak, że przybrała dziwnie kuszącą pozę, powabna całym urokiem swej zmysłowej piękności, z dziw=nie sfinksowym wyrazem wlepiając we mnie swe magnetyzujące oczy, rzekła nie bez ironji, zwolna cedząc każde słowo:

— Teraz to pan zazdrości mojemu mężowi, który, szczęśliwy ze mną, wcale nie myśli umierać z miłości ku mnie.

— Niech pani tak nie mówi! Proszę oszczędzać mi trochę!

— Nic mi pana nie żal. Czytając ten wiersz, czytał go pan nie takim tonem, jakby to poeta mówił do jakiejś nienazwanej kobiety, ale jakby to *pan* mówił do *mnie*. Dlatego poprostu odpowiedziałam panu w swoim imieniu, za co przepraszam najpokorniej. Proszę się nie gniewać na mnie.

To mówiąc, przechyliła się ku mnie, podając mi dłoń do ucałowania.

— Już nie ma pan ochoty czytać dłużej? zapytała, cofając rękę, by skrócić te przeprosiny.

— Po tem, com od pani usłyszał przed chwilą, myślę, że możeby już przerwać to czytanie.

Ale żem właśnie trafił na smutne *Uspokojenie*, tak doskonale odpowiadające mojemu żalowi w danej chwili, więc mimowoli zacząłem czytać znowu:

Odtrąciłem od siebie zdaleka
 Samolubną boleść, co się żali,
 Jednak w piersiach mam serce człowieka
 I nie jestem ukuty ze stali.

Więc dźwigając swoich smutków brzemień,
 Czuję nieraz, że mi braknie sił,
 I upadam zmęczony na ziemię,
 Odkrywając rany, którem krył.

Lecz słabości nie wstydzę się swojej,
 Ni litości cudzej, którą czerpię:
 Mnie czasami żądać jej przystoi,
 Gdyż nietylko sam za siebie cierpię...

— Ale trochę i za mnie także! wtrąciła pani Helena.

— Jeśli tak, to najsmutniejsze to, że cierpiąc za nas oboje, winę muszę przypisać sobie. Choć nie całą, bo chyba przyzna każdy, że i pani swem dwuznacznem postępowaniem zawiniła niemało.

— Przyznaję w ostateczności, ale moja wina jest o tyle mniejsza, że ja, może postępując niewłaściwie, zbyt płocho, postępowałam tylko jak kobieta, trochę za pewna siebie, podczas gdy w panu, kiedy chodziło o mnie, literat wziął górę nad mężczyzną.

— Co pani rozumie przez to?

— Jestem przekonana, że gdyby moją rywalką była druga kobieta, z pewnością odniosłabym zwycięstwo nad nią. Niestety, moją współzawodniczką była literatura, która widocznie była pańskim bó-

stwem najpierwszem, skoro mnie pan tak łatwo poświęcił i rzucił dla niej. Inaczej nie zostałabym pokonaną, co zresztą mnie z pewnością dotknęło boleśniej, niż pana.

Gdym w milczeniu i ze spuszczoneym wzrokiem, jak człowiek, co ma nieczyste sumienie, słuchał tych usprawiedliwionych wyrzutów, jednocześnie w różnych miejscach przeglądając trzymaną książkę, mimochodem trafiłem na wiersz, w którym, jak w poetycznem zwierciadle, ujrzałem moje zwichnięte życie. Przeczytawszy go po cichu, rzekłem, wstając z fotelu:

— Niech mi pani da swoje album, a wpiszę doń wiersz, który, choć nie mój, jednak ma taką wymowę w odniesieniu do mego losu, że śmiało mogę się podpisać pod nim.

A gdy ona, zaintrygowana tym moim wyborem, podała mi album i pióro, siadłem przy biurku, by dosłownie przepisać następujące zwrotki:

Nie mów, chociażbyś miał ginąć z pragnienia,
 Że wszystkie źródła wyschły już bijące;
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów, chociażbyś umierał z tęsknoty,
 Że niema czystej miłości na ziemi,
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił zfoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
 Odnaleść w życiu, marą jest zwodniczą!

*Zdrój czystych uciech będzie innym szumiął
I inne serca poń swą słodyczą.*

• Od siebie poniżej dodałem tylko następujący dopisek:

Jako epilog do swych zakopiańskich sonetów z przed lat dwunastu wiersz ten z Asnyka przepisał

Henryk Popieł

Biarritz, Willsa Mon Bonheur

11 września 1912.

— Co mają oznaczać te podkreślenia? zapytała pani Helena, która przez cały czas, gdy pisałem te wiersze, stała nademną, patrząc poprzez me ramię, jak piórem wiodłem po papierze.

— Te podkreślone wyrazy, odrzekłem poważnie, najlepiej wypowiadają istotę tragicznej omyłki, która, niestety, rozstrzygnęła o mem całym życiu. Goniłem pustyń piaszczystych złudzenia, gdy dla literatury wyrzekłem się mej pierwszej miłości, a mi nałłem strumień na zielonej łące, którym było osobiste szczęście w pożyciu z kobietą ukochaną, jedyną, którą kochałem naprawdę...

— I która pana kochała!

— Zdążyłem za błędnymi ognikami sławy, a porzuciłem miłość prawdziwą, która sama garnęła się do mnie. Dziś, gdy samotny na świecie, mogę umierać z tęsknoty i żalu, ale już nie zda mi się

to na nic. Krótko mówiąc, zmarnowałem życie, bo jaką wartość posiada ziemską wędrówka człowieka, gdy jej nie opromienia miłość żony i dzieci, gdy sobie nie umiał stworzyć własnej rodziny!... Wszystko to, co stanowi największy urok życia, a co swe źródło ma w czystej miłości kobiety, ja ominąłem lekkomyślnie. Znalazłszy szczęście, które tylko podnieść należało, nie chciałem schylić się po nie! Dlatego dziś »zdrój czystych uciech«, stanowiących szczęście ziemskie, szumi nie dla mnie, lecz dla męża pani, i jego serce, nie moje, poi swą słodyczą.

Gdym tak rozwodził się nad mą niedolą, pani Helena znów usiadła na kozetce, a gdym umilkł wkońcu, rzekła po pewnej rozwadze:

— Niech mi pan jeszcze przeczyta cudną *Rezygnację*, którą tak zachwycaliśmy się w *Zakopanem*. Pamięta pan?

Choć wiersz ten do dziś dnia umiem prawie cały na pamięć, jednak odszukałem go w zbiorze i uczyniłem zadość życzeniu pani Heleny:

Wszystko skończone już pomiędzy nami,
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie.
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami,
I żyć i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mej piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą,
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,
Pęknięte struny zadrzeć już nie mogą.

Niema boleści, coby mnie trwożyła,
 Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę,
 Ogniowa próba dla mnie się skończyła
 I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,
 Żebym się po nie miał schylić ku ziemi,
 I żaden zawód sił mych nie osłabi:
 Przebytą męką panuję nad niemi.

Światowych uczuć nicość i obłuda
 Już mnie nie porwie swym chwilowym szaleństwem:
 Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
 Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

W tem miejscu urwałem nagle, w miarę bowiem, jak się zastanawiałem nad treścią tych przejmujących strof, jakiś niepokój, jakby złe przeczucie, coraz bardziej mię zaczynał wytrącać z nerwowej równowagi. Wkońcu, odłożywszy książkę, zapytałem bez żadnych wstępów, badawczo wpatrując się w panią Helenę, gdy, wyrwana z zadumy, spojrzała na mnie, zdziwiona, żem nie czytał dalej.

— Zaciekawia mnie, dlaczego pani poprosiła mnie o przeczytanie tego wiersza właśnie?

— Już samo pańskie zapytanie świadczy wyraźnie, że się pan domyśla mojej intencji.

— Nie domyślałem się niczego. Ale chciałbym wiedzieć...

— Skoro pan żąda tego, powiem otwarcie, że w prośbie mej, by pan przeczytał *Rezygnację*

Asnyka, ukrywa się życzliwa rada, płynąca z dobrego i szczerego serca, rada, której i sobie udzielałam jednocześnie: oto, żeby ten duch, «co rezygnacji nosi ziemskie miano», na zawsze w pana sercu uciszył wszystkie burze, jakie w niem powstały z mego powodu. Rezygnacja! Oto, co nam pozostaje obojgu. Nie widzę innego wyjścia.

— Jabym może widział inne.

— Mnie jednak, dodała z naciskiem, *nie wolno* oglądać się za jakimkolwiek innym.

— Jakto »nie wolno«?

— Bo ja przedewszystkiem *nie chcę* szukać innego wyjścia.

12 września. Czwartek.

To, na co nie mogłem odważyć się wczoraj, uczyniłem dzisiaj. Mając głowę nabitą rozwodem pani Heleny z mężem, już od samego rana, gdyśmy się spotkali na plaży, upatrywałem stosownej chwili, by wszcząć rozmowę na ten temat. Nawet w kąpielu, gdyśmy odpoczywali w łódce, zacząłem mówić o rozwodzie jednego z moich paryskich przyjaciół, ale pani Helena traktowała tę kwestję, jak każdą inną, i szybko nad nią przeszła do porządku. Dopiero po południu, gdyśmy dzieci z miss Bell odprowadzali do Cinema-Pathé, a sami poszli na spacer w kierunku Miramar, zdecydowałem się

poruszyć ten przedmiot. Za pretekst posłużyła mi ta sama zmyślona historia mego przyjaciela, żeniącego się z kobietą, oddawna kochaną, którą na to jednak, by z nią stanąć na ślubnym kobiercu, wprawdzie musiał rozwieść z mężem. Gdym tę całą historję — ze wszystkimi skomponowanemi przezemnie *ad usum Delphini* romansowemi perypetjami — opowiedział pani Helenie, ona, wysłuchawszy jej spokojnie do końca, w tych krótkich słowach sformułowała swój pogląd na całą sprawę:

— Jaby nigdy nie postąpiła w taki sposób.

— Jakto? zapytałem zdumiony.

— Uważam bowiem, że kobiecie, o ile to jest naturalnie kobieta szlachetna i poczciwa, a nie jakaś samolubna istota bez czci i wiary, nie wolno rozwodzić się z mężem, z którym ją łączy sakrament i dzieci.

— Jakto, choćby nie kochała swego męża, a była zakochaną w kim innym?

— Jeżeli ten mąż jest człowiekiem na miejscu, tak, że mu nic zdrożnego zarzucić nie można, to obowiązkiem kobiety, gdy raz z wolnej a nieprzymuszonej woli została jego żoną, wytrwać w tej roli, choćby z zaparciem się siebie, choćby z tragedją w sercu! Cóż dopiero, gdy z tym mężem ma dzieci!

— Nie przypuszczałem nigdy, by pani w podobnie katechizmowy sposób rozstrzygała tak do-

niosłą kwestję w życiu kobiety, jak miłość i jej zadośćuczynienie.

— Przykro mi, że mię pan uważał za zdolną do myślenia inaczej. Znaczy to, że mnie pan uważa za gorszą, niż jestem w istocie. Tymczasem ja, będąc pocziwszem stworzeniem, niż może wyglądam na to, jestem zdania, że pański kolega postąpił nieszlachetnie, gdy żonę odebrał przyjacielowi, a co się tyczy tej pani, to, wyrażając się oględnie, uważam, iż postąpiła niegodnie, czyli — nazywając rzecz właściwem imieniem — niegodziwie, gdy odešla swego męża, który tylko tyle zawinił względem niej, że nie umiał być tak czarującym, jak jego rzekomy przyjaciel. Gdybym nie bała się oburzyć pana, tobym powiedziała poprostu, że ten pański znajomy, który okazał się zdolnym do takiego postępku, nie musi być człowiekiem wielkiej prawości; a ta dama, która niebawem ma zostać jego żoną, to musi być nieciekawa egoistka, z którą mu nie wróżę wielkiego szczęścia. Coby pan np. pomyślał sobie o mnie, gdybym się zdecydowała rzucić mojego męża?

Już jej chciałem odpowiedzieć, ale mnie nie dopuściła do głosu.

— Mój mąż nic nie jest winien temu, że ja zgodziła się zostać jego żoną. Zakochał się we mnie, więc chciał się ożenić ze mną. Ja ostatecznie wyszłam za niego, wszystko jedno z jakich pobudek: dość, że mu przysięgłam dogonną miłość

i wierność. To moja, a nie jego wina. Mogłam nie wychodzić za niego. Gdy został moim mężem, ojcem moich dzieci, zawsze myślał tylko o tem, bym pod żadnym względem nie potrzebowała się skarżyć na niego. Jest to człowiek miły — sam pan to musi przyznać — inteligentny, wykształcony, kulturalny, wielkiej zacności i dobroci, a że jest trochę prozaiczny może, to trudno: życie nie jest poematem. Żyjemy z sobą zgodnie i zbożnie od lat dziesięciu, przyzwyczailiśmy się do siebie, tak dalece, że nawet ja, choć nigdy w nim nie byłam zakochana, przywykłam do niego, lubię go, cenię, a nie mogę być obojętną na to, owszem, jestem ujętą tem stanowczo, że mnie ubóstwia bez zastrzeżeń, żem dla niego wszystkim! Otóż niech pan sobie wyobrazi teraz, że na drodze mej stanął człowiek, w którym się zakochałam bez pamięci, i że wskutek tego chcę rzucić męża, dzieci, obowiązki, jakie mam względem nich, i zostać żoną tego drugiego. Coby pan o mnie powiedział w tym wypadku?

— Powiedziałbym, że pani postąpiła rozumnie.

— Panie, rozum jest największym wrogiem dobroci, a wrodzona dobroć jest najwyższą cnotą kobiety. Kobieta dobra z natury, nawet gdy kocha innego, ma sumienie, a sumienie mówi przede wszystkim: Nie zabijaj!

— Ależ nie chodzi tu bynajmniej o jakieś męż-zobójstwo!

— Gdybym ja, mając tak zacnego męża, rzucała go bezwzględnie, nie oglądając się na nic, równałoby się to zbrodni z mojej strony. A co się tyczy mego męża, to wołałby on bezwarunkowo — jestem tego pewna — bym go zamordowała raczej, niż żebym go porzuciła dla innego. Zresztą onby nie przeżył takiej katastrofy! Ale bo też byłoby to więcej, niż zbrodnią z mojej strony: toby była poprostu nikczemność, toby się równało podeptaniu wszystkiego, co jest najświętszem w naszym życiu. A dopieroż dzieci! Żona, która rzuca męża, rzuca zarazem i dzieci, a kobieta, która jest do tego zdolną, jest wyrodną matką, jest moralnym potworem, dla mnie przynajmniej. Nawet gdy nie mogąc się z niemi rozłączyć, wydziera je pocziwemu i przywiązanemu do nich ojcu, jest podłą. Niech pan sobie wyobrazi tylko, że ja, zakochawszy się w kim innym, naprzykład w panu (tu popatrzyła na mnie śmiało), rozwodzę się z moim mężem, a więc z natury rzeczy albo dobrowolnie rozłączam się z moimi dziećmi, czyli wyrzekam się ich, albo je zabieram ich rodzonemu ojcu, który je kocha całą siłą ojcowskiego instynktu, który jest równie silnie przywiązany do nich, jak ja, którego miłość ogarnia je razem ze mną, nierozłącznie. Czy można mieć szacunek dla takiej kobiety? To też co do mnie, to choćbym nawet zakochała się w kim do szaleństwa, nigdybym nie rozstała się z moim mężem, choćby ze względu na dzieci.

Bo te niewinne istoty zawsze padają ofiarą wszelkich zatargów między rodzicami, kończących się rozejściem w różne strony. Inna rzecz, gdybym miała męża niegodnego mnie: gdyby to nie był człowiek szlachetny, lecz jakiś niski charakter, z którym czułabym się nieszczęśliwą, pokrzywdzoną, zaniedbywaną. Wtedy, gdybym spotkała innego, któregobym pokochała, lub któremu kochała dawać, mogłabym nie zawahać się wejść na przykrą drogę rozvodu. Ale tylko w tym jednym wypadku! Wtedy też z czystym sumieniem mogłabym walczyć o dzieci, którebym zabrała z sobą, żeby je uchronić przed złym wpływem ojca.

— Wszystko to brzmi bardzo pięknie, bardzo szlachetnie, ale co począć z tą nieszczęsną miłością, która się zbudziła w sercu pani? Co zrobić z tym nieszczęśliwym człowiekiem, który nietylko że kocha panią, ale ma ten przywilej, że jest kochany wzajemnie, a nie rozumie życia i szczęścia bez pani? Jak on ma sobie radzić ze swoją miłością, której pani w swem rozumowaniu zdaje się nie brać w rachubę? Wszak miłość to nie jakaś *quantité négligeable* w życiu, lecz jego największy urok, najpiękniejszy kwiat.

— Ale poza miłością istnieje jeszcze poczucie obowiązku, którego uczciwe spełnianie, choć może nie jest urokiem życia, w każdym razie nie przestaje być jego dźwignią.

— A miłość dla tego drugiego?

— Tę, ponieważ przysłała za późno, nie w porę, trzeba złożyć na ołtarzu osobistego poświęcenia. Może to być poświęceniem bolesnem, nawet tragicznem, ale jednocześnie daje wielkie zadowolenie moralne, że się nie popełniło nikczemności wobec człowieka, od którego nie doświadczyło się nic złego, a wiele dobrego, z którym się ma miłe i ładne dzieci, z którym się stworzyło ognisko rodzinne.

— Nie przypuszczałem nigdy, by pani tak się umiała powodować trzeźwym rozumem, i to tam właśnie, gdzie w grę wchodzi wyłącznie uczucie.

— Myli się pan, bo w danym wypadku powodowałabym się tylko uczciwością i dobrem sercem.

— Ale to dobre serce wcale nie zabiera głosu, a nawet doradza być bez serca, gdy chodzi nie o męża, ale o człowieka kochanego. Przypuśćmy, że to ja jestem tym szczęśliwcem.

— Gdyby chodziło o pana specjalnie, to również nie postąpiłabym sobie inaczej, choć przyznaję, że ofiara byłaby wielka, bardzo wielka!... Ponieważ wiem jednak, że panu nawet się nie śni o rozwojeniu mnie z mężem, choć może chwilowo jest pan zakochany w swojej *amie d'enfance*, więc mogę o sprawie tej mówić z panem całkiem otwarcie.

— Bardzom ciekawy zapatrywania pani.

— Z panem miałyby się rzecz tak. Ponieważ pan zawinił względem mnie, nie żeniąc się ze mną wtedy, gdy był czas po temu, więc teraz, za sprawą tej bogini Nemezis, która pamięta o pom-

ście za każdą krzywdę, pan musi ponieść zasłużoną karę. Porzuciwszy mnie nieopatrznie, a tem samem sponiewierawszy moją pierwszą dziewczęcą miłość, i dopuszczając do tego, że musiałam zostać żoną innego, musi pan dziś pogodzić się ze skutkami i konsekwencjami swego nierozważnego kroku. Nie starając się pojąć mnie za żonę, gdy byłam wolna, obecnie, gdy jestem poślubiona innemu, i to człowiekowi bez zarzutu, nie może pan wymagać odemnie, bym szła za panem, bym dla pana krzywdziła męża i dzieci. Już zapóźno! Z przebytej drogi życia, na którą za pańską sprawą wstąpiliśmy oboje, rozchodząc się w różne strony, dziś niema już odwrotu! Musimy kroczyć nią dalej, każde osobno, choć ze skrwawionem sercem, choć po cierniach!

— Takich kobiet, jak pani, jest niewiele! Szczęśliwy, komu Bóg dał taką żonę!

Jeszcze długo rozmawialiśmy na ten poważny temat, a rozmowa nasza, nawet żartobliwa chwilami — bo niby nie chodziło o mnie na serio — ostatecznie utwierdziła mnie w przekonaniu, że wszystko, com przez tych kilka dni roił o rozwoju pani Heleny z mężem, zasługiwało na miano... literatury! Realne życie obiera inne szlaki, a Nemezys bywa okrutna w wymiarze sprawiedliwej kary za popełnione i niedarowane winy. Jej sędziowski nieubłagany miecz właśnie mnie dotyka w tej chwili,

16 września. *Poniedziałek.*

Od piątku do dzisiaj byłem w Lourdes, gdzie razem z panią Heleną i jej dziećmi oddychałem atmosferą świętości i cudowności. Przez trzy dni żyłem wśród pielgrzymów, księży, mnichów i zakonnic, wśród zbiorowych modlitw i ekstazy mistycznej, w świecie, w którym średnie wieki ciągle się kłóć z XX stuleciem, z epoką nowoczesnego komfortu, kolei żelaznych, elektryczności i samochodów, nie mówiąc już o kinematografach. W każdym razie bardzo jestem zadowolony z poznania tego »cudownego miejsca« u podnóża Pirenejów, zwłaszcza, że doń odbył moją pielgrzymkę w tak miłym towarzystwie, że wszystko, co tam jest godnego widzenia, oglądał razem z panią Heleną, przez pryzmat mojej miłości ku niej. Bądź co bądź, przeżyłem pamiętne trzy dni, pełne niezwykłych wrażeń i wzruszeń.

Wyjechaliśmy w piątek rano o 9-tej przy najcudniejszej pogodzie, która nam zresztą dopisała aż do dzisiaj. Ponieważ chodziło o to, by na południe być w Pau, gdzie mieliśmy zabawić parę godzin, więc niemal przez całą drogę jechaliśmy z szybkością 50—60 kilometrów na godzinę. Droga z Biarritz do Pau, przeważnie nad malowniczymi brzegami rzeki Gave, jest jakby stworzona do jazdy samochodem, cóż dopiero, gdy w tym samochodzie siedzi tak urocza kobieta, jak pani Helena,

i tak miłe dzieci, jak Henio i Zosia! To też nie obejrzelśmy się nawet, jak o wpół do 12-tej wjechaliśmy w dość małomiasteczkowe ulice ślicznie położonego w górach Pau. Wyszliśmy przed wspólnym *Hôtel de France*, gdzie w wykwintnej restauracji zjedliśmy śniadanie. Niezależnie od tego, jakie myśli — po naszych ostatnich rozmowach — snuły nam się po głowie, byliśmy wciąż, i pani Helena, i ja, podnieceni coraz nowymi wrażeniami, szybko następującymi jedne po drugich, tak, że nie było czasu na refleksje, na głębsze wejrzenie w siebie. W ten sposób odbyliśmy całą gromadą, pod przewodnictwem jowjalnego *guide'a*, spacer po głównych ulicach miasta (martwego teraz, a bardzo ożywionego w czasie zimowego sezonu), obejrzelśmy piękniejsze sklepy, zwiedziliśmy piękny zamek Henryka IV, podziwialiśmy wspaniałą panoramę górską, zakończoną śnieżnym łańcuchem Pirenejów na całej linii widnokładu, która się rozciąga ze słynnych tutejszych tarasów, rzeczywiście imponujących kolosalnością, a o godzinie 4-tej, zmęczeni zwiedzaniem i chodzeniem w upał, znów wsiedliśmy do samochodu.

O 6-tej wjeżdżaliśmy już do świątobliwego Lourdes. Tu nas przedewszystkiem uderzyła piękność położenia, a stary średniowieczny zamek na skalistym wzgórzu, królujący nad całym miasteczkiem w dolinie wśród lesistych gór, ogromnie podnosi jego malowniczość. To jest pierwsze wraże-

nie. Drugiem, gdy się przejeżdża ludnymi ulicami, są niezliczone sklepy ze świętościami, ciągnące się prawie nieprzerwanym szeregiem wzdłuż obu trótuarów. Lecz co nam na razie zaimponowało najbardziej, to *Grand Hôtel Moderne*, w którym już z Pau telefonicznie kazaliśmy zamówić pokoje. Co za hotel! Prostu ma się złudzenie, że się jest w jednym z najelegantszych hoteli w Paryżu! Choć w nawiasie wspomnieć należy, że hotel ten, największy i pierwszy w mieście, należy do rodziny błogosławionej Bernadetty Soubirous, której, ponieważ w grocie miała widzenie Matki Boskiej, dzisiejsze Lourdes, jako miejsce pobożnych pielgrzymek z całego świata, zawdzięcza swój niebywały rozkwit. Niegorzej na tem wyszła rodzina Bernadetty, jej bliżsi lub dalsi krewni, którzy, usposobieni mniej mistycznie, zajmują się hotelarstwem i handlem świętościami. Choć sama Bernadetta umarła w biedzie, niemal w nędzy i zapomnieniu, jej rodzina dziś należy do najbogatszych przedsiębiorców w Lourdes, czego olśniewającym dowodem jest właśnie *Grand Hôtel Moderne*.

Ogarnąwszy się nieco, o 7-mej zeszliśmy się w wielkiej kolumnowej sali restauracyjnej, gdzie zawczasu kazałem zarezerwować stolik. Co za ruch, co za gwar, a przytem jaka wyborna kuchnia! Gdyby nie mnóstwo księży, gdyby nie te fiolety dokoła kardynalskiej purpury, siedzące przy długim osobnym stole w samym środku sali, znó-

wuby można myśleć, że to nie słynące z cudów Lourdes, ale Paryż. Panią Helenę trochę razili ci bogobojni »pielgrzymi«, na tle tych zbytkownych salonów, na tle tych ukwieconych stołów z wytworną zastawą, na tle tego wyszukanego *menu* z langustami, z łososiami i turbotami, z wyborowymi winami Bordeaux w podłużnych koszykach, z butelkami szampana w srebrnych kubłach z lodem...

Zaraz po obiedzie wyszliśmy na miasto, w kierunku bazyliki, gdzie o godzinie 7-ej miała się odbyć wielka procesja wieczorna *avec des flambeaux* t. j. ze świecami w papierowych tulipanach. Był ciepły wieczór bez najłżejszego wiatru, z niebem w gwiazdach. Na ulicach, rzęsiście oświetlonych żarówkami lampami elektrycznymi, panował ogromny ruch; wszystko zdążało na procesję, wszystko zaopatrywało się w długie świece, które sprzedawano na każdym kroku. Równocześnie hałaśliwi roznosiciele zachęcali do kupowania dzienników paryskich, świeżo nadeszłych ostatnim pociągiem.

Nareszcie doszliśmy do miejsca na początku esplanady, gdzie wznosi się kamienna figura Matki Boskiej, oświetlona mnóstwem jarzących się świec, a otoczona liczną grupą pobożnych, klęczących i śpiewających litanję. Stąd miała ruszyć procesja, tu ustawiano się do pochodu w dwa równoległe szeregi. Wszędzie mnóstwo księży, dyrygujących

pielgrzymami. W procesji, która miała wyruszyć za chwilę, uczestniczyły pielgrzymki angielskie, hiszpańskie i bretońskie, razem podobno 17.000 osób. Wobec tego łatwo sobie wyobrazić tłum cisnący się dokoła.

Gdy wreszcie pochód ruszył z zapalonemi świecami, śpiewając na monotonną nutę: *Ave! Ave!* widok był imponujący, a raczej podniosły, wzruszający, coś jakby wagnerowski chór pielgrzymów z *Tannhäusera*, tylko na gigantyczne rozmiary. Procesja, której nieskończony wąż, niby jakiś nieprzejrzany sznur światełek, rozciągał się na ogromnej przestrzeni, obeszła całą rozległą esplanadę t. j. wielki podłużny plac przed bazyliką, w chwili zaś, gdy poczęła wchodzić na kamienne krużganki w formie półokrągłych wiaduktów na arkadach, po których szerokimi stopniami wchodzi się do górnego kościoła z wysmukłą wieżą gotycką, cały gmach świątyni, od dolnych aż do górnych kondygnacji, aż po sam szczyt wieży, roziskrzył się niezliczonymi różańcami kolorowych lampek elektrycznych, a cała wieża, z dołu oświetlona niewi-
dzialnemi reflektorami, zajaśniała jakimś mistycznym światłem, co na ciemnem gwiazdzistym niebie czyniło rzeczywiście niepospolity efekt.

Ponieważ dzieciom nie pozwolono przyłączyć się do pochodu (tak, że musiały stanąć z miss Bell na boku w tłumie przypatrującej się publiczności, a potem równo z nami posuwały się na-

przód), więc w procesji ja towarzyszyłem pani Helenie, krocząc tuż za nią, z płonąca świecą w ręku, i śpiewając z pozornem przejęciem: *Ave! Ave!* Nie znaczyło to jednak, bym uczestnicząc w tej ceremonji, wyzbył się mojego krytycyzmu, bym nie czynił mnóstwa obserwacji literackich, zarówno nad tymi, co w mojem pobliżu brali udział w kondukcie, jak i nad tłumem widzów różnej płci i stanów, z obu stron tworzących nieprzerwany szpaler. Natomiast pani Helena tak była przejęta nastrojem chwili, że przez cały czas ani razu nie obejrzała się za mną... Nie bardzo nawet dziwiłem się temu, zważywszy istotnie podniosłe wrażenie tej nocnej procesji ze światełkami, gdy przechodzi przez krużganki ponad dolnym kościołem, a to ekstatyczne *Ave! Ave!* miarowo i z dziwną egzaltacją śpiewane przez kilkunastotysięczny chór, z którego zbiorowej piersi tak błagalnie wydiera się pod ciemny strop niebios, każdego musi wzruszyć do głębi duszy.

To też pani Helena była tak nieziemsko usposobiona wskutek doznanych wrażeń, że gdyby nie ja, z pewnościąby zaraz po procesji udała się prosto do domu. Ale że była dopiero 9-ta, więc głosowałem za tem, by pójść chociażby do którego z licznych tutejszych kinematografów, które, jak się okazało, wszystkie po wieczornej procesji zapełniają się po brzegi. Jakoż wybraliśmy lokal, położony w jednej z ulic w pobliżu naszego hotelu.

Program, wszędzie jednakowy podobno, składał się z trzech części: z kolorowanej historii Bernadetty Soubirous i jej cudownego widzenia, z historii Męki Pańskiej według najślawniejszych obrazów religijnych, i wreszcie z trzeciej części humorystycznej, ażeby ci, co na dwie pierwsze patrzyli z największym namaszczeniem, wkońcu mogli się pośmiać trochę, a raczej do rozpuku. Wogóle przedstawienie było bardzo zajmujące, a niemniejszy interes budziła publiczność, złożona przeważnie z księży i uczestników bretońskiej pielgrzymki obojej płci. Sposób, w jaki te pierwotne dusze reagowały na doznawane wrażenia, śmiało mógł rywalizować z świetlnymi obrazami na ekranie; bo gdy podczas dwóch pierwszych części słyszało się tłumne wzdychania i szlochania, wykrzyki podziwu, zgrozy lub oburzenia, to podczas trzeciej co chwila rozlegały się salwy iście homerycznego śmiechu. Odwrotną stroną medalu, dotkliwie dającą się we znaki, był zaduch w źle wentylowanej hali.

Gdyśmy przed 11-tą wrócili do hotelu, umówiliśmy się przy pożegnaniu, że rano o 7-ej spotkamy się przed grotą na mszy rannej, na t. zw. *messe de sept heures*, mającej swoją sławę, bo jest odprawiana specjalnie dla tych nieuleczalnych chorych, co tu przyjechali w nadziei cudownego uzdrowienia.

Wstawszy o 6-tej, punktualnie o 7-mej byłem już na placyku przed grotą. Idąc tam, spotykałem

mnóstwo osób, zdążających w tę samą stronę, i mnóstwo chorych w wózkach, ciągnionych przez wolontariuszów, rekrutujących się z pośród ludzi najrozmaitszych sfer, nie wyłączając i najwyższych, którzy tą chrześcijańską posługą starają się zmyć swoje grzechy. Sama grotta, odgrodzona wyso= kiemi sztachetami żelaznymi z kazalnicą po pra= wej stronie, na zewnątrz cała obwieszona drewnia= nemi kulami uzdrowionych paralityków, a z pięk= nym ołtarzem i smukłą figurą w biało=niebieskiej szacie Bogarodzicy wewnątrz, jarząca się istnemi snopami świec, płonących po bokach i z tyłu ołta= rza, wydała mi się bardzo dekoracyjną, umiejętnie obliczoną na to, by działać na wyobraźnię ma= łuczkich i nieszczęśliwych. Ponieważ księża jeszcze nie wyszli z mszą, więc pobożni, wchodząc od prawej strony, obchodzili ołtarz, by wyjść po dru= giej stronie. Będąc sam jeszcze, i ja przez cieka= wość przyłączyłem się do tego niekończącego się pocztu, a gdym się znalazł w grocie poza ołta= rzem, wśród grubych pęków płonących i kopcą= cych świec różnej wielkości, widząc, że wszyscy kolejno w pokorze całują skałę poniżej figury Matki Boskiej, i ja też wargami dotknąłem się zimnego głazu... Ale największe wrażenie robią chorzy na ogrodzonym, betonowymi płytami wyłożonym pla= cyku przed grotą, o tej porze wprost zapchanym szpitalnemi wózkami na trzech kółkach. Serce się kraje na widok tych nieszczęśliwych, święcie wie=

rzących w to, że na sobie doświadczą cudu uzdrowienia. Rzeczywiście, patrząc na niektórych, na te blade wynędzniałe twarze, na te wychudłe ręce o sinych już paznogciach, nabiera się przeświadczenia, że tylko cud może uzdrowić te biedne schorzone istoty.

Wybiło wpół do 8-ej, zaczęła się msza, a pani Heleny nie mogłem wypatrzyć nigdzie. Dopiero przed 8-mą spostrzegłem miss Bell z dziećmi.

— A mamusia gdzie? było pierwsze moje zapytanie, gdyśmy sobie powiedzieli: »Dzień dobry«.

— Mamusia, wyjaśnił mnie Henio, już przed 6-tą wyszła z domu. Powiedziała, że idzie do spowiedzi, a nam kazała tu czekać na siebie.

Nadto dowiedziałem się od miss Bell, że pani Helena wczoraj, gdy dzieci ułożyła do snu, sama jeszcze modliła się długo, przygotowując się do spowiedzi, a dziś wstała przed 5-tą, żeby zdążyć na czas, bo podobno im później, tem trudniej się docisnąć do konfesjonałów.

Byłem zaskoczony tą wiadomością: wcale mi nie przyszło na myśl, by pani Helena, choć wiem, że jest praktykującą katoliczką, zechciała spowiadać się w Lourdes, jakkolwiek to było do przewidzenia. Nie wiem, dla czego, ale mię zaniepokoiła ta wiadomość, albowiem w naszej obecnej sytuacji zląkłem się wpływu spowiednika, żeby ten wpływ przypadkiem nie wziął góry nad moim.

To też nie mogłem się doczekać przyjścia pani Heleny.

Tymczasem przed grotą, po skończonej mszy, zaczęła się wzruszająca scena wspólnego odmawiania litanji. Na ambonę wszedł chudy Dominikanin o ascetycznie zapadłych oczach, a rozkrzyżowawszy ręce, co za nim powtórzyli wszyscy stojący na placyku w obrębie ogrodzenia, zaczął recytować litanję do Najświętszej Panny, co chwila powtarzając głosem rozmodlonym:

— *Notre Dame de Lourdes, priez pour nous!*

Refren ten, powtarzany przez wszystkich zgromadzonych pod amboną, zarówno przez tych, co stali lub klęczeli z rozkrzyżowanymi ramionami, jak i przez chorych w wózkach, nastrajał dziwnie smutno, bo choć w nim błagano o zmiłowanie, to jednak brzmiał dziwnie beznadziejnie.

W każdym razie jest to bardzo przejmująca scena, szkoda tylko, że nie wszyscy umieją zastosować się do jej podniosłego charakteru, że mnóstwo publiczności, stojącej poza ogrodzeniem, a obojętnie przyglądającej się temu żalosnemu nabożeństwu, zachowuje się w sposób rażący: jedni rozmawiają zbyt głośno, drudzy robią nietaktowne uwagi, a co drugi Anglik lub Amerykanin, celując kodakiem, fotografują z zapalem godnym lepszej sprawy... Niemniej drażniący kontrast stanowią dwa światy po obu stronach sztachetek: wewnątrz modlą się przeważnie małuczcy, ubodzy, smutni,

skromnie, najczęściej czarno ubrani, podczas gdy na zewnątrz gromadzi się i gapi publiczność bogata, rozbawiona, strojna, automobilowa, panowie w sportowych ubraniach, panie w wytwornych sukniach i kapeluszach. A ponad tem wszystkim, po drugim brzegu rzeki Gave, podobnej do Czar-nego Dunajca, której bystry nurt płynie zaraz obok, co parę minut przelatują pociągi kolei żelaznej, świszczą i dymią lokomotywy.

Dochodziło już wpół do 9-tej, gdy nareszcie ujrzałem nadchodzącą panią Helenę. Ubrana w ciemny angielski kostjum była tak blada na twarzy, że przestraszyłem się poprostu, widząc ją taką. A przytem w oczach miała jakiś smutek zranio-nego ptaka.

— Co pani jest? zapytałem ją przedewszyst-kiem. Taka pani blada.

— Nic mi nie jest. Spowiadałam się, przystę-powałam do komunji, a teraz przyszłam tu po dzieci. Tylko nie mogłam spać w nocy, więc je-stem trochę zmęczona.

— Nie wiem, skąd to szczególne uczucie, ale mi czegoś żal pani bardzo.

Nic mi nie odpowiedziała na to, ale zauwa-żyłem łzy w jej bolesnych oczach. I pierwszy raz wydała mi się jakąś cudną, ale przesmutną *Muter dolorosa*, ona, w której dotąd widziałem tylko cielesną piękność Afrodyty!... Ona tymczasem, wobec odbywającego się nabożeństwa, uklękła obok innych

klęczących kobiet, przeżegnała się i zaczęła się modlić w skupieniu, nie zważając na mnie.

Przed 9-tą skończyła się litanja: ksiądz zszedł z ambony, zaczęto wytaczać wózki z chorymi, wszyscy zaczęli się rozchodzić ku miastu, na pierwsze śniadanie. I myśmy poszli w stronę hotelu. Na obszernym placu, przed szerokimi schodami do dolnej bazyliki, ujrzelśmy pielgrzymkę bretońską, złożoną z kilkuset kobiet i mężczyzn w ludowych strojach, jak się fotografowała ze swoimi księżmi, usadowionymi na przodzie. Grupa ta, na tle romańskich arkad i portali, architektonicznie bogatych i zdobnych mozaikami, wyglądała bardzo charakterystycznie, głównie ze względu na kontrast, jaki te po większej części wynędzniałe i zbiedzone postacie stanowiły z tymi pulchnymi i uśmiechniętymi duszpasterzami. Ale pani Helena nie chciała słuchać mych spostrzeżeń na ten temat.

Po śniadaniu, nim automobil zajechał przed hotel, chodziliśmy po sklepach i straganach ze świętościami. W jednym z nich, okazalszym od innych, którego właścicielem — jak głosi szyld — jest rodzony brat Bernadetty Soubirous, pani Helena kupiła cały zapas różańców, medalików z wizerunkami Matki Boskiej z Lourdes, tudzież medal z podobizną świętego Krzysztofa, który, jak nas objaśniono, jest patronem automobilistów, czuwając nad nimi (o ile naturalnie są zaopatrzeni w taki poświęcany medalik), by nie ulegli jakiemu nie-

szczęśliwemu wypadkowi. Ponieważ mam ciągle, i tu, i w Paryżu, mnóstwo okazji do jeżdżenia automobilami, więc i ja nabyłem kilka takich srebrnych — bardzo ładnych zresztą — medalików, przede wszystkim dla siebie, a także i dla moich znajomych paryskich. Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Zaopatrzeni w te niezawodne amulety, o tyle śmieiej wsiedliśmy do automobilu, by nim pojechać za miasto, do stacji kolei zębatej, jadącej na Pic de Jer. Jest to wysoka góra w pobliżu Lourdes, taka mniej więcej, jak Rigi koło Lucerny, słynna z widoku na całe Pireneje, o wiele piękniejszego, aniżeli z tarasu w Pau: stamtąd patrzyło się na ośnieżony łańcuch gór, jak np. na Tatry patrzy się z Obidowej, podczas gdy Pic de Jer, już blisko przysunięty do głównego pasma śnieżnych i lodowych szczytów, daje możliwość oglądania ich w całej okazałości, podobnie, jak na Tatry patrzy się z Krzyżnego lub Zawratu. A że wogóle Pireneje, choć kolosalniejsze, bardzo przypominają Tatry, więc gdyśmy szczęśliwie znaleźli się na szczycie, mimowoli nam się przypomniały te wycieczki tatrzańskie, któreśmy przed laty odbywali z panią Heleną, i te wspaniałe widoki, któreśmy tam podziwiali razem, z Krzyżnego, z Zawratu, ze Świnnicy, z Rysów! Swoją drogą Pireneje, oglądane z Pic de Jer, zwłaszcza w tak cudny dzień słoneczny, pod tem południowem szafirowem niebem, rozelśnione swemi lodowcami, których tak

brakuje Tatrom, a tak samo niebieskawo-sine w opalowej mgłę oddalenia, imponują jeszcze bardziej, jako piękność krajobrazu.

Niestety, pani Helena nie była usposobioną do zachwycania się tym wspaniałym widokiem, a gdy w rozmowie przywołał wspomnienia naszych wybieczek w Tatry, słuchała tego obojętnie, z dziwnym roztargnieniem. Wogóle przez cały czas wybieczki, która, bądź co bądź, dawała szereg niezwykłych wrażeń, ona myślą zdawała się być gdzieindziej. Gdyśmy z gromadą pielgrzymów, siedząc w pochyłych wagonach kolei zębatej, zwolna po skalistym zboczu wznosili się pod górę, to wsuwając się w dłuższe lub krótsze tunele, to wjeżdżając na miejsca otwarte, skąd miało się rozległe widoki, z jednej strony na malowniczą dolinę Argeles, zapuszczającą się w głąb Pirenejów, z drugiej na całe Lourdes, widziane jakby z lotu ptaka, i gdyśmy wszyscy, i ja, i dzieci, i miss Bell, nie kryli się ze swemi wrażeniami, lecz ntemi dzielili się odrazu: pani Helena siedziała zamyślona i mało mówna, jakaś zgaszona. Tak było na szczycie, skąd napisaliśmy zbiorową kartkę do »tatusia«, tak było w drodze powrotnej, którą odbywaliśmy w towarzystwie kilku starych Bretonek w białych czepkach, tak było w hotelu, gdyśmy z niekłamanym apetytem zasiedli do obiadu. Choć kazałem podać szampana, pani Helena jadła i piła jakby pod przymusem, a do rozmowy, którą ja prowa-

dziłem głównie z dziećmi, mieszała się bardzo mało.

Domyślałem się trafnie, że wszystko to pozostawało w najściślejszym związku z ranną spowiedzią... To też, gdyśmy po obiedzie poszli do bazyliki, by dokładnie obejrzeć oba kościoły, górny i dolny, i gdy była chwila, że dzieci z boną szły naprzód w pewnem oddaleniu, starałem się wybadać panią Helenę, dlaczego po tej spowiedzi popadła w takie przygnębienie? Niestety, ani półsłówkiem nie chciała zdradzić swej tajemnicy: powiedziała mi tylko tyle, że trafiła na bardzo światłego i świątobliwego spowiednika, że spowiedź trwała przeszło godzinę, tak, że jej kolana omdlały od tak długiego klęczenia przy konfesjonale, i że cała spowiedź obracała się około... mojej osoby.

— Więcej panu nie mogę powiedzieć, choć wieczorem, gdy dzieci ułożę do snu, jeszcze z panem pomówię o tem.

Byłem szalenie zaintrygowany tą zapowiedzią, ale tymczasem weszliśmy do dolnego kościoła, t. zw. *Le Calvaire*, który, jako najnowsza część świątyni, skończona dopiero przed paru laty, uderza prawdziwie bizantyńskim przepychem najwyszukańszych marmurów, mozaik i bronzów. Wszystko jest w stylu romańskim, ale tak bogate, tak kapiące od złota, że nietylko przypomina niektóre bazyliki Ravenny, ale ma w sobie coś z nowoczesnego przeładowania salonów gry w Monte

Carlo. Imponuje to »ubogim duchem« prostaczkom, ale trochę razi ludzi dobrego smaku.

Inaczej ma się rzecz z górnym kościołem, który jest gotycki, ale bez mistycznego polotu gotyckich tumów średniowiecznych. Gotyck to banalny, daleki nawet od sztucznego gotyku wiedeńskiej *Votivkirche*. Najbardziej charakterystycznym szczegółem jest niezliczona liczba wotów, któremi są obwiezione i obmurowane wszystkie ściany od podłogi aż po samo sklepienie. Z sufitu i po bokach zwiejsza się mnóstwo różnokolorowych chorągwi haftowanych przez pobożne damy. Witraże konwencjonalne.

Zwiedziliśmy także dolną kryptę kościoła, w której, z wyjątkiem jednego ołtarza w głębi, niema nic prócz kilkudziesięciu konfesjonałów, gęsto rozmieszczonych wzdłuż nagich ponurych ścian. Spowiadać się można we wszystkich językach, nie wyłączając polskiego, o czym świadczą napisy na tablicach nad każdym konfesjonałem. Przy wszystkich spowiadało się mnóstwo pielgrzymów obojej płci. Ponieważ był to dzień przybycia pielgrzymki włoskiej, więc wszędzie spotykało się typy południowe, wszędzie się słyszało włoski język. Pani Helena pokazała mi konfesjonał, przy którym spowiadała się dzisiaj rano. Patrząc nań, doznałem jakby uczucia urazy do tego kościelnego molocha, wszelakich serca tajemnic.

Z kolei wyszliśmy na wielki plac przed bazy-

liką, gdzie już gromadziły się tłumy ludzi, w oczekiwaniu wielkiej popołudniowej procesji z Przenajświętszym Sakramentem, podczas której dzieją się słynne cuda... Zmierzając ku grocie, mijaliśmy spory ogródek ocieniony rozłożystymi kasztanami, w tej chwili przepełniony wózkami z chorymi. W środku na ambonie stał ksiądz z rozkrzyżowanymi rękoma, głośno czytający litanję do Matki Boskiej, którą wszyscy pobożni, znajdujący się obok chorych, stojąc i klęcząc również z ramionami w krzyż, powtarzali głośno. Objasniono nas, że w tej chwili właśnie, w gotyckim budynku w głębi ogródka, gdzie się znajdują łazienki, *les piscines*, odbywa się kąpanie chorych, którzy następnie zostaną przewiezieni na procesję.

Była może wpół do 4-tej, gdyśmy się znaleźli w ogrodzeniu przed grota, gdzie pani Helena uklękała przy kracie, żeby się pomodlić za swych najbliższych, w tej liczbie i za mnie, czego, jak twierdziła wcale nie pólżartem, bardzo mi potrzeba... W ogrodzeniu stało kilkanaście wózków z już wykąpanymi chorymi, modlącymi się przed procesją, która na nich może sprowadzi cud. Pozatem było sporo mężczyzn i kobiet, przeważnie pogrążonych w modlitwie.

Nagle zjawiło się dwóch młodych księży z po-
dłużnemi koszami pełnemi długich świec, które kolejno zaczęli wręczać wszystkim mężczyznom, a jednocześnie prosili kobiety, by zechciały przejść

poza ogrodzenie, gdyż w niem mogą pozostać tylko panowie. Wobec tego i pani Helena, i miss Bell z dziećmi, wyszły za obręb sztachet, a ja, otrzymawszy świecę, pozostałem wraz z innymi mężczyznami. Dowiedziałem się przy tej sposobności, że do udziału w procesji z Przenajświętszym Sakramentem, która stąd wyruszy za kwadrans, kobiety nie są dopuszczane wogóle: muszą stać z boku, w tłumie widzów.

Po chwili zaczęto ustawiać się do pochodu. Ze wszystkich stron ściągало mnóstwo księży, zakonników, mężczyzn w tużurkach, wszyscy ze świecami w ręku, które jedni zapalali od drugich. Kilku księży dawało instrukcje, gdzie należy zająć miejsce. Stawano dwoma rzędami — jak przy procesji wieczornej — najprzód duchowni, potem świeccy. Powoli na dużej przestrzeni ustawił się ogromny korowód, z kilkuset księży i paruset świeckich.

Jednocześnie dokoła wielkiego placu przed bazyliką utworzył się olbrzymi czworobok z kilkunastotysięcznego tłumu widzów, a od łazienek wyruszył długi sznur wózków z chorymi, ciągnionych przez wytwornych panów z »towarzystwa«.

Z wybiciem godziny 4-tej uderzono we wszystkie dzwony: procesja ruszyła z miejsca. Najprzód szli świeccy pielgrzymi, potem zakonnicy i księża, a na samym końcu orszaku, pod białym baldachimem, w złocistych ornatach, z monstrancją

w ręku, postępował jakiś sędziwy patriarcha z siwą brodą, z piękną głową apostoła. Przy baldachimie szli klerycy w komżach, dymiąc kadzielnicami, a bezpośrednio za baldachimem kroczyło kilkunastu biskupów w pysznych pontyfikalnych szatach, w infułach, z pastorałami.

Idąc jeden z pierwszych w pochodzie, doskonale mogłem przypatrzyć się wszystkiemu, a choć uważałem, że pani Helenie gdyby tak szła z świecą w ręku, bardziej byłoby do twarzy, niż mnie grzeszemu, to jednak musiałem przyznać, że jako obraz pod turkusowem niebem, w złotawem słońcu, było to widowisko majestatyczne.

Gdyśmy weszli na pusty plac przed bazyliką, ujrzałem po obu stronach jakby szeroki szpaler najmniej paruset wózków z chorymi, ustawionych jeden przy drugim. Dopiero za temi wózkami, przy których gęsto bielily się szerokoskrzydłe czepce zakonnic szpitalnych, stał zwarty tłum widzów. Przeszedłszy tym bolesnym szpalerem pośród miodlących się chorych, rozstawiliśmy się na szerokich stopniach przed frontonem dolnej bazyliki (pod mozajkowemi medaljonami papieży Piusa IX i Leona XIII), przed nami na niższych schodach ustawili się zakonnicy i księża, a równocześnie umilkły dzwony. Zaległa uroczysta cisza, zwiastująca bliskość czegoś niezwykłego, tajemniczego.

Gdy baldachim zbliżył się do pierwszego choro-
rego w wózku, na środek placu wystąpił olbrzy-

miego wzrostu ksiądz, ukląkł zwrócony twarzą do bazyliki, rozkrzyżował ręce, poczem donośnym głosem, doskonale słyszany na całej przestrzeni, zaczął, niby grecki przewodnik chóru, błagać o cud.

— *Seigneur, fais que je vois!*

— *Seigneur, fais que je me lève!*

— Spraw, Panie, bym przejrzał! Spraw, Panie, bym usłyszał! Spraw, Panie, bym powstał!...

Słowa te, mówione głosem modlitewnym, błagalnym, jakby wyzywające niebios, już same przez się robiły wielkie wrażenie: cóż dopiero, gdy je natychmiast, niby litanję, powtarzał cały wielotysięczny tłum, zgromadzony dokoła placu, zalegający wszystkie schody, wszystkie krużganki bazyliki. Wiele kobiet buchnęło płaczem, przyczem dały się słyszeć i histeryczne szlochania. Tymczasem baldachim, owiany kłębam niebieskawego dymu, którego kadzidlana woń rozchodziła się w powietrzu, zwolna posuwał się naprzód, od wózka do wózka, a złocista monstrancja pochylała się ku chorym, którzy w nią wcałowywali się swemi bezkrwistemi usty, modląc się o łaskę cudu: ślepi przecierali oczy, by przejrzeć, głusi wyteżali słuch, by usłyszeć, niemi poruszali wargami, by przemówić, sparaliżowani próbowali unieść się w posłaniu, by powstać na równe nogi! W pogodne niebo biła chóralna modlitwa, prosząca o ich cudowne uzdrowienie, ale niebo było głuche... Tego dnia przynajmniej!... Baldachim, obszedłszy wszyst-

kie wózki, zniknął w otwartych wrotach dolnej bazyliki, ceremonia dobiegła końca, lecz ani jeden chory nie okazał się godnym cudu.

Tłum zaczął się rozchodzić zwolna, wysuwać się na plac poza linje wózków; tym, co uczestniczyli w procesji, poodbierano świece, co widząc, i ja czemp prędzej oddałem moją, zaczęm pospieszyłem ku pani Helenie — którą przez cały czas widziałem zdaleka — by z nią podzielić się doznaniem wrażeniami. Z oczyma jeszcze wilgotnemi od łez, była cała zemocjonowana tą nawskrós katolicką uroczystością,

Ale najdonioślejszy moment, jaki miałem podczas pobytu w Lourdes, czekał mię wieczorem, po obiedzie, gdy pani Helena dzieci wyprawiła na górę, żeby wcześniej poszły spać, a sama jeszcze się chciała przejść trochę, oświadczywszy mi zawczasu, że ma ze mną o czemś niezmiernie ważnem do pomówienia. Byłem strasznie ciekawy, co to mogło być takiego, więc ledwośmy wyszli na ulicę, zaraz chciałem dowiedzieć się o wszystkim.

Gdyśmy nareszcie znaleźli się w pobliskim ogrodzie publicznym, pani Helena, siadając na jednej z ławek w bardziej ustronnej alei, rzekła bez żadnych poprzedzających wstępów, wskazując mi miejsce obok siebie:

— Nie ma pan wyobrażenia, jak jestem podniesiona moralnie, przez to, że dziś rano poszła

do spowiedzi, że rozgrzeszona przystępowałam do komunji.

— Co do mnie, to muszę wyznać otwarcie, że mnie cokolwiek zaniepokoiła ta spowiedź pani.

— Dlaczego?

— Dla dwóch powodów. Przedewszystkiem nie uszło mej uwagi w ciągu dnia, że pani posmutniała jakoś, że pani miała chwile zamyślenia, które mię przejmowały jakby instynktowną obawą. Po wtóre korci mnie to, że jest w tej chwili tutaj, w Lourdes, obok mnie, człowiek obcy zupełnie, którego pani zobaczyła pierwszy raz w życiu, którego pewno już nie zobaczy pani nigdy, a któremu powiedziała pani to wszystko, czegoby pani nigdy nie powiedziała nietylko mnie, choć przyjacielowi pani, ale nawet swemu własnemu mężowi. Prosto nie mogę znieść tego, że jest człowiek, który w tej chwili zna dokładnie, bez żadnych nieudomówień, całą tajemnicę serca i duszy pani, któremu się pani przyznała do swych najtajniejszych myśli i uczuć, podczas gdy dla mnie, który dziś może jestem pani bliższy, niż ktokolwiek, te uczucia i myśli na zawsze pozostaną księgą o siedmiu pieczęciach.

— To niewątpliwie, ale skoro pan jest taki ciekawy, co było główną treścią mych wyznań przed spowiednikiem, to mam upoważnienie od niego, bym o tem powiedziała panu jeszcze dziś, co właśnie chcę uczynić za chwilę.

Oślupiałem, usłyszawszy tę zapowiedź, zdumiony więc, a tem samem i zaciekawiony w najwyższym stopniu, rzekłem:

— Nie wierzę własnym uszom. Jakto? Ja mam być dopuszczonym do całej tajemnicy, i to z wiedzą i z upoważnienia spowiednika?! W głowie mi się to nie może pomieścić!

— Domyśla się pan niezawodnie, że spowiadając się dzisiaj, jeżeli wogóle odczuwała potrzebę tego aktu skruchy, to głównie z powodu pana: przez pana mam wyrzuty względem męża, pan jest sprawcą moich grzechów, a przynajmniej moich grzesznych myśli, więc i pan oczywiście był głównym przedmiotem, około którego przez godzinę przeszło obracały się moje spowiadania. Wyznałam, że właśnie pan potrafił sobie zdobyć moją miłość, że również jestem pewna pańskiej miłości, że na to złożyło się dużo różnych przyczyn, że bardzo cierpię z tego powodu, że całkiem straciłam spokój i równowagę, że muszę walczyć z pokusami, że coraz bardziej tracę panowanie nad sobą...

— I cóż na to powiedział ksiądz?

— Powiedział mi, żebym nakłoniła pana, by pan jutro przyszedł wyspowiadać się u niego.

— O, tego się nie doczeka napewno! odrzekłem podrażniony, a jednocześnie pewien siebie, iż prędzej mi włosy wyrosną na dłoni, niż ja dam się nakłonić do spowiedzi. Ostatni raz spowiada-

łem się w szkołach, a od tego czasu nigdy mi nie przyszło na myśl, by klęknąć przy konfesjonale.

— A jednak, dodała pani Helena z naciskiem, ja zobowiązałam się moralnie, że pana nakłonię do tego, że użyję całego mojego wpływu, jaki mam na pana, aby pan ustąpił wkońcu i nie zacinał się w uporze, który, znając pański religijny sceptycyzm, przewidywałam z góry.

— Nie uda się to pani w żaden sposób.

— Swoją drogą jestem przekonana, że pan to uczyni... dla mnie!

— Wszystko zrobię dla pani, oprócz tego jednego!

— Przecież chodzi tu nietyle o pana, ile o mnie. Mój spowiednik, który jutro o 6-tej rano będzie czekał na pana, powiedział mi wyraźnie, że chce pomówić z panem... o mnie, że skoro jest w posiadaniu naszej tajemnicy, równającej się naszej tragedji, to chce uczynić wszystko, co jest w jego mocy kapłańskiej, by nam ulżyć w cierpieniu, by dać nam jakiś sposób dźwigania tego krzyża. Ale na to, powiedział, musi pomówić z panem, musi pan się wypowiedzieć przed nim. Dlatego nie wątpię na chwilę, że jutro o 6-tej...

— Będę spał smacznie.

— Nie wierzę w to. Straszniebym się zawiodła na panu.

— W każdym razie lepiej nie mówmy o tem dłużej. Do spowiedzi nie pójde za żadną cenę, bo

przedewszystkiem jestem zasadniczym przeciwnikiem tej moralnej tortury.

— A jednak jestem przekonana, że pan spełni to moje życzenie, bo wiem, że mnie pan kocha naprawdę. Kochając mnie zaś, uczyni pan prośbie mojej zadość. Jeżeli pan postawi na swoim, to widzieć w tem będę niezbity dowód, iż nie powinien wierzyć w szczerłość i rzetelność pańskich zapewnień o miłości dla mnie.

— Pani, takie stawianie kwestji równa się wymuszeniu.

— To nie jest żaden przymus, to jest tylko prośba kobiety, która wie i wierzy, że jest kochaną, a zatem może wymagać pewnego poświęcenia ze strony tego, któremu za jego miłość odpłaca wzajemnością, niekłamaną.

— Pani, tak wypowiedziana prośba nie równa się rozkazowi, ale zakrawa na okrucieństwo.

— Zdaniem mojego spowiednika, będę miała zasługę przed Bogiem, skoro mi się uda przełamać upór pana. On wie, że choć katolik, jest pan daleki od praktyk religijnych, bom go uprzedziła o tem, a zresztą zna pańskie powieści i jest nawet, jak mi mówił, szczerym wielbicielem pańskiego talentu, ale powiedział mi, że gdy pan przyjdzie do niego jutro, postara się być nietyle księdzem, ile życzliwym przyjacielem nas obojga, przyjacielem, który chce służyć dobrą radą i pociechą. Oto wszystko, com panu chciała powiedzieć dziś w tej

sprawie. Mam nadzieję, że jutro, gdy się spotkamy przy śniadaniu, będzie pan już po spowiedzi... i po komunji!... Nie przypuszczam, aby pan jutro mógł przywitać się ze mną, wogóle pokazać mi się na oczy, nie mając możliwości powiedzenia mi jedno-
cześnie, że prośba moja została spełniona.

— Nie spełnię jej przecież, to wiem z góry!

— Niech pan tak nie mówi, bo zwykle człowiek nie wie dzisiaj, co uczyni jutro.

— Ale ja wiem dobrze, czego *nie* uczynię na pewno!

— Panie, mężczyzna, który kocha kobietę, za nic nie może ręczyć, gdy o nią chodzi. Cóż dopiero, gdy kocha taką kobietę, jak ja!

I w tej chwili znowu z niej wystąpiła kokietka, spojrzenie bowiem, jakie towarzyszyło jej ostatnim słowom, było tego rodzaju, że na razie uczułem się pokonanym, bezsilnym, niezdolnym do oporu, niezdolnym nawet do głośłownego protestu!

Ponieważ jutro o 9-tej rano mieliśmy jechać do Gavarnie, więc wypadło pomyśleć o pewnych prowiantach na tę całodniową wycieczkę: pani Helena z wielką dyplomacją umiała wyzyskać tę okoliczność, by już nie mówić o tem, o czem ja, gdy z nią pożegnał się wkońcu, myślałem prawie przez całą noc...

A gdy wybiła godzina 6-ta rano, już klęczałem przy tym samym konfesjonale, przy którym wczoraj

o tej samej porze klęczała pani Helena. Czego to kobieta nie potrafi zrobić z mężczyzną!...

Nie będę się rozpisywał o tem, o czem chyba przez godzinę blisko mówiłem z tym wyjątkowo inteligentnym i kulturalnym kapłanem, w którym z łatwością wyczułem subtelny psychologa. Ponieważ o wszystkim wiedział już od pani Heleny, więc mu tylko sytuację oświebliłem z mojego punktu widzenia. Wogóle była to raczej poufna rozmowa dwóch przyjaciół, a ten, któremu przypadła rola powiernika, okazał tyle dyskrecji i delikatności uczuć, że całą tę spowiedź porównać mogę do ciężkiej operacji... bez bólu. Mimo to ostateczna konkluzja, do której doszliśmy po długiej dyspacie, wypadła nieubłagana, tak, że nie zobowiązałem się wcale, bym spełnił to, co, według jego niezłomnego zdania, jest moim obowiązkiem, jako człowieka uczciwego i kochającego tę nieszczęśliwą kobietę. Chodzi o nią przecież, by jej oszczędzić katuszy nad siły, by ją ratować przed pokuszeniem, przed grzechem. Dlatego — mówił — nie jako spowiednik, który mi daje rozgrzeszenie, ale jako przyjaciel nas obojga, radzi mi z całego serca, co więcej, zaklina mnie, bym poświęcił się dla tej, którą kocham, i... wyjechał z Biarritz!!! Najlepiej bez pożegnania, bez żadnego listu, bez żadnych czułości romantycznych. Na razie — tłumaczył mi przekonywająco — będzie to ciosem dla niej, ale gdy się zastanowi nad szlachetnymi pobudkami,

które mnie skłoniły do tego stanowczego kroku, do tego rozcięcia gordyjskiego wężła, uzna moje wielkie, iście bohaterskie poświęcenie, godne prawdziwego mężczyzny, i zacznie uspakajać się, aż zwolna przeboleje to przejście, pogodzi się z losem, i z Bożą pomocą wróci do równowagi, odzyska spokój i pogodę duszy.

Pięknie to brzmi w ustach księdza, ale o wiele trudniej zdobyć się na taki akt bohaterstwa. To też, odchodząc od konfesjonału, nie przyrzekłem nic zgoła, zastrzegłszy sobie najzupełniejszą wolność postępowania.

Komunja, do której przystąpiłem zaraz, wydała mi się kojącym balsamem na bolesną ranę, którą przed chwilą zadała mi ta nieprzewidziana odpowiedzialność. Jak operowany, który pod chloroformem nie czuje noża chirurga, ale po otrzeźwieniu zaczyna krzyczeć z bólu, tak i ja już na wychodnem z kościoła zacząłem jasno zdawać sobie sprawę z ciosu, który godzi we mnie.

Uświadomiłem to sobie tembardziej, iż pierwszą osobą, którą spotkałem przed kościołem, była pani Helena.

Wiedziała już o wszystkim, i dlatego wyszła na moje spotkanie. W hotelu powiedział jej numerowy, że widział mnie przed 6-tą, jak wychodziłem z mego pokoju, a gdy przed dziesięciu minutami weszła do dolnej bazyliki, zaraz dostrzegła mnie w szeregu tych, co przystępowali do komunji.

— Uczyniłem to dla pani jedynie, rzekłem, wzruszony jej widokiem, gdy mi na powitanie podała rękę.

— Dziękuję panu. Teraz wiem, że mnie pan kocha naprawdę, tak, jak ja pana.

A po krótkim zamyśleniu dodała smutnie:

— Ale co nam z tego, że się kochamy, kiedy ta miłość jest tylko naszym nieszczęściem.

— Może być i szczęściem także,

— Nie może niem być, niestety!

— Dlaczego?

— Dlatego, że pan jest po spowiedzi, po komunji, więc nie godzi się zaczynać od tego, by grzeszyć takimi powiedzeniami.

Tak rozmawiając, nawpół smętnie, nawpół żartobliwie, doszliśmy do hotelu, gdzie nas czekało śniadanie na podorędziu.

Jeszcze nie wybiła 9-ta, a my już pędziliśmy automobilem, że zaś powierzyliśmy się opiece św. Krzysztofa, którego srebrny medalik ofiarowałem naszemu dzielnemu szoferowi, więc mknęliśmy przy cudnej pogodzie po idealnej szosie, jakby kto gonił za nami. Pani Helena, zadowolona ze mnie, zachwycona ślicznymi widokami na wszystkie strony, coraz piękniejszymi z każdym ujechanym kilometrem, pozbyła się wczorajszej melancholji, a co do mnie, to całkiem zapomniałem o swych nocnych i rannych emocjach. Jakkolwiek byłem niewyspany, to jednak, siedząc obok pani Heleny, tuż przy niej,

myślałem o czem innem, niż o mem fizycznym niewywczasowaniu i znużeniu. Pani Helena też przymizerniała troszeczkę, ale jej z tą matową bladeścią było cudnie. Jednem słowem, jechało się bardzo przyjemnie, w miłym nastroju.

Mieliśmy do przebycia około 80 kilometrów, bo tak długą jest wspaniała dolina d'Argeles. Z początku droga ciągnęła się wśród ogromnie rozległego krajobrazu, pełnego zieleni pól i winnic, wśród wielkiej pofalowanej doliny z górami w dość znacznem oddaleniu. Ale stopniowo góry stawały się coraz wyższe, a przytem zbliżały się coraz bardziej. Jednocześnie tu i ówdzie z poza lesistych przełęczy zamajaczył jakiś śnieżny szczyt w głębi. Poczynając od słynnego mostu Napoleona III niedaleko Saint-Sauveur, pysznym łukiem rozpiętego nad głębokim wąwozem z dunajcowym strumieniem na dnie, dolina zmieniła się w rozległy parów między dwoma grzbietami coraz strzelistszych gór w rodzaju naszych Beskidów, tylko wyższych, z bujniejszą roślinnością w dole, z charakterystycznymi rzędami smukłych topoli, które tu wszędzie, jak u nas grusze na miedzach, wystrzelają wśród uprawnych pól i łąk. Droga ciągnie się nad kamiennym potokiem, który w miarę, jak szosa wznosi się coraz wyżej, szumi w coraz zawrotniejszych czeluściach. Tak było aż do Luz, modnej miejscowości kąpielowej, posiadającej ładne hotele, wdzięczne promenady, etc., a gdzieśmy zatrzymali się kilka-

naście minut. Od Luz pejzaż stawał się obraz dzikszym, a szosa, wijąc się w coraz fantastyczniejsze serpentyny, zawisała nad coraz urwistszemi przepaściami, coraz stromiej pnąc się pod górę. Automobil, pracując coraz intensywniej, chwilami zwalniając biegu, jechał wśród coraz jednostajniejszej szarzyzny skał. Jasna zieleń łąk, pospołu z drzewami liściastemi, zostały w dole, pod nami, wkońcu zaczęło ubywać świerków i kosodrzewiny, a przybывało piardżystych usypisk i szmat śnieżnych. Nakoniec wjechaliśmy do słynnej doliny, zwanej *Le Chaos*, całej zawałonej olbrzymiemi złomami granitu, podobnie, jak Pańszczyca pod Koszystą, gdy się nią idzie na Krzyżne. Tu już znikła wszelka zieloność; szosa, ciągle równa, jak asfalt, pogiętemi esami floresami przewija się wśród skalistej pustki, tchnącej jakąś dantejską grozą, której jezyndem urozmaiceniem są płaty śniegu, coraz większe, coraz bliższe kamieni przydrożnych. Przed nami, w głębi doliny, ciągnęły się sine granitowe turnie Gavarnie, z lśniącemi lodowcami na płaskich szczytach. Powietrze stawało się coraz ostrzejsze; ale bo też wznieśliśmy się już prawie na 2000 metrów nad poziom morza.

Wkońcu zajechaliśmy przed jakąś oberżę na krańcu szosy, gdzie już zastaliśmy kilkanaście automobilów, breków i powozów, i gdzie w nędznej sali, przy dużym wspólnym stole, razem z innymi wycieczkowiczami, spożyliśmy bardzo nieszczególne

śniadanie, urozmaicone usługą, gorszą od wina, oraz fochami i nieuprzejmością gospodarza, obrażonego na grymaszących gości. Był to najprozaiczniejszy moment całej wycieczki.

Na szczęście, gdyśmy po śniadaniu wyszli na dziedziniec przed oberżą, odrazu odetchnęliśmy inną atmosferą. Przed nami rozciągała się wspańska dolina, okolona majestatycznymi turniami ze śniegiem i lodowcami, a na dziedzińcu panował ożywiony rozgardjasz przy najmowaniu mułów i osiołków, których kilkadziesiąt stało rzędem uwiązanych przy długim parkanie.

Punktualnie o z=giej rozpoczęła się zbiorowa kawalkada do t. zw. Cirque de Gavarnie. Około 60=ciu osób na mułach i osłach, prowadzonych przez górali i góralki, typowych Basków, zwolna długim rozciągniętym szeregiem kroczyło po nierównej kamiennej ścieżce wśród głazów: i my w tej liczbie. Pani Helena, miss Bell i ja, jechaliśmy na dużych brunatnych mułach, dzieci wołały, dotrzeć osiołków. Dzieci i miss Bell jechały przed nami, ja z panią Heleną w tyle.

Po przeszło godzinnej jeździe, podczas której kilka osób pospadało ze swych potykających się wierzchowców, stanęliśmy przed porządnym schroniskiem z wielką oszkloną werandą, skąd już dalszą wycieczkę odbywa się pieszo, bo nawet dla mułów jest za stromo i uciążliwie. Widok, jaki z przed tego schroniska ma się na imponujący

Cirque de Gavarnie, jest bezwarunkowo jednym z najwspanialszych widoków górskich, jakie są na świecie, a w Pirenejach uchodzi za najpiękniejszy. Jest to rzeczywiście rodzaj koloseum, tylko że w Rzymie budowali je ludzie, a to stworzyła przyroda. To też, jako wielka pustynna dolina, strasznie dzika, bo już bez żadnej roślinności, otoczona przepaścistymi ścianami turni z lodowymi polami w górze, jest to jeden z najgigantyczniejszych cudów natury. Po jednej ze ścian, z wysokości 422 metrów spada malowniczy wodospad, całkiem rozpylający się u dołu.

Do wodospadu tego, jako kresu wycieczki, trzeba iść piechotą, ścieżką wśród piargów i złomów granitowych, przyczem raz po raz stąpa się po twardym zlodowaciałym śniegu. Oczywiście, że i my byliśmy ciekawi tej olbrzymiej kaskady oglądanej zbliska.

Zarówno dla mnie, jak i dla pani Heleny, której przy każdym trudniejszym przejściu podawałem rękę, posiadała ta piesza wycieczka, zajmująca dobre dwie godziny, podwójny, całkiem wyjątkowy urok: albowiem mieliśmy chwilowe złudzenie, że znowu jesteśmy w Tatrach. Bo jeżeli Pireneje wogóle cechuje wielkie podobieństwo z Tatrami, to specjalnie Cirque de Gavarnie jest bliźniaczo podobny do Doliny Białej Wody pod Żelaznemi Wrotami i Polskim Grzebieniem. Cirque de Gavarnie jest większy, kolosalniejszy, ale, pomimo

łodowców na szczytach, wcale nie piękniejszy od panoramy, jaką się ma ze schroniska w Dolinie Białej Wody, gdy się patrzy na szczyty Gerlachu, Ganku i Wysokiej z Rysami. Powiem nawet, że Dolina Białej Wody jest bardziej kolorystyczną, a Sikława, która tam spływa z Zielonego Stawu pod Żelaznymi Wrotami, niczem nie ustępuje tu-
tejszej kaskadzie, a choć jest mniejsza, to ją sta-
nowczo przewyższa poetycznością, jako fragment pejzażu.

Około tych porównań obracała się znaczna część naszej rozmowy. Naturalnie, że najwięcej nasuwało się analogji z niezapomnianą wycieczką do Doliny Białej Wody za naszego ostatniego po-
bytu w Zakopanem. Wspomnienia tej wycieczki, która dla mnie była jednym cudownym poematem, i na ten dzisiejszy spacer, odbywany po latach w tak odmiennych warunkach, rzucały odcień roz-
marzenia. Wspominaliśmy różne momenty owej pamiętnej wycieczki: ten, gdyśmy nad potokiem razem rwali niezapominajki, i ten, gdy podczas popasu na ganku leśniczówki, drżącemi rękoma sznurował jej buciki, i ten, gdyśmy pili wodę z jed-
nej płaskiej kieszonkowej szklanki, i ten, gdy ją fotografował na wielkim kamieniu w środku stru-
mienia, i ten wreszcie, gdy ją okrywał swą pe-
leryną, deklamując mickiewiczowski erotyk *Na Al-
pach w Splügen*;

Ach, jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
 Jabym trudy podróże piosenkami słodził:
 Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie,
 I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie.
 I przeszlaby twa nóżka wodą niedotkniętą,
 I całowaniem twoje ogrzałbym rączęta...
 Spoczynek by nas czekał pod góralską chatą,
 Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą;
 I tybyś przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
 Usnęła, zbudziła się na mojem ramieniu.

I tym razem, na życzenie pani Heleny, musiałem oddeklamować ten wiersz.

Gdyśmy trochę znużeni uciążliwą drogą, siedząc na wielkich granitowych głazach, odpoczywali o kilkanaście kroków od kaskady, otulonej, jak mgłą, wodnym pyłem, w którym słońce raz po raz gra fragmentami tęczy, wspominaliśmy nasz popas pod Wielką Sikławą w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, kiedy to przez Zawrat w licznej towarzystwie szliśmy do Morskiego Oka, i gdzie ja, tak samo, jak dzisiaj, deklamowałem półgłosem:

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
 Gdzie Aar wody błękitnymi spada...

.
 Tam ją ujrzałem, i wnet rozkochany,
 Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
 Wierzyć zacząłem i wierzę do końca...

I teraz, jak wtedy, siedzieliśmy na jednym wilgotnym głazie, i teraz, jak wtedy, z powodu dojmującego chłodu, okryłem panią Helenę swym

płaszczem; i teraz, jak wtedy, rozcierałem jej zziębnięte dłonie moimi; i teraz, jak wtedy, gdyśmy wracali od kaskady, prowadziłem ją zmęczoną pod rękę; i teraz, jak wtedy, czułem łube ciepło jej ramienia przy swoim; i teraz, jak wtedy, tuliłem ją miłośnie do siebie, a ona, jak wtedy, tak i teraz, nie broniła mi tego niewinnego uścisku.

O spowiedzi zapomnieliśmy zupełnie, ale za to z doznawanych wrażeń, które nam nasuwały tyle miłych wspomnień z przeszłości, z całym serdecznym wylaniem spowiadaliśmy się przed sobą wzajemnie! Dla takiej spowiedzi można poświęcić wiele, nawet z moralizatorskich wskazań osoby duchownej, ostrzegającej przed pokuszeniami zmysłów...

Wróciwszy do schroniska, wysłaliśmy zbiorową pocztówkę do »tatusia«, a o 8-mej wieczorem byliśmy już z powrotem w Lourdes.

Dziś o 3-ciej wróciliśmy do Biarritz.

17 września. Wtorek.

Przez cały dzień nie widziałem dziś pani Heleny. Mówiły mi dzieci, które nawet kąpały się pod moją opieką, że mamusia jest bardzo zmęczona, że pewno nie wyjdzie z domu. Nie wyszła istotnie. Gdym jej nie spotkał i po południu, chcąc dać dowód, że myślę o niej, że mi tęskno za nią

posłałem jej piękną żardinierę kwiatów, oraz świeżo nadeszły zeszyt *Revue des deux mondes* z 15 września z dalszym ciągiem mej powieści. Wieczór spędziłem w kasynie. Ponieważ nie miałem nic lepszego do czynienia, więc z nudów zasiadłem do bakarata.

18 września. Środa.

I dzisiaj także nie widziałem pani Heleny ani na chwilę. To już nie jest prosty przypadek, uzasadniony zmęczeniem po wycieczce; to już zakrawa na intencję. Może to pokuta z nakazu spowiednika? Rano powiedziały mi dzieci, że mamusia dziękuje za prześliczne kwiaty, ale gdym chciał dowiedzieć się od nich, czy nie mają jeszcze jakiego zlecenia, nie umiały mi dać żadnej odpowiedzi. Poinformowały mię tylko, że mama wczoraj cały dzień siedziała w domu, że pisała listy, że wieczorem po obiedzie grała na fortepianie, a dzisiaj, gdy wychodziły na plażę, jeszcze leżała w łóżku. Po południu kilka razy umyślnie przechodziłem koło willi *Mon bonheur*, w nadziei, że panią Helenę wypatrzę w ogródku lub na tarasie, co mi da pretekst do wejścia, do przywitania się z nią choćby przez żelazne sztachety, lecz albo jej nie było w domu, albo siedziała w mieszkaniu. Dość, że upłynął cały dzień, a nie udało mi się ujrzeć jej nawet zdaleka. Może gdzie wyje-

chała po śniadaniu, bo dzieci nie było w namiocie. W każdym razie daje mi to do myślenia. Jakaś jest tajemnicza przyczyna tego wyraźnego unikania mnie od wczoraj. Ona, która mi powiedziała sama, że ciągle chciałaby być ze mną razem, jeżeli przez dwa dni potrafi wyrzec się mojego towarzystwa, stanowczo w tem ma jakiś cel, jakiś zamiar.

W tem dziwnem uczuciu zaniepokojenia i zaciekawienia, pomieszanych z tęsknotą, zjadłem obiad, a na czarną kawę, ponieważ było jeszcze za wcześnie do kasyna, poszedłem do hotelowej *salle de lecture*. Przeglądając gazety, właśnie czytałem w *Figarze* korespondencję z Biarritz z obszernem sprawozdaniem z mojego odczytu, gdy nagle przyszedł portjer, a zbliżywszy się do mnie, rzekł po cichu, by nie przeszkadzać innym czytającym, i z trochę znaczącym wyrazem w spojrzeniu:

— Jakaś pani pragnie się widzieć z panem.

— Gdzie jest ta pani? spytałem, odkładając dziennik, w przypuszczeniu, że to może pani Helena ma jakiś ważny do mnie interes, skoro się po-fatygowała osobiście.

— Ta pani czeka w westibilu.

Nie pytając o więcej, szybko pospieszyłem do *hall'u*, gdzie ku niemałemu zdziwieniu, równającemu się niemniejszemu zawodowi, spostrzegłem przed lustrem poprawiającą sobie włosy Juanitę.

— To ta pani, rzekł, wskazując na nią, portier, którego nie zauważył nawet, że szedł za mną.

Ujrawszy mnie, Juanita pierwsza wyszła na moje spotkanie, a podając mi rękę, rzekła zciszo-
nym głosem, rozglądając się dokoła, jakby w oba-
wie, by nas kto nie usłyszał przypadkiem:

— Jutro wyjeżdżam. Przyszłam się pożegnać...
Byłam tu już w niedzielę, ale mi powiedziano, żeś
wyjechał na trzy dni. Chciałam przyjść wczoraj,
ale nie mogłam w żaden sposób...

Widząc jednak, że jestem jakiś pomieszany, że
wcale nie okazuję radości z powodu tej nieocze-
kiwanej wizyty, umilkła na chwilę, poczem, po
krótkim zastanowieniu, z dziwnie zasmuconym
wyrazem w swych sarnich oczach, spytała lęk-
liwie:

— Możesz niezadowolony, żeś przyszedł?

— Cóż znowu! odrzekłem, myśląc jednocze-
śnie, że wołałbym, by mi oszczędziła tych po-
żegnalnych odwiedzin. Ale tego nie wolno powie-
dzieć kobiecie. To też nie pozostało mi nic innego,
jak tylko zrobić *bonne mine au mauvais jeu...*

19 września. Czwartek.

Stało się! Sprawdziły się moje złe przeczucia,
moje obawy! Uderzył grom z jasnego nieba, po-
przedzony tylko zwykłą ciszą przed burzą. Na

wszystko mogłem być przygotowany, ale nie na taki ostatni rozdział mojego romansu z panią Heleną. Kobiety znajdują inne, naturalniejsze i prostsze, rozwiązania i zakończenia dla swych romansowych sytuacji, aniżeli my powieściopisarze z zawodu, rozumujący po literacku. Nie przypuszczałem jednak, by pani Helena... Ha! trudno!

A stało się tak. Gdym rano o 10-tej wyszedł na ulicę, by sobie kupić moje zwykłe dzienniki, pierwszą osobą, którą spotkałem na rue Mazagran, była pani Helena.

— A pani co tu robi o tak wczesnej porze?

— Wracam z kościoła.

— Cóż to za faza żarliwości religijnej? Czy to ciągle wpływ pobytu w Lourdes?

— Może pan domyśla się trafnie. Ale mniejsza o to. W każdym razie, ponieważ jestem jeszcze bez śniadania, więc mi pilno do domu. Odprowadzi mnie pan?

— Z przyjemnością. Zwłaszcza, że pragnąłbym, by mi pani wyjaśniła niektóre z moich licznych wątpliwości.

— Cóż za wątpliwości?

— Zastanawia mnie np. dziwne postępowanie pani, jakieś tajemnicze i trudne do zrozumienia. Od dwóch dni ukrywa się pani, jak zakonnica w klasztorze, a trzeciego dnia, choć to dzień powszedni, już od rana jest pani w kościele, i to na czczo. Wszystko to daje mi do myślenia.

— Dowie się pan o wszystkim wkrótce. Może już dziś nawet!

— Już dzisiaj?

— Niech pan przyjdzie do mnie o 6-tej na obiad.

— Przyjdę z rozkoszą, ale czyżbyśmy nie mieli zobaczyć się przedtem?

— Owszem, bo za godzinę będę już z dziećmi na plaży.

— Nie ma pani zamiaru się kąpać?

— Owszem, może się wykąpię.

I kąpała się rzeczywiście, a że morze było bardzo wzburzone, więc kąpała się sama, bez dzieci, a gdy nas nakrywały wielkie fale, bardzo skwapliwie powierzała się mym niezawodnym ramionom...

Po południu spotkaliśmy się znowu o 3-ciej, bo pani Helena miała trochę sprawunków do załatwienia, a ja, pragnąc sobie wynagrodzić dwa dni ubiegłe, czułem się szczęśliwym, mogąc jej dotrzymać towarzystwa, choćby przy chodzeniu po sklepach. Pani Helena była miła, bardzo spokojna, nawet zalotna raz po raz, tak, że ani przez chwilę nie miałem podejrzenia, by pod tym zamaskowanym spokojem mógł się ukrywać już dojrzwały zamach na moją osobę... Raz tylko, gdyśmy przechodzili koło biura wagonów sypialnych, pani Helena zamyśliła się nieco, a po chwili spytała mnie niby od niechcienia:

— Czy długo myśli pan zabawić jeszcze w Biarritz?

— Tak długo, jak pani, odrzekłem bez wahania.

— A jeśli ja zostanę tu jeszcze ze sześć tygodni, co wobec przyjazdu męża mojego w końcu września lub dopiero w pierwszych dniach października wcale nie jest wykluczonem?

— Będzie to zależało od pani jedynie: jeśli będzie pani chciała, bym został, to zostanę, a będzie pani chciała, bym wyjechał, to wyjadę. W każdym razie, dopóki pani tu jest sama, nie mam zamiaru wyjeżdżać, choćby dlatego, że muszę wywiązać się sumiennie z danego panu Hożyckiemu przyrzeczenia, że przez czas jego nieobecności będę się opiekował panią troskliwie...

— Boję się, czyby mnie ta pańska opieka nie zaprowadziła zbyt daleko, gdybym, na szczęście, sama nie była swoją najpewniejszą opiekunką.

Nie mogłem stanąć w swej własnej obronie, gdyż właśnie wypadało wejść do składu fortepianów, gdzie pani Helena winna była kilka franków za nastrojenie instrumentu w czasie naszego pobytu w Lourdes. Ta okoliczność stała się początkiem rozmowy o mojej grze na fortepianie, przyczem pani Helena zastrzegła sobie z góry, że dziś wieczór będę musiał zasiąść do jej Bechsteina, by mogła porównać moją dzisiejszą grę z dawniejszą.

Gdym do niej przyszedł po 6-tej, była w swej

czarnej sukni, w perłach, bez brylantów, ślicznie uczesana, ale dziwnie blada na twarzy, z głęboko, powiedziałbym, dramatycznie wpadłemi oczyma, piękna, jak zwykle, lecz jakąś pięknoscią smutku. Toczono ramiona, przeglądające poprzez czarny tiul luźnych rękawów, prawie nie licowały z melancholją całej postaci...

Zaraz po obiedzie, gdyśmy wstali od stołu, pani Helena pożegnała się z dziećmi, którym razem z miss Bell kazała iść do pokoi na górze, poczem, zwracając się do mnie, prosiła, byśmy na kawę i likiery przeszli do salonu. Tutaj przedewszystkiem uderzył mię widok otwartego fortepianu.

Nim przyniesiono kawę, wyszliśmy trochę na taras odetchnąć świeżem powietrzem. Było już ciemno. Z za kopuły kasyna miejskiego wychylał się wielki księżyc w pełni, a zimne jego, seledynowe światło oblewało już górne okna willi. Tymczasem taras tonął jeszcze w granatowym cieniu. Od strony morza, które w tej chwili odpłynęło daleko od brzegu, dochodził miarowy, jakby podziemny łomot fal. Zresztą nic nie zakłócało ciszy wieczoru. Z ulicy nie dochodził żaden szmer, żaden turkot. Drzewa w ogrodzie, nie poruszane najmniejszym powiewem wiatru, stały spokojne, jakby pogrążone we śnie.

Była to jedna z tych czarownych chwil, o których mówi poeta,

chwila, gdy się ma księżyc pokazać.
 Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
 I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
 I ciszej źródła po murawach dyszą.

Zdaniem poety,

O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą:
 Jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą!
 Jeżeli o czymś zapomnieć, zapomną!

O takiej chwili właśnie, gdyśmy stali przy balustradzie tarasu, patrząc na wschodzący księżyc, pani Helena zapytała z pozorną niedbałością:

— Jak to brzmi, panie, ten fragment z *Beniowskiego*, który mi pan kiedyś deklamował w Zakopanem, w podobny wieczór księżycowy, gdyśmy spacerowali w ogrodzie willi *Niezabudki*?

— Pamięta pani ten wieczór?

— O, pamiętam go doskonale. Widzę pana nastrojonego sentymentalnie, słyszę pana pięknie mówiącego o poetyczności tej naszej przechadzki pomiędzy ciemnymi sylwetami świerków, „poprzez których ażurowe gałęzie przeświecał wschodzący z za Gewontu księżyc. Niech mi pan zadeklamuje ten wiersz z takim samym przejęciem, jak wówczas.

— Najprzód nie wiem, czy go pamiętam jeszcze, a powtóre, co innego było wtedy, gdym, młody i pełen młodocianych porywów, hołdował romantyzmowi w życiu, a co innego dziś, gdy już radykalnie wyleczyłem się z mych romantycznych ułud.

Ten sam wiersz, który wtedy mógł mi się wydać szczytem poezji, zwłaszcza deklamowany w takich warunkach, jak w ów zakopiański wieczór, dzisiaj, powtórzony wobec pani właśnie, wydałby mi się bolesnym dysonansem.

— Panie drogi, życie składa się przeważnie z dysonansów, więc niech się pan niemi nie zraża; a skoro prosi o coś kobieta, to trzeba się pozbyć fałszywego wstydu, jeśli się wie, że jej to sprawi przyjemność.

Cóż miałem uczynić wobec podobych argumentów? Jakoż, lubo z pewnym przymusem, zacząłem mówić niższym głosem:

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne,
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą: jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z płomienia.
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów ni odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy, jak dwa sny, oboje myśląc.

Twój czar nademną trwa. O, ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał, a łaza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła.
Twa dusza знаła to i przychodziła.

Bądź zdrowa! Odejść nie mogę, choć słyszę
 Wołające mnie duchy w inną stronę;
 Wiatr mną, jak ciemnym cyprysem kołysze
 I z czoła mego podnosi zasłonę,
 Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
 Wyrok, łamiący mnie między stracone...
 Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
 Twe oczy patrzą na mnie, takie smutne!

Gdym wymawiając ostatni wiersz, spojrzał na panią Helenę, zasłuchaną i zamyśloną, ona jednocześnie spojrzała na mnie... dziwnie smutnie, a w oczach jej, nasiąknięch łzami, migotały dwa drobne księżycowe światełka.

— Dziękuję panu, rzekła, podając mi rękę, gdym umilkł. Zawsze pan ślicznie deklamuje, z wielkiem zrozumieniem i odczuciem ducha utworu. A cokolwiek pan mówi o sobie, o swej życiowej trzeźwości, to jednak pozostał pan zawsze tem, czem pana znałam przed laty: poetą i romantykiem.

— To moje nieszczęście, jeśli tak jest na prawdę.

— Nie dziwię się, że pan ma takie powodzenie u kobiet. Ja sama, gdybym była bardziej płocha i bez sumienia, łatwo mogłabym dać się uwieść takiemu człowiekowi, jak pan, i popełnić jakiś fałszywy krok.

Usłyszawszy podobne wyznanie, uczułem gwałtowny napływ krwi do głowy, tak, że chwilowo przestałem panować nad sobą, a ująwszy ją za

rękę, którą chętnie pozostawiła w mojej, rzekłem namiętnie:

— Pani Heleno, taki fałszywy krok, to największa poezja w życiu, to jego największa ozdoba i kwiat, to jedyne prawdziwe szczęście, dla którego warto żyć, dla którego też warto poświęcić przesady o źle zrozumianem pojęciu cnoty. Najwyższą cnotą jest umiejętność korzystania z życia, z młodości, z piękności, gdy z niemi przyszliliśmy na świat; wszystko inne, wobec rozkoszy, jaką daje miłość, niekępowana żadnemi względami naszej obłudnej moralności, jest złudzeniem, fałszem, głupotą! Gdy dwoje takich ludzi, jak my, kocha się i pożąda wzajemnie, gdy nietylko ich dusze, ale i ciała rwą się do siebie, to nie powinni oglądać się na nic, lecz iść za tym szlachetnym pędem, który w nich wznieciło święte uczucie miłości.

— Ślicznie pan mówi! Jak prawdziwy urodziciel! Ale mam wrażenie, że tego wszystkiego nie mówi pan mnie pierwszej, lecz że to pan już mówił stu kobietom przedemną, tak samo, jak to pan jeszcze nieraz będzie mówił stu kobietom po mnie.

Oniemiałem. Byłem jak rozhukany koń, raptownie jednym brutalnem szarpnięciem uzdy osadzony na miejscu. Poprostu osłupiałem. Ten chłodny spokój pani Heleny, która nawet nie drgnęła pod wpływem nagłego, a całkiem szczerego uniesienia

z mojej strony, równał się oblaniu mnie zimną wodą. Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć na to, jak ją przekonać bez żadnej ukrytej myśli, że to, co mówiłem, nie było obliczonem na efekt, lecz istotnie wypłynęło z serca, jako podyktowane miłością, namiętnością, pożądaniem, że to nie była, jak jej zdawało się może, dobrze odegrana komedja, ale wybuch niepohamowanego uczucia i, naturalnie, zmysłów. Boć trudno nie dać unieść się zmysłom, patrząc na tak zmysłową piękność, jak ona! I to wśród tak romantycznej dekoracji!

Niestety, pani Helena ani na chwilę nie dała się wytrącić z równowagi, a chcąc mię przywołać do porządku, czyli z hymnu sprowadzić do prostej powieści, przypomniała mi uprzejmie, zwykłym tonem, że pewno w salonie podano już czarną kawę, której nie powinniśmy dać ostygnąć.

Przy kawie, pod lampą z ponsowym abażurem, w czerwonym półmroku, siedząc na miękkiej kozetce, znów zeszliśmy na rzeczy obojętne, głównie na muzykę, na Chopina i Beethovena, na te ich kompozycje, które pani Helenie utkwiły w pamięci, jako grywane przezemnie, a które usłyszeć teraz, po tylu latach, była ciekawa.

Ostatecznie musiałem zasiąść do fortepianu. Ona nie ruszyła się z kanapki, lecz wsparta na rękę, przygotowywała się do słuchania.

— Co pani zagrać na początek? spytałem, preludując po klawiszach.

— Może tym razem wyda się to panu sentymentalizmem, ale wobec tego światła księżycowego, które tu przez otwarte drzwi zagląda z tarasu, najchętniejbym posłuchała *Sonaty Cis-moll* Beethovena, a potem którego z chopinowskich nokturnów.

Spełniłem to życzenie, a ponieważ byłem wzruszony i podniecony, więc grałem lepiej, niż kiedykolwiek. Potwierdziła to pani Helena, gdym skończył grać melancholijne *Adagio* z Sonaty, a po *Nokturnie Fis-dur*, gdym wykonał jego część środkową, tak żalosną i dramatyczną zarazem, usłyszałem zapewnienie (przypuszczam, że szczere), iż obecnie gram lepiej o wiele, niż dawniej, z jeszcze większym uczuciem, z głębszym wniknięciem w intencje kompozytora. Zauważyłem jednocześnie, że pani Helena była rzeczywiście przejęta tym *recitalem*.

— Niech pan gra jeszcze. Tak zawsze lubiłam słuchać pańskiej muzyki! Tak mi to przypomina dawno ubiegłe czasy...

I westchnęła głęboko.

Skończyło się na tem, że prawie przez pół godziny nie wstał od instrumentu, grając najmelodijniejsze urywki z różnych sonat Beethovena, kilka *Prefudjów* Chopina, rzewniejsze ustępy z jego *Ballad*, parę *Mazurków*, a na zakończenie *Larghetto* z Koncertu *F. moll*. Pani Helena przez cały czas słuchała w najwyższym skupieniu,

a w przerwach przypominała mi różne chwile i nastroje z przed lat dwunastu, w jakich jej w Warszawie lub Zakopanem grywałem te kompozycje.

Gdym wreszcie powstał od fortepianu, trochę wyczerpany i zgrzany, pani Helena powstała również, wyciągnęła do mnie rękę na znak podziękowania, a gdym wreszcie odjął usta od jej ciepłej dłoni, ona, wsparłszy się o fortepian, rzekła drżącym, zmienionym głosem, świadczącym o wielkiem wzruszeniu:

— Jeszcze pan nie zagrał jednej rzeczy, którą mi pan grał w Warszawie podczas swej *ostatniej* wizyty u nas.

Na tę *ostatnią* wizytę zdawała się kłaść szczególny nacisk.

Zamyśliłem się przez chwilę, szukając w mej pamięci, bo rzeczywiście nie mogłem sobie przypomnieć ani tej sceny, ani utworu, który miałem grać wtedy.

— Widzi pan, że ja jednak mam lepszą pamięć od pana, bo ja pamiętam doskonale, że pan grał wówczas *Arioso dolente* z Sonaty op. 110 Beethovena. Pamiętam nawet, co mi pan powiedział po zagranii tej boskiej melodji.

— Dalibóg, nie pamiętam.

— Powiedział mi pan wtedy, że tylko odczuwając boleść Beethovena, z jakiej zrodziła się ta natchniona skarga, można ją zagrać z potrzebnem zrozumieniem. Wiedziałam, co mi pan chciał po=

wiedzieć przez to... Dziś pan już zapomniał o tem, a ja jednak pamiętam ciągle. Tylko, że dziś zmieniły się role: wtedy pan cierpiał z mojego powodu, dziś ja się męczę z pańskiej przyczyny.

— Niech pani powie raczej, że się dręczymy oboje.

— Właśnie dlatego proszę o to cudne *Arioso*. Chciałabym posłuchać go raz jeszcze.

Nie zastanowiwszy się nad utajonem znaczeniem tych ostatnich słów, siadłem do fortepianu, by zagrać tę moją ulubioną arję. Grając ją, mimowoli patrzyłem na panią Helenę, która podszła jeszcze bliżej klawiatury, i starałem się wyczytać w jej oczach, jakie wrażenie na niej czynił ten tragiczny wylew cierpienia bez nadziei ulgi... Z ręką wspartą o krawędź instrumentu, z oczyma zapatrzonemi w ziemię, pani Helena stała błąda, coraz bledsza. Przez moment wyglądała tak, jakby była bliską omdlenia, jakby nie mogła ustać o własnych siłach, gdyby się nie opierała o fortepian. Jakby się czegoś pasowała ze sobą...

Naraz, gdym skończył grać, jakimś rozpaczonym, a stanowczym ruchem ręki odgarnęła zsuwające się jej na czoło włosy, poczem, spojrzawszy na mnie jakimś szklistym obłądnym wzrokiem, w którym malowało się pomieszanie i lęk zarazem, rzekła ledwo dosłyszalnym głosem, z trudem łapiąc oddech:

— Dziękuję panu za tę piękną muzykę, za ten

miły wieczór, ale teraz czas już, byśmy się pożegnali... na zawsze!

— Jakto na zawsze?! spytałem, powstając nagle, tknięty jakimś złowrogiem przeczuciem, i oburącz chwytając ją za rękę, zimną i wilgotną, od której aż dreszcz przebiegł mię po całym ciele.

— Tak jest, odrzekła spokojnie. Musimy się rozstać na zawsze. W tej chwili widzimy się po raz ostatni. Gdy pan teraz wyjdzie odemnie, już się nie zobaczymy więcej, może nigdy w życiu! To jest moje niezłomne postanowienie.

— W takim razie nie kocha mnie pani wcale! wykrzyknąłem prawie spazmatycznie.

— Właśnie dlatego, że pana kocham, że pan jest jedynym człowiekiem, któremubym się nie potrafiła oprzeć, musi pan wyjechać, musi pan zejść z mojej drogi, musimy się rozejść, spokojnie, jak dwoje przyjaciół, ale bezwarunkowo raz na zawsze!

— Za wiele pani wymaga odemnie, to też nie uczynię tego stanowczo! A jeśli jestem, jak powiada pani, jedynym człowiekiem, któremubys nie potrafiła się oprzeć, to... bądź moją...

Przy tych słowach, już nie bardzo zdając sobie sprawę, co czynię, objąłem ją wpół, przycisnąłem do siebie, a ustami zacząłem szukać jej ust. Ale te usta, o dziwo! nietylko nie starały się wymknąć z pod mych spragnionych warg, lecz, rozchylone do przyjęcia pocałunku, same namiętnie przywarły się do mych ust, wsysając się w nie łubieżnie,

jakby z nich chciały pić ten miłosny żar, który mnie ogarniał od głów do stóp, który niedoznaną, nieprzeczuwaną rozkoszą oszałamiał mię, odurzał, odводził od przytomności, przyprowadzał do szału, a przede wszystkim rozgrzewał tym świętym ogniem, którym nagle dwoje kochanków zaczynają płonąć ku sobie...

Już miałem przedsmak rajskej rozkoszy, która na mnie spływała z uścisku tej *mojej* kobiety, gdy nagle rozbroił mię widok rześzystych łez, które jej, jak grochy, zaczęły płynąć z oczu, spływać po rozpalonych policzkach. Uczułem równocześnie, że mi cała drżała w rękach, że jej perłowe ząbki, gdy usta gwałtem oderwały się od moich, zaczęły jakby z zimna, a ona cała słała mi się w rękę, tak, że obsunęłaby mi się na ziemię, gdybym jej nie był trzymał w ramionach. Ale była tak bezwładna, że mi zaczęła ciężyć. Widząc to, ochłonałem z grzesznej żądz, która już we mnie z łatwością mogła wziąć górę nad wszelkimi skrupułami, a do głębi wzruszony widokiem tych łez perlistych, które nie przestawały się saczyć z tych cudnych oczu, pochyliłem się ku nim, i zacząłem z nich kolejno, z jakimś tkliwem i litosnem współczuciem, gorącemi pocałunkami spijać te ciepłe łzy...

Lecz po tej chwili zapomnienia, graniczącego prawie z miłosnem oddaniem mi się zrazu, po tej chwili słabości, z której może inny na mojem

miejscu skorzystałby cynicznie, bo właśnie w takich chwilach zdobywa się kobietę, po tej chwili omdlenia w mych objęciach, a jednocześnie rozkosznego upojenia i odurzenia mojemu pocałunkami, które mi oddawała z całym zapamiętaniem, z całą pieszczotliwością i lubieżnością kobiety zmysłowej i zakochanej, po tym pierwszym kroku w stronę przepaści, w którą tak łatwo stoczyć się istocie pięknej i lekkomyślnej: niebawem przyszła chwila opamiętania, chwila jakby ocknienia się ze snu. W mgnieniu oka odzyskawszy siły i panowanie nad sobą, które była utraciła niespodziewanie, zaskoczona moją śmiałością, a potem mojem oszałamiającem całowaniem, które ją na krótko pozbawiło wszelkiej zdolności odporu, pani Helena raptownie szarpnęła się w mym uścisku, a gdy ja mimo to nie rozwierał ramion, lecz je raczej zacisnąłem mocniej, tak, że w żaden sposób nie mogła wyrwać się z ich wężowego opasania, rzekła wkońcu, głosem stłumionym, błagalnie patrząc mi w oczy, jak śmiertelnie raniony ptak:

— Ach, puść mnie już! Miej litość nademną!

Wobec tego rozwarłem ramiona, ale z kolei ja uczułem takie wyczerpanie, że musiał wesprzeć o fortepian, by się nie zachwiać na nogach, jakby podciętych nagle. Nic też nie mogłem przemówić: miałem uczucie, że się duszę. Dopiero gdy ochłonął nieco, ona, która patrzyła na to

moje zmaganie się z samym sobą, rzekła dziwnie łagodnie:

— Proszę, niech pan usiądzie jeszcze na chwilę.

To mówiąc, podeszła do kozetki, siadła po tej samej stronie, gdzie siedziała przedtem, i wskazała mi miejsce obok siebie.

Siadłem, ująłem jej obie ręce, i patrząc jej w oczy, spytałem, ledwie mogąc dobyć głosu:

— Czy to jest pani ostatnie słowo, że już nie mamy widzieć się więcej?

— Niestety, jest to nieodwołalne.

— Dlaczego?

— Bo jest to jedyny *uczciwy* sposób wydo-
stania się z tego błędnego koła, w jakie nas wtrącił
los. Tak mi również poradził nasz spowiednik
w Lourdes.

— I mnie radził to samo, przerwałem, ale to
jeszcze nie dowód, by się stosować do jego fary-
zeuszowskich wskazówek.

— Ja jednak pójdę za jego radą, bo on tylko
powiedział mi to samo, co jeszcze przed spo-
wiedzią — dodała ze szczególnym naciskiem —
nieodwołalnie postanowiłam uczynić
prędzej czy później, z własnej nieprzy-
muszonej woli. Uważam bowiem, że skoro to
muszę uczynić bezwarunkowo, to im prędzej zdobędę
się na ten stanowczy krok, tem lepiej dla mnie, dla zba-
wienia mojej duszy, dla mego czystego sumienia.
A zresztą przyrzekłam memu spowiednikowi, że

już po powrocie z Lourdes nie zobaczę się z panem, że napiszę do pana, żeby pan nie przychodził do mnie, żeby pan wyjechał z Biarritz. Dlatego przez dwa dni nie widzieliśmy się wcale, a jeśli nie napisałam do pana, tak, jak to było moim pierwotnym zamiarem, to przez dobre serce, by pana tak nie opuszczać bez pożegnania, a trochę i przez egoizm, żeby jeszcze choć jeden dzień spędzić razem.

— Tego zdrowego egoizmu posiada pani tyle, że zamierzywszy odpędzić mnie od siebie, wcale mojej miłości, którą mi pani świadomie wszczepiła w serce, nie brała pani w rachubę.

— Liczyłam się z nią, proszę mi wierzyć. Ale ja znam wasze uczucia dla cudzych żon.

— Krzywdzi mnie pani, gdy moją niewygasłą miłość, jaką płonę od lat kilkunastu, uważa pani za zwykłą przelotną miłostkę z mężatką. I sobie pani ubliża tem samem.

— Tak źle nie myślałam ani przez chwilę. Ale znam mężczyzn, bo już niejeden kochał się we mnie. A i pan jest tylko mężczyzną, choć niepospolitszym od innych. To, co dziś wydaje się panu niepodobieństwem, już za parę tygodni będzie pan sobie poczytywał może za wyzwolenie. Zapomni pan o mnie, tak samo, jak o innych kobietach, choć tamte więcej panu okazały dowodów miłości, niż ja.

— Widzę z ubolewaniem, że pani nie docenia mojego uczucia.

— Przeciwnie, wierzę bez zastrzeżeń, że *w tej chwili* kocha mnie pan bardzo, może bardziej nawet, niż ja pana, choć mi się zdaje, że bardziej kochać niepodobna. Ale wiem z góry, że gdy pan wróci do Paryża, gdy się pan zanurzy w jego światowym wirze, to niedługo wyleczy się pan ze swej miłości dla mnie, tak samo, jak się pan z niej wyleczył przed dwunastu laty, choć wtedy był pan młodszy o tyle, świeższy uczuciem, mniej zepsuty. Dziś przyjdzie to panu tem łatwiej, a stanie się o wiele prędzej, niż pan przypuszcza na razie, będąc pod bezpośredniem wrażeniem konieczności rozłączenia się ze mną. Niech mi pan wierzy, że moje położenie jest stokroć gorsze, przykrzejsze, boleśniesz.

— Nie rozumiem, dlaczego?

— Pan, rozstawszy się ze mną, jest wolny, nie ma żadnych obowiązków względem nikogo, a szczególnie jest pan szczęśliwym przez to, że pan nie ma żony, której pan nie kocha, a która, zakochana w panu, wymaga, by jej okazywać swą miłość pozornie. Pan przed nikim nie potrzebuje kłamać uczucia, pan przed nikim nie jest zmuszony udawać miłości... choćby z dobrego serca! Tymczasem ja wracam do człowieka, który jest moim mężem, który do mnie ma wszelkie prawa, który jest zakochany we mnie, gdy ja nietylko nie ko-

cham go tak, jak powinnam, ale kocham innego człowieka, o innych marzę pieszczotach... Wy, mężczyźni, nie macie wyobrażenia o męczarniach uczciwej i prawej kobiety, która musi być żoną swego męża, wtedy, gdy kocha innego, gdy o nim roi w nocy bezsenne. Dopóki pana nie spotkałam tutaj, żyłam jakimś biernem bezczuciem. Byłam jak stojąca woda, której gładkiej powierzchni nie narusza żaden powiew wiatru. I przywykłam do tej bierności: wszystko, o czem śniłam w mych snach dziewiczych, pod wpływem mej pierwszej miłości, w małżeństwie zamarło we mnie, zanikło. Pan to wszystko wzburzył na nowo, zmaćcił mój chłodny spokój, zachmurzył mą jednostajną pogodę, rozdmuchał iskry, które już gasły pod popiołem. Pan we mnie wzniecił grzeszne pragnienia i pokusy, których nie doświadczałam nigdy przedtem, a z których aż muszę się spowiadać przed księdzem.

— Ten przeklęty ksiądz popsuł mi całe szczęście: on jest sprawcą ciosu, który mię dosięga w tej chwili.

— Niech go pan nie wini, proszę, bo i bez jego porady kazałabym panu wyjechać. I to jak najprędzej: najlepiej jutro!

— A jeśli nie zastosuję się do tego rozkazu?

— Musi mi pan być posłusznym stanowczo.

— A jeśli nie wyjadę mimo to?

— Tego pan nie uczyni, skoro proszę pana

o to, skoro pana błagam w imię mojej nieszczęśliwej miłości, skoro pana zaklinam na miłość moich niewinnych dzieci...

— A jeśli zostanę mimo wszystko?

— Ha, to w takim razie ja będę musiała wyjechać stąd, choćby jutro! Bo, tak czy tak, już mnie pan nie zobaczy w żadnym wypadku. Dzisiaj widzimy się po raz ostatni. Od jutra mój dom jest zamknięty dla pana. Tak mi Panie Boże dopomóż!... Dzisiaj w kościele złożyłam uroczysty ślub, że po dzisiejszym darowanym dniu, który jeszcze spędzimy razem, już w Biarritz nie zobaczymy się więcej, za żadną cenę!...

— Za żadną cenę! dodała raz jeszcze, ze smutnym, choć silnym naciskiem.

— Jakto za żadną cenę?! spytałem wzburzony do głębi, a nawet boleśnie dotknięty tak bezwzględ-
nem postawieniem kwestji. Jednocześnie krew mi buchnęła do głowy, wszystko poruszyło się we mnie, a na usta cisnęło się straszne pytanie, tem straszniejsze, że rzucone w najlepszej wierze, z całą siłą przekonania, z całą szczerością, bez cienia obłudy:

— Czy nawet za cenę mojego życia?!

Bo w tej chwili doznałem takiego jakiegoś druzgocącego uczucia, że za powiedzenie to, tak ryzykowne, a tak łatwo mogące uchodzić za patetyczny frazes, mogłem wziąć całą odpowiedzialność. Była to chwila takiego moralnego znicestwie-

nia i zatracenia, że potrafiłbym się nie cofnąć przed niczem, gotów i zdecydowany na wszystko, nawet na śmierć! Była to chwila, krótka zresztą, jak błysk stali, chwila, że w jasnowidzący sposób miałem całkowite zrozumienie tych stanów psychicznych, w których mężczyzna, odtrącony przez ukochaną kobietę, odbiera sobie życie, lub ją zabija najpierw, by potem spełnić samobójstwo. Miałem takich kilka sekund, że gdyby zażądała odemnie, bym w jej oczach pozbawił się życia, uczyniłbym to bez wahania, nawet z pewną lubością, tak samo, jak bez namysłu potrafiłbym targnąć się i na jej młode życie, gdyby, niezdolna do samobójczego ciosu, zapragnęła zginać z mojej ręki. To też wypowiadając te brzemienne słowa, czułem ich wagę, ich doniosłość. Nie wymówiłem ich na wiatr!

Tymczasem pani Helena bynajmniej nie prze-
raziła się niemi: poprostu nie wzięła ich na serjo,
czemu w tych słowach dała spokojny wyraz:

— Tak mogą przemawiać bohaterowie pań-
skich powieści, ale ich autorowi nie godzi się sza-
fować lekkomyślnie takimi powiedzeniami. Żyjemy
w XX wieku, a więc nie w czasach chorobliwego
sentymentalizmu. Skończyła się epoka Werterów!
Wierzę, że po tym pobycie w Biarritz, po tym
romansowym epizodzie ze mną — bo w pańskim
życiu będzie to tylko jeden romansowy epizod
więcej — może pan napisze zajmującą powieść,
w której pan z właściwym sobie talentem skreśli

te nasze smutne przejścia, ale nie wierzę, żeby pan miał tak mało panowania nad sobą, by popełnić jakieś szaleństwo. Zresztą, jeśli mię pan kocha naprawdę, nigdyby pan nie był zdolny do jakiegoś rozpaczliwego kroku, któryby moje sumienie obarczył jeszcze nowymi wyrzutami! Żeby mię w życiu miało ścigać krwawe widmo samobójcy, żebym się miała stać winną śmierci człowieka, i to jednego człowieka, któregom kochała z całej duszy: o to jestem spokojna zupełnie. Czy nie mam słuszności?

Ja przecież, zamiast jej odpowiedzieć wprost, zamiast wyrazić mój podziw dla jej fenomenalnego spokoju, z którym w podobnie przełomowej chwili tak panowała nad sytuacją, popadłem w jakiś bezwład myślowy, w jakiś stan całkowitego zaniku woli, która rozprężonym nerwom nie umiała stawiać najłżejszego oporu. Czułem tylko, że jestem bardzo nieszczęśliwym, a w mojem życiu łamie się coś, co mi było najdroższe, że stoję u wrót jakiejś przeraźliwej ciemni, w którą muszę wejść, choć mię instynkt powstrzymuje od fatalnego kroku w tę czarną zagadkową otchłań... Czułem się jakis zmiażdżony, stratowany, odarty ze wszystkiego, nawet z mojej godności osobistej! Miałem wrażenie, że stałem się ofiarą jakiejś okrutnej Harpji, która, zimna i piękna, tygrysiemi pazurami szarpała me biedne konające serce, a ja mimo to, choć jęczałem z bólu, miłośnie tuliłem się do tej okrut-

nicy, jakby wdzięczny za katusze, którem cierpieł z jej winy. I wstyd mi było mojej pokory, mojego poniżenia, a jednak nie mogłem oderwać się od tego uroczego Sfinksa, który tak znęcał się nademną, ale jednocześnie upajał najśłodszą pieśczętą.

Łzy nie przystoją mężczyźnie. A jednak nie wiedziałem sam, jak nagle nie mogłem się powstrzymać od gwałtownego płaczu, wobec którego całkiem okazałem się pozbawionym jakiejkolwiek mocy męskiej. Wogóle nie wiedziałem, co robię, co się dzieje ze mną, do czego zmierzam. Byłem jak łódź bez steru i wiosła, zdana na szalejące fale burzy. Bezwiednie z kanapki osunąwszy się na ziemię, kląkłem u stóp siedzącej pani Heleny, głowę moją, ukrytą w dłoniach, wsparłem na jej kolanach, a przez cały czas szlochałem jak dzieciak, a nie mąż dojrzały!

— Niech się pan uspokoi, rzekła kojąco, trochę wystraszona temi moimi spazmami. Kto sły-szał płakać? Jeszcze służba usłyszeć gotowa... Co sobie pomyśla? Trzeba panować nad sobą...

Razem z temi słowy uczułem jakby lubą słodycz, spływającą na moje rozigrane nerwy, bo oto poczułem ciepłą rękę pani Heleny, jak swemi delikatnymi paluszkami wplotła mi się we włosy, gładząc mię po rozpalonej głowie, z czułością matki, pieśczącej chore dziecko.

— Czemu pani chce być tak niemiłosierną dla

mnie? spytałem wkońcu, powoli przychodząc do siebie.

— Jestem nią i względem siebie także, proszę mi wierzyć: względem siebie przede wszystkim! Cierpiałam wiele, zanim się zdobyłam na ten krok ostateczny i okrutny dla nas obojga, ale trudno! Boję się pana, boję się o siebie, a nie chcę zejść z prostej drogi. Uciekam od pana, jak od szczęścia, które mnie goni i chce chwycić w ramiona, ale uciekam mimo chęci zostania, mimo ochoty do poigrania z ogniem, bo nie widzę innego ratunku, bo nie ręczę za nic, gdybym się dała zwieść choćby najniewinniejszym zachciankom... A zresztą tak mi postąpić każe moje sumienie, moja wrodzona prawda i poczciwość, i uczciwość! Taka już jestem raz! Taką chcę pozostać do śmierci. Dlatego musimy się rozstać. Nasze drogi rozchodzą się w różne strony... A im prędzej się rozejdziemy, tem lepiej dla nas obojga, skoro nie możemy zostać razem.

To mówiąc, powstała, lekko się odsunęła odemnie, co było znakiem niechybnym, ażebym i ja powstał również, ażebym zaczął się żegnać! Powstając więc, rzekłem:

— Chce pani, widzę, bym już poszedł.. zaraz!

— Tak jest, wolę, żeby pan już poszedł, bo po co męczyć się dłużej.

— Skoro taki rozkaz, to nie pozostaje mi nic innego, tylko być posłusznym. Ale mam nadzieję, że mię pani jeszcze odprowadzi do bramy.

— Odprowadzę.

Nie chcąc dzwonić na służbę, sama mi z przedpokoju przyniosła palto, laskę i kapelusz, poczem wyszliśmy na taras.

Księżyc był już wysoko. Wszystko dokoła to—nęło w jego niebieskawej poświacie. Na tarasie było tak widno, że gdyśmy wyszli z przyćmionego salonu, doznałem wrażenia, że z mroku wyszedł na słońce. Tylko ocienione miejsca, pod drzewami w ogrodzie, zalegała atramentowa ciemność.

Spojrzałem na panią Helenę: była czarująco piękna w tym księżycowym blasku, ale twarz miała jak z marmuru. Gdyby nie pierś, falująca nadmiernie, możnaby myśleć, że to symboliczna postać Nocy w czarnym chitonie, wyszła z jakiegoś obrazu Böcklina.

Wcale nie zatrzymując się na tarasie, pierwsza zaczęła schodzić po kamiennych stopniach. Milcząc, i ja za nią zszedłem do ogrodu; gdy jednak weszła na ścieżkę, prowadzącą do furtki, a znalazła się w cieniu jesionów, tworzących wdzięczną aleję — jakby na płótnie którego z angielskich pre-rafaelitów — natychmiast podbiegłem do niej, chwyciłem w pól (ile że nie miałem już nic do stracenia), zatrzymałem, a widząc, że ona wcale nie myśli się bronić, owszem, że z góry przewidywała ten napad, który uważała za nieunikniony i pożądany, o tyle śmielej dorwałem się do jej ust. Ona

zaś, sama je złożywszy do pocałunku, z przymkniętymi oczyma chłonęła jego niebiańską rozkosz...

Pocałunek to był zawrotny prawdziwie, taki, jakim tylko dwoje zakochanych żegnać się może... na wieki! Wszystko znalazło się w tym pocałunku: rozkosz i smutek, oddanie się i rozpacz. A wszystko trwało bardzo długo, bo jak tu przerwać takie upojenie!

Przerwała je dopiero pani Helena, wyrrywając mi się z uścisku, cała drżąca.

— A teraz proszę już odejść.

I podając mi jeszcze na ostatnie pożegnanie rękę do ucałowania, gdy się nią nasyciłem dowoli, rzekła:

— Idź, a już nie oglądaj się za mną.

To mówiąc, nim cofnęła rękę, popchnęła mnie z lekka, bym wreszcie postąpił naprzód, ku furtce.

Raz jeszcze oburącz chwyciłem ją za rękę, ucałowałem gorąco, poczem, słowa nie rzekłszy, ruszyłem przed siebie, jak złodziej, uciekający z okradzionego domu.

Na ulicy, widnej, jak w dzień, gdy uszedłem kilkanaście metrów, w roztargnieniu, niepomny ostatniej prośby pani Heleny, mimowoli obejrzałem się za nią: stała oparta o kamienną framugę furtki, nieruchoma, jak cudny posąg, niczem wcielony żal, i patrzyła za mną, jak szybkim krokiem spiesźnie oddalałem się od niej...

Paryż, 21 wiześnia. Sobota.

Dziś rano wróciłem do Paryża. Mój nagły przyjazd był przedewszystkiem kłopotliwą niespodzianką dla mego starego służącego, który pomimo otrzymanej depeszy nie wierzył własnym oczom, gdy mię zobaczył zajeżdżającego przed dom. Naturalnie mieszkanie zastałem z meblami w pokrowcach, z pozapuszczanemi roletami, bez dywanów, bez portjer, bez firanek, bez bibelotów na półkach, z zapachem naftaliny, z kucharką i młodszą na urlopie. Bo spodziewano mnie się dopiero w połowie przyszłego miesiąca. Stąd niesłychane zdziwienie w całym domu, graniczące ze zdumieniem, a budzące najrozmaitsze podejrzenia wśród pozostałej służby z *conciergé*'m i jego żoną na czele.

Na śniadanie poszedłem do klubu, gdzie na mój widok również zdziwili się ci nieliczni, którzy przypadkiem o tej porze znajdują się w dusznym i upalnym Paryżu. Ponieważ właściwy sezon zaczyna się dopiero za miesiąc, więc i w klubie panuje atmosfera nudy i pustki. Do śniadania zasiadliśmy we czterech, a po śniadaniu ledwo znalazłem takiego, co ze mną przez godzinę pograł w bilard. Namawiałem go, byśmy o 4-tej przejechali się po Lasku Bulońskim, a potem wstąpili na herbatę do Pré Catelan, ale mi nie mógł dotrzymać towarzystwa, gdyż do Paryża przyjechał tylko na kilka godzin za interesami, a o 4-tej wra-

cał do St. Germain, gdzie w lecie, jak zwykle, z całą rodziną mieszka na willedziaturze.

Co było robić? Poszedłem sam. Ale i Pola Elizejskie, choć piękne w złotym pyłe kryjącego się za Łuk Triumfalny słońca, i Lasek Buloński, choć pełen powozów i automobilów, jeszcze są jakieś anonimowe, obce: widzi się mnóstwo ludzi, lecz nie spotyka się nikogo znajomego. To, co się zowie *tout Paris*, jeszcze jest nieobecne.

Oczywiście, że przez cały czas tej samotnej przechadzki ciągle myślałem o pani Helenie. Co robi w tej chwili? Czy nie żałuje swego arbitralnego postanowienia? Mimowoli przypomniiał mi się piękny erotyk Słowackiego, który jej nieraz czytałem w Zakopanem:

Rozłączeni! Lecz jedno o drugim pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku,
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska,
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi ciebie teraz oczyma nie dostać,
Znając twój dom, i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślał twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Po obiedzie u Payarda, który sobie urozmaicałem rozmową z garsonem (a i ten nie mógł się

wydzawić, żem tak wcześnie wrócił do Paryża), nie mając nic lepszego do czynienia, poszedłem do teatrzyku *Marigny* na Polach Elizejskich, w nadziei, że może tam spotkam jakiego znajomego lub... znajomą. Przyszła mi na myśl Juanita, która mówiła przy pożegnaniu, że na dwa tygodnie jedzie do Paryża po toalety, i nie mogła odżalować, że ja jeszcze z miesiąc chcę zabawić w Biarritz.

Podczas antraktu wyszedłem przejść się po zewnętrznym *promenoir*'ze pod kasztanami, gdy nagle ktoś mię z tyłu uderzył po ramieniu. Obejrzałem się. Hożycki!!!

— A pan tu co robi? wyrwało mi się onieśmiałemu ze zdziwienia.

— Ale co pan tu robi? wesoło zapytał mię on z kolei, gdy nasze ręce wyciągnęły się do powitania.

— Od dziś rana, odrzekłem, jestem w Paryżu, wezwany alarmującą depeszą w ważnym interesie literackim. Ale skąd pan się tu wziął w tej chwili? Wszak miał pan zabawić w Warszawie przynajmniej do 1-go października?

— Taki był mój pierwotny zamiar. Ale, widzi pan, jestem w tem szczęśliwem położeniu, że ja właśnie daję dłuższe lub krótsze urlopy. A że w naszej fabryce jestem nie tylko głównym akcjonariuszem, ale i dyrektorem, więc, jako główny akcjonariusz, pozwoliłem dyrektorowi, żeby sobie wcześniej pojechał do żony. Uważam bowiem, że

gdy się ma taką żonę, jak moja, to każda rozłąka z nią, choćby najkrótsza, jest stratą czasu. A przytem, panie, Warszawa o tej porze jest jeszcze pusta, tak, że poprostu można się urwać z nudów. To też, uporawszy się z głównymi interesami, postanowiłem zrobić żonie mej niespodziankę i przyjechać do niej o całe dwa tygodnie wcześniej. Tęskno mi za nią, za dziećmi, a ona także będzie rada, gdy znów będziemy razem. Żałuję tylko, że pana już nie będzie z nami. Tak się cieszyłem na pańskie towarzystwo. W każdym razie serdecznie panu dziękuję za troskliwą opiekę, jaką pan roztaczał nad moją żoną. Z zachwytem pisała mi o panu, że nią pan opiekuje się nietylko jak stary znajomy, ale poprostu jak ojciec. Wyobrażam sobie, jak jej było przykro, gdy pan musiał wyjechać nagle zwłaszcza, że nic jeszcze nie wie o moim przyspieszonym wyjeździe do niej. Umyślnie pisałem jej w moim ostatnim liście, że pewno dopiero po 1-szym październiku będę mógł wyruszyć z Warszawy. Ale pan czegoś mizerny... Przed moim wyjazdem z Biarritz wyglądał pan daleko lepiej, czerstwiej.

— Strułem się w wagonie restauracyjnym. A przytem noc w pociągu. Ale za to pan świetnie wygląda: samo zdrowie.

— Niestety, za dobrze wyglądam, panie, bo tyję niemożliwie. Cała nadzieja w kąpielach w Biarritz, które może mnie trochę ściągną. A co pan robi po teatrze?

— Idę spać.

— O, szkoda! Myślałem, że może razem pojedziemy na Montmartre, na buteleczkę.

— Chętniebym panu służył każdym innym razem, ale dziś mam newralgię i czuję się bardzo zmęczonym po podróży.

— Cóż dopiero, panie, ja mam powiedzieć, który z Warszawy jadę bez zatrzymania, a jutro o 11-tej przed południem zdążam dalej.

— Pan jest żonaty. Wiadomo, że małżeństwo konserwuje najlepiej, gdy tymczasem kawalerowie starzeją się prędkiej.

— Bo za często zmieniają kobiety.

Zaczynał mię nudzić swą filozofją życiową, więc gdy dzwonek obwieścił koniec antraktu, pożegnałem się z nim, mówiąc, że już nie wracam na drugą część przedstawienia, lecz idę spać, bo mi się oczy kleją poprostu. Namawiał mię jeszcze raz, żeby z nim koniecznie pójść na kolację, ale odmówiłem stanowczo, tłómacząc się niedyspozycją. Jakoż zaczęliśmy się żegnać ostatecznie. On żałował, że ze mną nie spędzi reszty wieczoru, a ja ubolewałem, że on wyjeżdża już jutro, bo inaczej spędzilibyśmy dzień cały razem. Prosiłem go naturalnie, by żonie najpiękniej pokłonił się odemnie, poczem on wrócił do teatru, a ja rzeczywiście pojechałem do domu...

